

LAMUS

LATO 1910
ZESZYT SIÓDMY
T. II. Z. 3.

TREŚĆ ZESZYTU SIÓDMEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj: Str.

Michał Pawlikowski: Co wieczór... 283
Zofia Rylska: Przez niedomknięte drzwi 284
Władysław Orkan: Z poezyi 293
Juliusz Zeyer (przełożyła Maryla Wolska): Rokoko 298
Paweł Ettinger: „Polka" Antoniego Watteau 332

O dzieła sztuki (odezwa) 335
Léon Bernardin (przełożył z rękopisu: K. Rychłowski): Karol Demange 336
Lieutenant Léon Bernardin: Les Marches de l'Est 343
Nowe książki 345

Część druga — Wczoraj: Str.

Stanisław Wyspiański: Listy (do Karola Maszkowskiego) 351
Eliza Orzeszkowa: Ze spuścizny autorki (wyjątki z listów i zapiski) 392
Lesław Placzek: Konstantego Gaszyńskiego „Jaksjada" (komentarz) 394
Konstanty Gaszyński: Jaksjada

Ilustracye:

Okładka według rytu A. Oleszczyńskiego: Kopernik
A. Watteau: Polka
Rafał Hadziewicz (?): Portret własny
St. Wyspiański: 12 szkiców podług plafonów Luwru

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

Mieczysław Smolarski: Gdzie huf ten wasz? Maryla Wolska: Była raz królewna... Jan Kasprowicz: Z cyklu „Chwile". Zofia Rylska: Dalekie echa. Włodzimierz Tetmajer: Bronowskie wczasy. Stamir: Mgławice. Leopold Staff: Śladem stopy antycznej I. ***: Rondo. Stanisław Wyspiański: Wernyhora. Jan Gw. Pawlikowski: Słowacki w okresie mistycyzmu. J. H. Retinger: Humorysta dni dzisiejszych — Jules Renard. Marek: Na czasie.

Część druga — Wczoraj:

Kornel Ujejski: Moja autobiografia. Kornel Ujejski: Erotyki. Mieczysław Romanowski: Z pamiętnika. Bohdan Zaleski: Wzrok anielski. Adam Asnyk: Sonet. Cyprjan Norwid: Przyczynek do „Rzeczy o wolności słowa". Cyprjan Norwid: List. Th. Gordon Hake: Polish Hymn. — Tłómaczenie tegoż J. Kasprowicza. — Ze starszej Eddy — wedle miary oryginału przełożyła Maryla Wolska. Rozmaitości: Wiersze okolicznościowe i polityczne. — Wspomnienia z lat dawnych.

Ilustracye:

Leon Wyczółkowski: Lamus (okładka). Arthur Grottger: Świt — Zmrok — Noc. Jan Matejko: Przyjęcie Chrześcijaństwa w Polsce. Portret C. Norwida (według współczesnej fotografii.

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO:

Część pierwsza — Dzisiaj:

J. B. K.: Sonety. Władysław Orkan: Suplikacye. Bąk: Niemrawiec. Michał Pawlikowski: Tercyny. Maryla Wolska: Godzina słoneczna. Adam Krasiński: Z teki pośmiertnej. Jadwiga Marcinowska: Areopag. Aleksander Naworski: Rymy wesołe i smutne. Ludwik Kubala: Oblężenie Lwowa w r. 1655. L. Piniński, Wilhelm Suida, Karol Lanckoroński: Galerya miejska we Lwowie. E. P.: Dwa hymny do Polski. Nowe książki.

Część druga — Wczoraj:

Stanisław Wyspiański: Listy. Fryderyk Chopin: Mazur. Stefan Vrtel: Tymona Zaborowskiego Klub Piśmienniczy (komentarz). Tymon Zaborowski: Klub Piśmienniczy.

Ilustracye:

Okładka wedle rytu J. Falcka (ur. w Gdańsku 1619). Stanisław Wyspiański: Portret córki. Leon Wyczółkowski: Portret Juliana Klaczki. Fryderyk Chopin: Facsimile autografu.

TREŚĆ ZESZYTU TRZECIEGO:

Część pierwsza — Dzisiaj:

St. Eljasz Radzikowski: Dziawolenie... Leopold Staff: Śladem stopy antycznej (II). Lucyan Rydel: Eros i Afrodite. Mieczysław Smolarski: Wiosna. Marya Znatowiczówna: Kwiat milczał. — Leon Piniński: Rafael galeryi Czartoryskich. Zygmunt Bytkowski: O monologu w dramacie. Nowe książki.

Część druga — Wczoraj:

Arthur Grottger: Z listów Artysty (r. 1866). Kornel Ujejski: Erotyki (II). A. Mickiewicz: List do Mazziniego (facsimile). Józef Kallenbach: Z epoki emigracyjnej. (Listy Eustachego Januszkiewicza).

Ilustracye:

Okładka wedle rytu Chodowieckiego: Rodzina artysty. Rafael: Portret mężczyzny.

REDAKTOR: MICHAŁ PAWLIKOWSKI, LWÓW, SENATORSKA L. 4. * WŁASNOŚĆ REDAKCYI.

NAKŁADEM A. ALTENBERGA I J. MORTKOWICZA * SKŁADY GŁÓWNE: ALTENBERG LWÓW. CENTNERSZWER WARSZAWA,

Część pierwsza — Dzisiaj.

232

Co wieczór...

Za moim celem, który przedemną ucieka
Idę ciągle jak falę ścigająca fala...
Co wieczór się za nowy widnokrąg oddala,
Co wieczór mnie za nowym widnokręgiem czeka. —

Co wieczór nowe ognie na górach zapala
Mój cel, który się toczy przedemną zdaleka —
I co wieczór się w nowe szaty przyobleka —
I co wieczór do drogi woła na mnie zdala. —

I tak mnie myśl za myślą prowadzi skrzydlata
Poprzez góry i ziemie szerokie i morze
Nieprzepalona, wieczna „ciekawość do świata".

Nieskończoność na przesyt skończoności zbroja,
Co dzień się nowe kędyś zapalają zorze,
Niema kresu ma droga i niema myśl moja...

MICHAŁ PAWLIKOWSKI.

Przez niedomknięte drzwi.

Dziwne jest to spojrzenie rzucone poraz pierwszy... Zadrżałam w głębi duszy, a widziałam, że i on był wzburzony.

Jakieś mętne wspomnienie obrazu widzianego we śnie albo zdarzenia w dzieciństwie, którego zarysy zatarły się tak, że niepodobna ich rozeznać. — Stanęliśmy nagle na pograniczu między wizyą a rzeczywistością, między mrokiem a jaskrawością południa... Czujemy jakby chwilowe zawieszenie bytu. Od białych pól przyszedł powiew, a z nim lęk przed niepamięcią.

...Zatarta karta, nie można odczytać słowa. Albo znaki wyryte w kamieniu już niezrozumiałe dla nas. Gdyby jednak karta zatarta była zupełnie, gdyby z kamiennych ruin nie przemawiało nic! — Ale ta połowiczność jest nieznośna!

— Tak — znam go zkądś, wiem jednak, że nie widziałam go nigdy. Wieczorem pytałam Maryę, czy twarz jego wydała się jej znajomą. „Być może,“ odparła po krótkim namyśle, „twarze ludzkie są jednak tak do siebie podobne“.

Jednak nie! — Nie chodzi tu tylko o twarz, lecz o spojrzenie. Spojrzenia nie są do siebie podobne. A to spojrzenie było zupełnie różne od wszystkich. Było w niem zdziwienie i przestrach i pytanie, wreszcie jakby nagle wytryskujący tryumf — i coś więcej jeszcze, coś nieodgadnionego dla mnie. — Wiem, że odczuł to samo co ja, a może jeszcze więcej. Może pamięć jego, silniejsza od mojej rozwiała pierwszą mgłę i ujrzał obraz jasny, wyraźny.

Nie śmiem myśleć. Pierwszy raz stoję wobec takiej zagadki... A może pierwsza stoję?

— — — — — — — — — — — — —

Dlaczego to życie takie dziwne!... A może tylko moje życie? — Maryę bo nie dręczy nic. Spi spokojnie, oddycha miarowo jak cicha fala bijąca o brzeg.

— „Twarze ludzkie są tak do siebie podobne!“ — Jaka ona szczęśliwa! Widzi tylko zewnętrzną stronę rzeczy. Czy mam jej zazdrościć? Mimo wszystko — nie. Jakkolwiek od kilku dni przechodzę takie udręczenie.

Chciałam zrzucić ze siebie choć część ciężaru, próbowałam zwierzyć się przed nią. Posądziła mnie — — o miłość. Roześmiałam się. Przedziwny dar brania życia tak po prostu. Ale niesmak mi potem został. Gorycz i wstręt i żal. Bo jest moją siostrą przecie. Powinna mnie zrozumieć. A jednak — ona tego nigdy zrozumieć nie zdoła. Choćbym całą duszę wygadała przed nią. Nie ma słów, któreby jej to wytłómaczyć mogły. Między mną a nią jakby przepaść. I uwierzy kto — my się kochamy. Jesteśmy jakby dopełnieniem jedna drugiej. Lecz ta miłość nie zdoła zapełnić przepaści.

Miłość, to nie jest wszystko.

Są ludzie, którzy się nienawidzą a przykuci są wzajem łańcuchem duchowym. Inni zaś, jakkolwiek bardzo się kochają, uczuciom ich brak — duszy.

Nie potrafią rozumieć się bez słów, a te same słowa posiadają dla nich odmienną treść.

Bo nie zawsze jedno i to samo słowo wyraża tę samą myśl. — Zależy to od człowieka, który je wypowiada. Dla jednego słowo „ptak“ wyraża kręgowca, wykłuwającego się z jaja, opatrzonego parą nóg, skrzydeł, dziobem, pokrytego pierzem. Dla drugiego ptak to symbol swobody, to objawienie, ukazujące się w niezmierzonym błękicie, to groza zwisająca na czarnych skrzydłach pod oponą chmur ołowianych.

A jednak nikt nie mówi, że jedna z tych dwóch treści jest rzeczywistością, druga poezyą. Obie z nich są rzeczywiste, albo obie są kłamliwe.

Zależy wszystko od człowieka, który patrzy i który mówi. — Marya widzi tylko ptaka z mięsa i pierza.

*

Dziś rozmawiały obie z mamą o mnie i o nim. — Nie słyszałam ani słowa z tej rozmowy, a jednak wiem napewno.

O, jak ja je znam. Mogłabym powtórzyć dokładnie każde wypowiedziane słowo. Otoczono nas nierozerwalną siecią uwagi i opieki.

Śmieszne! — Jakby można zakazać oczom mówić do siebie. A czyż nie mówią one więcej od ust? Zresztą on nie mówił dotychczas wprost do mnie. Nie szukał mego towarzystwa. Słowa jego szły — jak

rzucane w przestrzeń rakiety. Wszystkie jednak powracały wreszcie do mnie i spadały mi do nóg jak deszcz mieniących się pereł. Czułam, że dla mnie były przeznaczone.

Nie mogłam dotychczas nanizać ich na sznurek. Widzę, że są piękne, ale gdy mówi, uwaga moja jest tak rozprószona. Nie mogę zebrać myśli. Uderza moje uszy tylko dźwięk jego głosu i szczególniejsza tego głosu barwa. — Nie wiem, — ale nie umiem tego dźwięku inaczej określić, tylko, że jest on — — niematerialny.

Co za słowo! Wzdrygnęłam się, jakbym ujrzała przed sobą nagle niezmierzoną głębię i jakby owiał mnie chłód podziemnej pieczary.

Marya powiedziałaby, że stanowczo jestem przesadna. Może ona ma słuszność? O gdyby ona miała słuszność! Gdyby życie rzeczywiście było takiem, jakiem się wydaje. — Gdyby za tą banalną powłoką naprawdę nie kryło się nic! Co za ulga! Nie... Ja się nie boję nicości. Ona pozwala nie czuć i nie myśleć.

— — — — — — — — — — — — —

Stanowczo jestem przesadna i dzieło moich nerwów biorę za rzeczywistość. Gdyby ten człowiek sobie pojechał, może odzyskałabym równowagę. Lecz czyby to co pomogło? Nie wiem. Zdaje mi się, że tu już nic nie mogłoby pomódz. Stało się. Przeznaczenie zawisło nad nami. Szarpiemy się daremnie. Szarpiemy się w mroku i niepewności. Walczymy z czemś nieznanem i okropnem. — Gdyby choć otaczała nas jasność. Gdybyśmy mogli widzieć i znać niebezpieczeństwo, które nam grozi. Ale tak... Mgła niepamięci zaciera każdy rys, który się wyłania, a nie zdoła zatrzeć zupełnie obrazu.

Jednak kiedyś to się skończyć musi! Dlaczego więc mam troszczyć się jak się skończy. Czyż to nie obojętne?!

*

Dziś poraz pierwszy przemówił do mnie wprost. Wyjątkowo byliśmy sami. Myślałam, że nagle ziemia rozstępuje się przedemną. Przytem patrzył na mnie swym zagadkowym, badającym wzrokiem. Nie wiem, com mu odpowiedziała i czym mu wogóle cośkolwiek odpowiedziała. Zdaje mi się, że uciekłam jak szalona. A teraz siedzę tu bez tchu.

Gdyby to Marya wiedziała. Wysnułaby swoją teoryę miłosno-małżeńską. O Boże, Boże, a jednak trzeba mieć rozsądek. Bo jeżeli on ma duszę taką jak Marya — co sobie teraz myśli. Tak — ale jeżeli

on ma tylko duszę Maryi — czyż wówczas i tak nie jest wszystko jedno, co on myśli?

Jestem bardzo znużona.

*

Sądzę, że chyba nie zdziwił się nadto moim wczorajszym postępkiem, ponieważ jest dzisiaj taki jak zwyczajnie: twarz zgaszona, wzrok mętny. Albo może zachowanie się moje nie było tak dziwaczne, jak mi się wydawało? Może odpowiedziałam mu rozsądnie? I wszystko odbyło się w porządku i zgodzie z kodeksem światowym? — Zazwyczaj staram się nie patrzeć na niego, aby nie spotkać się z jego wzrokiem. Dziś nie mogłam zapanować nad ciekawością. Wybrałam chwilę, kiedy wydawał mi się zajęty żywą rozmową z kim innym. Ale natychmiast się odwrócił. Spojrzenia nasze skrzyżowały się. W oczach jego zamigotały błyskawice, poczem rozlała się po nich błękitna ciemność. Usta poruszały się z lekka jakby wymawiały jakiś wyraz a cała twarz skurczyła się spazmem nerwowym. — Czułam że blednę i wszystko przesłania mi się mrokiem.

*

Ocknęłam się u siebie w pokoju. Nademną pochyliła się Marya.

„Dziecko, co ty wyrabiasz?“ Szeptała stropiona.

Chwyciłam ją za szyję i przywarłam do niej.

Ach, to była rzeczywistość, codzienna słodka rzeczywistość....

Drżałam. Marya ułożyła mnie wygodnie na poduszkach, oparła moją głowę na swem miękkiem ramieniu.

„Śpij dziecino, śpij“ — szeptała, głaszcząc mnie po włosach, — „wszystko będzie dobrze“.

I uśmiechała się. —

Odgadłam jej myśl. Ale nie wydała mi się już śmieszną. Całą mnie bowiem pochłaniało pytanie: „Co on wie i co to jest?“

*

Wie w każdym razie więcej odemnie. U niego nie jestto mętne poczucie, ale jasna świadomość faktu. Ta myśl przepełnia mnie szalonym lękiem.

Stoję u wrót tajemnicy. Odemnie tylko zależy przekroczyć je. Któż ze śmiertelnych może to uczynić? Nikt prócz mnie.

Jeżeli była we mnie kiedyś odrobina pychy, to obecnie zgłuszył ją strach. Nie ma dla mnie jutra dziecinnej uciechy i młodocianego

szczęścia. Jutro może mnie zastać zdruzgotaną najstraszniejszą świadomością rozwiązanej zagadki. Drżę przed jutrem.

O ja jedna wiem, jakim darem niebios jest nieświadomość.

*

Siedzę całemi godzinami zatopiona w myślach. Staram się wywołać z mroku ów tajemniczy obraz, ujaskrawić sobie przeszłość zapomnianą. Chwilami wydaje mi się, że już się przedemną odsłania, ale po chwili nowa fala mgły przeciąga i przesłania moje widzenie.

Mogłabym zapytać jego, ale nie śmiem. — Słowa nie przeszłyby mi przez usta. Zadławiłyby głos i mnie. Myślę, że skonałabym prędzej. Sądzę jednak, że on domyśla się tego, co się ze mną dzieje. Mam nawet to uczucie, że mnie przenika zupełnie, że niema dla niego we mnie najskrytszej myśli. — Od ostatniego spojrzenia nie patrzę na niego.

Widzę go jednak ciągle. Usta jego drżą niekiedy, jakby jakaś prośba na nich zawisła. Wzrok jego spoczywa na mnie często. Tak — to jest błaganie. Cała dusza jego czołga się przedemną. Ale czego ten człowiek chce odemnie? Przecież chyba nie tego o czem myśli Marya? To byłoby nadto potworne.

*

Coś zaszło! — Usposobienie mamy i Maryi zmieniło się zasadniczo. — Uśmiechają się na mój widok dobrotliwie, dla niego zaś są wprost wylane. Pozostawiają nas często samych, przyczem patrzą na nas znacząco. — On zdaje się tego nie spostrzegać i nie korzysta ze sposobności aby zbliżyć się do mnie. Węzeł jednak zadzierżga się koło mnie, sieć mnie okrąża.

Ta obojętność jest tylko manewrem. — Może wypływa z litości nademną? — Chce oszczędzić mi przerażenia? Ale dziś, czy jutro wypełnić się wszystko musi. Nieodwołalne fatum czyni mnie odważniejszą. Mam odwagę skazanego na śmierć.

Dziś znowu spojrzałam mu w oczy. Wzrok jego łasił się jak bity pies. Pokora kata wobec ofiary.

*

A więc ta potworność dopełniła się przecież. Nie mogę zrozumieć dlaczego on, — właśnie on zapragnął się ze mną żenić! — Przecież wiemy oboje, że rozdziela nas — nie przepaść, ale ocean, nieskończoność nieprzebrana. Ja ją przeczuwam, on ją zna. A mimo to pragnie mnie. Więc ciało ma taką przewagę nad duszą, że można zapomnieć

o wieczności dla jednej ziemskiej chwili? A może to właśnie potrzebne jest do spełnienia się naszego przeznaczenia?

Coraz nowe zagadki piętrzą się przed moją udręczoną duszą. — Wiem tylko jedno, że jego pragnieniu nie może się stać zadość nigdy — nigdy — nigdy...

Choćby...

. . . .

Nagły lęk przechodzący wszystko znane ścisnął mnie za gardło. — Uczułam, że włosy podnoszą mi się na głowie.

W stalowem oświetleniu księżycowej nocy ujrzałam cień człowieka. Szedł wolnym krokiem nad brzegiem wielkiej wody. — Nie widziałam jego twarzy. Byłam pewna jednak, że go znam, że między mną a nim jest łączność nieprzerwana, że myśli nasze przenikają się wzajem. I jakkolwiek ruchy jego były spokojne, wiedziałam, że za chwilę...

Ach to przerażenie przerywane od wieków...

...Za chwilę skoczy w tę ciemną głąb.

Wyciągnęłam ku niemu ręce z prośbą, aby mi wybaczył, aby nie gubił nas obojga. Głos mój nie dochodził go. Ruchy jego stawały się coraz automatyczniejsze. Jakby już nie jego wola ale jakaś inna wola kierowała temi ruchami.... Wreszcie...

— — — — — — — — — — — — —

Mój własny rozdzierający krzyk doprowadził mnie do przytomności. Siedziałam w moim pokoju z rękami przesłaniającemi oczy. Okna moje były szczelnie zasłonięte. Ani jeden promyk światła nie dochodził zzewnątrz. Rzuciłam się do okna, zdarłam zasłonę.

Dziedziniec zalany mdłem światłem pierwszego brzasku leżał przedemną.

Cisza, spokój i ukojenie.

Odetchnęłam głęboko.

Ale ciężar uciskał duszę. To co widziałam nie było wizyą wzburzonych nerwów. Nie. Byłam tego pewną. Przedemną rozciągał się odłam życia. Może fata morgana dalekich krajobrazów przeszłości...

Mimo moich dwudziestu lat czułam się tak starą. Nieznaną przeszłość dźwigałam na moich barkach. Nie mogłam strącić jej w odmęt niepamięci. Jakaś wielka wina nie pozwoliła zaprzeć za sobą wrót ani rozewrzeć ich szeroko.

Stoją niedomknięte... Nie mogę dojrzeć przez nie olśniewającej prawdy ani zapomnieć tego, co miało pozostać dla mnie zakrytem.

— — — — — — — — — — — — —

Stara indyjska baśń stała się prawdą.

*

Jeszcze nie dostrzegam jasno, ale widzę, że mgła rzednie.
Nie odpowiedziałam dotychczas na jego pytanie, ale dziś odpowiem.

*

Więc znalazłam wreszcie odwagę. Mówiłam z nim. Dziś jednak o tem pisać nie mogę. — Prosiłam go aby żył.

*

Prośba moja zaskoczyła go. Nie spodziewał się jej. Nie przeczuwał, że go tak przenikam. Po jego bladości śmiertelnej poznałam, że to był on, że jestem ofiarą winy, popełnionej na nim niegdyś.

I on ma zupełną świadomość przeszłości. Ślepa namiętność jego przetrwała śmierć. Nie może zrozumieć, że dla nas teraz tembardziej niema wspólnego życia. — Każdy pocałunek byłby tylko wspomnieniem przedśmiertnej trwogi, winy i grobu. Przechodzilibyśmy każdej chwili przez wrota odgraniczające życie od śmierci. Rozkładalibyśmy się za życia. Nigdy. Jakaś bezmierna siła żywotna pokonywuje w nim nawet ową przerażającą świadomość. Siła ta z niebytu dźwignęła go napowrót do życia. I pomyśleć, że siłą tą jest miłość dla mnie, pociąg do samicy, owo najsilniejsze prawo grawitacyi.

O jakże ja już jestem stara! We mnie owa świadomość wypaliła wszelkie pragnienie.

Tylko obawa przed białemi polami, po których błąkają się samotne dusze samobójców, wytrąca mi broń z ręki. A może i to poczucie, że muszę mojem beznadziejnem życiem odpokutować dawną winę i nie dopuścić aby on jeszcze raz...

Czy to wszystko jednak wstrzyma mnie.

Moja wola tak słabnie.

*

A jednak żyć niepodobna.

Nietylko on, ale i mama i Marya nalegali na mnie. Czułam się tak bezsilną, że przyzwoliłam wreszcie. I teraz on jest już moim narzeczonym.

Czuję jego wzrok ślizgający się po mnie, zatrzymujący się na moich ustach. I nie mogę mu tego zabronić. Przecież ma prawo do mnie. Jestem już jego. Czy można wyobrazić sobie coś okropniejszego. Czy rzeczywi-

ście moja wina była tak wielką, że muszę obecnie płacić za nią tak straszną pokutą. I niema duszy w całym wszechświecie, któraby zrozumiała moje udręczenie. Nawet Bóg odwrócił się odemnie.

*

Próbowałam raz jeszcze przemówić do jego sumienia. Przedstawiałam mu całą potworność naszego związku. Błagałam go na jego miłość do mnie, aby się mnie wyrzekł. A dusze nasze żyć będą kiedyś po tamtej stronie w jedności i harmonii...

Ale on nie chciał. Zginął niegdyś jak potępieniec i jako potępieniec przechodzi znowu przez życie. Nie stracił pamięci i tą pamięcią wiedziony szukał mnie ciągle. I obiecał mi, że jeżeli odejdę od niego, będzie szukał mnie znowu choćby przez wieczność całą, póki mnie wreszcie nie znajdzie i nie posiędzie.

Powiedziałam mu, że jest szatanem.

„Nie ja“, odparł „ale miłość“.

„Miłość jest znikomością“.

Uśmiechnął się.

„Znikomość ta stworzyła świat“.

„Miłość bez duszy jest zbrodnią“.

„Więc nie odzieraj jej z duszy“.

Umilkłam, tylko bezsilnie załamałam ręce. Moja lekkomyślna igraszka złamała mu niegdyś życie, a jego samobójstwo łamie dziś moje.

Nie ma dla mnie wyjścia. Nie mogę żyć ani umrzeć.

*

Ślub nasz z każdą chwilą bliższy. Liczę każdą minutę, którą zegar odmierza. Zdaje mi się, że słyszę jak spadają i rozbijają się w nieskończoności. Czy ja niemam już obłędu? Widzę przecież i słyszę to, co nie jest udziałem zwykłych śmiertelników.

Dotychczas liczyłam dni, potem godziny, a teraz liczę minuty.

Potem zacznę liczyć sekundy.

Aż ostatnia sekunda rozciągnie się — rozciągnie.

Jak ta lama złota w długą nić...

Jak daleko rozciągnie się ta sekunda?

Czy ona nie może rozciągnąć się w nieskończoność?

Kto mi może zabronić!?

Mówiłam, że wola moja słabnie. Teraz jednak zanikła zupełnie.

Co może mnie wstrzymać? Obawa?!

Czyż to wszystko, co mnie tam spotka, może się choć w części równać z tem, co mnie tu czeka? Lecz wiem, — póki się nie dokona nademną cała groza wyroku, póki nie odpokutuję winy — póty budzić się będę aż się wypełni. Wiedzieć jednak — a iść świadomie w odmęt brudnej fali i czuć jak ciało tonie w grzęzawisku, jak błoto dochodzi piersi — wciska się do ust — przesłania oczy...

Czas jednak kroczy.

Słuchajcie — moja sekunda zbliża się już.

Słyszę szelest jej trupich chodów. Jeszcze nie jest tu, — przyczaja się, — staje, — nabiera tchu. Ale ja ją znam, — posuwa się nieustannie naprzód.

Oto siedzę sama w mojej białej, całunowej sukni na krawędzi łóżka.

Jeszcze chwila.

Jak długą może być chwila?

Patrzcie, na moim małym panieńskim zegarku wskazówka trzepie się — jak w przedśmiertnem drganiu.

Jak niezmiernie długą jest ta ostatnia...

Tak — ta ostatnia.

Stanęła...

Słyszę wyraźnie kroki na schodach. To on.

Nie — po stokroć nie!

Choćbyśmy się mieli gonić przez wieki.

Choćby przez wrota bolu narodzin i śmierci przyszło przechodzić aż do końca świata. Nigdy.

Oto sekunda wydłuża się w nieskończoność. Jestem już poza granicami czasu i przestrzeni. Niema już ani czasu ani przestrzeni. Niema ani winy, — ani kary. Tylko moje przeźroczyste, długie palce poruszają się jeszcze po białej karcie. Ale już i ich nie widzę, nie widzę nic.

ZOFIA RYLSKA.

Z poezyi.

POCHWAŁA ŻYCIA.

Wstałem dziś bardzo rano,
Gdy ptaki gwarzą o świcie,
Aby, nim głosy z nizin wstaną,
Pochwalić życie...

To bowiem szczęściem darzy,
Co nam o szczęściu śpiewa —
I wtedy tylko drogi skarb,
Gdy się go dusza spodziewa.

Zapłonione błękity,
Przez mrok złocące się struny,
Niebem zajęte gór szczyty —
Dzwonią na cudny dzień!

Różowy pobrzask wstaje,
W złote rozpala się łuny —
A Tatr zostrzone kraje,
Jak miecze, pełne lśnień!

Rozkwitła zorza ranna,
Ogniem spłonęły niebiosy —
Dusza śpiewa: hosanna!
Raduje się jak ptak —

Z ziemi, darzonej złotem,
Zachwytne budzą się głosy —
Rajskim ptasząt świergotem
Dzwoni różany krzak —

Blask coraz bielszy wschodzi
Na zorze, złotem siejące —
Aże na lśniącej, płomienistej łodzi
Wypływa Słońce...

UMARŁY MOJE PIEŚNI.

Umarły moje pieśni,
Umarły przed wiekami —
Połknął je czas, jak woda,
Wieki pokryły je mgłami.

I oto, kiedy słońcu
Hymny radosne poczynam,
Coś mi ze stepów czasu gra —
Coś sobie przypominam...

Oj zadzwoniłbym srebrem dzwonu,
Jako ptaszkowie leśni,
Lecz już nie mogę zbaczyć tonu —
Umarły moje pieśni.

ŁĄKI I KWIATY MOJE.

Popiołem powiał czas na łąki moje.
Już nie grają w słońcu tak radośnie,
Już nie zakwitają tak o wiośnie —
Łąki moje...

Przymrozem spalił czas kwiaty moje.
Przymrozem spalił młode pąki,
Popiołem z kwiatów mych powiał na łąki — —
Łąki i kwiaty moje...

JESION.

Opalił mróz
Konary moje młode —
Zwiał liście wichr
I rzucił je na wodę —

Powiała wiosna ma
Na drogi gdzieś tułacze — —

Na wichrze jesion trwa
I konarami płacze.

NA GROBIE MOICH WIAR.

Na grobie moich wiar kwiaty rosną —
Dziwne kwiaty trujące;
Trują się na nich myśli me, jak pszczoły wiosną,
Obcy miód ssące.

DROGA.

Smutna ta moja droga
Przez pustkę wśród zamieci —
Jeno to jedno światełko
Na nieboskłonie mi świeci...

Jakże długo już idę!
Jakiże kres daleki!
Zda się duszy znużonej,
Że brnie już tak przez wieki...

Spotkana ongi rozkosz
Gdzieś się w tym trudzie podziała —
A tylko nędza przy mnie trwa,
Nędza duszy i ciała...

Zaczynam wątpić sercem,
Żem widział kiedy słońce —
Tak się pogrąża dusza
W te mroki czerniejące...

Innąm ja drogę śnił
W swoich dziecięcych planach —:
Że będę jako tancerz szedł
Po słonecznych polanach —

Że będę jako młody bóg
W zawiei kwiatów się tarzał
I że naprzeciw wszelkich trwóg
Sam drogę swoją będę stwarzał...

I oto tarzam się, ach,
W tej mrace, w tej zawiei —
Jedno to światło tam,
Ta iskierka nadziei...

To jedno światło tam,
Tem jednem w drodze się krzepię —.

A jeśli to ułuda mgły,
Jeśli to wilcze ślepie? — —

NAJCUDOWNIEJSZE Z MOICH MARZEŃ...

Najcudowniejsze z moich marzeń
Ni najść, ni ująć mi się daje —
Odbicie w mgle pragnionych zdarzeń,
W bajkowe unoszonych kraje — —

Próżno wyciągam tęskne dłonie
Po to dalekie, moje, mgliste —
Równie w przestrzeni zimnej tonie,
Jak to, co rzeczywiste.

ZADUMANEMU NAD WIECZNOŚCIĄ...

Zadumanemu nad wieczności mrokiem,
Pochylonemu nad otchłanią czarną,
Cóż ci się z życia wyda dość głębokiem,
Jaka roztocz nie marną?

Próżne twym oczom głębnym pokuszenie —
Igraszka barw na roztoczonej wstędze —
Zechcesz-li czytać swoje przeznaczenie
W tej małoważnej księdze?

Jak kamień leci myśl twoja w bezedna —
Ciśnięta raz, przez wieczność całą spada —
Czemuż więc trwoży się próżno myśl biedna,
Iż dno nie odpowiada?...

OTWÓRZ SIĘ MOJA MOGIŁO...

Otwórz się, moja mogiło,
Pochłoń serce struchlałe — —
Pełni radosnej życia ono biło,
Jak dzwon, na chwałę...

W pustce, w odludziu głuchem,
Gdzie cisza drży przelękiem,
Ono jedyne było żywym ruchem,
Ogniem i dźwiękiem...

Słuchiwał przechodzień-wiatr
Płomiennych jego zwierzeń —
Odbijały się od ściany Tatr
Echa uderzeń...

Zżarła je pustka swą siłą,
Rozbiła je o skałę — —
Ach, kiedyś radości życia ono biło,
Jak dzwon, na chwałę...

* * *

WŁADYSŁAW ORKAN.

Rokoko.

Roku Pańskiego tysiąc siedemset i coś niecoś ponad sześćdziesiąt. Na śty. Wacław — po wsze czasy wiernopoddańcze miasto Dubrowice, — jedno z najbardziej zaspanych tego sławetnego królestwa — przeżywało wzruszenie wcale niepowszedniej miary. Imć pan Syndyk sposobił mianowicie wielkie wieczorne przyjęcie ku czci swojego patrona, która to rokrocznie obchodzona feta stanowiła ważny wypadek w miejscowych kronikach, usuwany w cień jedynie przez wtóry, jeszcze ważniejszy: przybycie na dubrowicki zamek księżnej pani Antoniny Eleonory Lodenic.

W dzień solenizacyi imć pana Syndyka i na balu u księżnej goszczącej zazwyczaj łaskawie nietylko najwyższych przedstawicieli swoich urzędów, ale i kwiat dubrowickiego obywatelstwa, można się było przekonać dowodnie kto miał prawo nosić głowę wysoko a kto tego prawa niemiał. Tu, mój kochany, niemogło być mowy o żadnych wątpliwościach. Dla pośledniejszych istot były te dwa przyjęcia wskazówką, cały boży rok obowiązującą, aby przed wyszczególnionymi czołobitnie uchylać kapelusza.

A teraz oto—mój ty miły Boże!—sam pan Syndyk obrócił wszystko, jak kota do góry ogonem. Czyżby kto był dał wiarę? Zgadlibyście kogo dziś do siebie zaprosił na śty. Wacław? Kto się pojawi pośród dostojnych gości? Oto Floryan Sloupenski. Niewiadomo wam co on zacz? — Bardzo wierzę — tembardziej, że prawdopodobnie i sam pan Floryan niewiele ma o tem wiadomości. Ja jednak zdradzić wam mogę coś niecoś:

Oto ni mniej ni więcej tylko taki sobie muzykus. Jego ojciec? Wędrowny dławiduda. Matka? Któżby dziś doszedł? Nic o niej wprawdzie złego nie mówią, ale rodem z Dubrowic nie była, cóż tedy można wiedzieć o jej przeszłości? Zostawmy jednak w pokoju rodziców — oboje już w grobie — mówmy raczej o samym panu Floryanie.

Na flecie wyuczył go grać ojciec i tenże flet, prawdę rzekłszy, instrument ponoś kosztowny i osobliwszy, stanowił całe dziedzictwo młodego. Z czasem znalazł się Floryan w Pradze, potem bywał kędyś światami na obczyźnie i tam, jak powiadają, pomimo wczesnego swego wieku stał się ponoś sławny. Pan Syndyk zaznajomił się z nim podczas ostatniej bytności w Pradze, bo tu, co każdy chyba zrozumie, niełatwo by się kto do niego przyznać zechciał. I jak myślicie? Gdzie się z imć panem Syndykiem spotkali? W najzamożniejszym patrycyuszowskim domu na Starem Mieście, pośród świetnego grona gości, z których każdy rozmawiał z młodym, pięknym flecistą, jak z równym sobie. Ale w Pradze moda wiadomo na podobne nowinki — i tak się tam już niejedno bujno pleni, przed czem oby nas Bóg wszechmogący uchować raczył — tu wszelako, tu na tym samym dubrowickim bruku, gdzie każdemu stary Sloupenski, jak żyw jeszcze stoi w pamięci, po gospodach grający — nie, nie!

I niejedna czcigodna obywatelka, tuż przed samym wieczorem onego pamiętnego dnia, kładła napowrót swoje pozłociste brokaty, pomiędzy suche listki róż w pięknie wykładaną szafę — z tem postanowieniem, by tym razem wyjątkowo do imć pana Syndyka na imieniny nie iść.

A przecie gdy wieczór nadszedł, niebrakło nikogo z zaproszonych gości. I cud nad cudy! Ledwie się pan Floryan na salonach pojawił w lot zjednać sobie potrafił całe towarzystwo. Właściwie — aby nie skłamać — tylko połowę tego towarzystwa, jednakowoż tę piękniejszą i lepszą — bo połowę niewieścią. Mężczyźni okazali się bardziej zatwardziali i mieli nawet przyczynę, byli mianowicie zazdrośni.

I to miałby być zwykły grajek? Nosił się przecie jak hrabicz, przemawiał jak książę! Nie wyglądał bynajmniej uhonorowany gdy sam pan Syndyk raczył z nim rozmawiać jak z najszanowniejszym pośród obywateli (wyszczególnienie wręcz niesłychane!), podczas gdy niektórzy panowie szeptali między sobą, że panu Floryanowi patrzyłoby się miejsce raczej za drzwiami. Ale nawet i w tych szeregach podrażnionych malkontentów zniknęli przeciwnicy, gdy pan Syndyk po wieczerzy zdołał uprosić swego gościa, aby dał usłyszeć nieco ze swej sztuki czcigodnemu zgromadzeniu, tej łaski bożej, którą go nieba w tak wysokim stopniu obdarzyć raczyły.

Floryan zagrał najpierw na klawikordzie i całe towarzystwo oniemiało. Potem śpiewał, aż damom rozpływały się serca. Nakoniec zagrał na swoim sławnym hebanowym flecie, okutym w srebro a wówczas z ócz niewieścich a nawet wielu męzkich spłynęły słodkie łzy.

Pan Syndyk przycisnął go do piersi, zaś pani Syndykowa obniosła

na srebrnej tacy wino reńskie w przejrzystych jasnozielonych kieliszkach, aby każdy mógł niem przepić do artysty. Wszyscy zebrani pili też zdrowie młodego muzyka, garnąc się ku niemu, obsypując go pochwałami, słuchali chciwie jego opowiadań o Medyolanie, Florencyi i Rzymie, miejscach gdzie studya odbywał i gdzie z prawdziwem nabożeństwem sztukę swą udoskonalał. Każdy spieszył mu teraz wyrazić bez ogródki swój szczery zachwyt, każdy z wyjątkiem jednego jedynego.

Pan Błażej Pistorius, obywatel dubrowicki, aptekarz i stary kawaler, był i pozostał nadal zdecydowanym przeciwnikiem „grajka". Niewiele brakowało mu do pełnych sześćdziesięciu wiosen, on jednak chciał uchodzić za pięćdziesięciolatka najwyżej, a że znał wiele skutecznych gotowalnianych zabiegów, udawało mu się przy pomocy zręcznego krawca narzucać to swoje życzenie światu. Towarzyskie znaczenie owego jegomościa w mieście, jego spory majątek, składały się na stanowisko niezwykle świetne, którego blask sprawiał, że zapominano o niejednem co było nieznośnem w jego osobie i zachowaniu, o śmiesznem zarozumieniu i pustce duszy. Słowem, pomimo niechęci jaką w każdym musiał obudzić, osoba jego wielce była poszukiwaną i niemało psutą w towarzystwie.

Nie brakło wszakże śmiałków, którzy, niedość odważni by napaść nań inaczej, szydzili przynajmniej do syta z jego ambicyi kawalerskich. To zaś bolało go najbardziej. Zazwyczaj stawał w takich chwilach przed lustrem, mierząc się bacznemi oczyma od pudrowanych pukli aż do srebrnych sprzążek na safianowych trzewikach, stroszył brukselskie koronki żabota — i bębniąc ubrylantowanymi palcami w pokrywkę złotej tabakiery, mawiał:

— Tylko chcieć, moi kochani, tylko chcieć — a zobaczylibyście ileby się jeszcze dziewcząt znalazło!

Poczem biorąc z gracyą markiza szczyptę tabaki, powtarzał swoje pyszałkowate:

— Tylko chcieć!... I wierzył temu głęboko sam — a interesowani pochlebnisie mieli miny jakby i oni wierzyli również.

Nic tedy dziwnego, że dzisiejszego wieczora, widząc jak wszyscy prześcigają się w podziwie dla młodego muzyka i jego fletu, jak wszyscy łowią chciwemi uszyma wyłącznie tylko jego słowa — z wielką i jawną pana Pistoriusową krzywdą, uczuł srogą nienawiść, nietylko ku zuchwałemu przybyszowi, ale ku wszystkim, którzy się urokowi tamtego tak od razu poddali. Skorzystawszy więc z przypadkowej chwili ciszy, która nagle jakoś zapanowała w bawialni, począł się na cały głos niespodzianie żegnać z panem Syndykiem, czyniąc to

w sposób wysoce ubliżający obecnym. Napomknął też dobitnie o nudach i bolu głowy, który rzekomo po słuchaniu bezwartościowych muzycznych popisów zwykł go był trapić.

Przez bawialnię przemknął dreszcz przerażenia. Zamilkli wszyscy. Burza nadciągała coraz bliżej.

Gospodyni domu chcąc przytomnością umysłu zapobiedz przykrości wrażenia, ozwała się ignorując dobrotliwie nietakt swego gościa:

— Nie, nie, niedamy się podejść! — mówiła z uśmiechem. Nas pan Pistorius w pole nie wywiedzie! My się już znamy na takim bolu głowy. Jakieś słodkie spotkanie nagli pana pewno... Niemoże inaczej być. Wiadomo przecie jak wielkie szczęście sprzyja panu Błażejowi w kochaniu. Ale nic z tego tym razem. Nie puścimy pana. Niech tam nieboga usycha z rozpaczy! I pani Syndykowa szła ku niemu z kieliszkiem perlącego wina.

Wszyscy obecni mieli na ustach ironiczne uśmiechy — wszelako pan Pistorius niezauważył ich bynajmniej. Zerknął tylko w pobliskie zwierciadło i miłość własna zaślepiła go jak zawsze.

— Skoro pan Aptekarz takie ma szczęście w serdecznych sprawach — ozwał się naraz śmiały głos jakowegoś szydercy — to jakże się to dzieje, że zachował do dzisiaj swoją wolność kawalerską? Czy ma może gust zbyt wybredny, czy wybór innych go ominął?

Pana Pistoriusa porwała pasya. Ostra napaść wymagała równie ciętej odpowiedzi.

— Gdybym tylko zechciał — rzekł podnosząc dumnie głowę — tobym dziesięć dziewcząt dostał, może jeszcze dzisiaj!

— Niechno nam pan tego tak często nie powtarza — zauważył gniewnie jeden z obecnych, który przy najlżejszem zaprószeniu czuba wpadał zaraz w najgorszy humor. Sam pan zresztą wiesz najlepiej, że to nieprawda. Gdyby tak ów paniczyk z fletem coś podobnego chciał twierdzić, miałoby to ostatecznie jaki taki sens. Ale pan, pan! Proszę ja pana!

Ze wszystkich kątów salonu dał się słyszeć śmiech, raz głośny, raz cichszy, w miarę tłumiącego go wysiłku, tylko ten jeden żółtodziób muzykant, ten nicpotem, niezadawał sobie najmniejszego trudu by ukryć swą radość. Śmiał się na cały głos, poglądając w koło niewinnemi oczyma, jak dziecko. Pan Pistorius byłby mu z ochotą kark ukręcił. Pohamował się jednak.

— A gdybym tak potrafił dowieść jednak wszystkim? — syknął wzburzony.

— Niechno pan tylko dowiedzie! — rzucił ze złością ów kwa-

skowaty jegomość, którego pani Syndykowa daremnie starała się ugłaskać.

— A zatem zgoda! O zakład, że do dwu miesięcy najpóźniej ożenię się i to z młodą, piękną dziewczyną, może nawet najpiękniejszą i najmłodszą w całem mieście!

— Zgoda! zgoda! Zakład stoi! — zabrzmiało w okół niego jednogłośnym chórem.

Pan Pistorius struchlał.

Czegoż on to najlepszego nie nawarzył w pasyi?! Ale nie pora już było się cofać.

— Tak jest. Zakład stoi! — powtórzył pozierając ciekawie kto się też jako przeciwnik zgłosi. Tymczasem jedni drugim zaglądali w oczy i nie odzywał się nikt. Pan Błażej tryumfalnym wzrokiem powiódł po pokoju.

— Aha! teraz się państwo cofacie?! — wycedził z obelżywie dumnym uśmieszkiem. Był poprostu pijany pychą i winem. Lekceważące jego spojrzenie padło na grupę dam siedzących w pobliżu pana Floryana.

— Każdy wie dobrze z góry, że przegra. Któraż bo panna nie tęskni do ślubnego wianka? I któraż zresztą zdoła się oprzeć mojemu złotu, choćby jej nawet moja persona nie dogadzała?

Tego wszakże było już nadto... Przebrała się miara cierpliwości dobrodusznej, mało na ogół wrażliwej, dubrowickiej elity. Uczynił się zgiełk oburzenia: — to rodzice obecnych panien podnieśli gwarny protest dotknięci do żywego. Zaś pan Floryan przejęty wstrętem i gniewem, cały w rumieńcach, zawołał głosem, który się rozległ jak grzmot:

— To jest bezwstydne coś pan powiedział!

— Czemuż się pan tedy nie założy? — spytał lekceważąco pan Pistorius.

— Założę się! — rzucił bez namysłu pan Floryan.

— Stoi! — odparł prędko pan Pistorius. Oto moja srebrna tabakiera. Napełnię ją całą dukatami i dokładam jeszcze ten kosztowny pierścień z rubinem. A pan?

Młodzieniec milczał zakłopotany. Damom patrzącym na niego w tej chwili łzy zakręciły się w oczach i również z zakłopotania, poruszać zaczęły szybko wachlarzami. Nagle pośród ciszy woniejącej powiewami wachlarzy, zabrzmiał głos pana Floryana słodki i drżący, jak melodya wzruszającej pieśni, — tak przynajmniej panie później utrzymywały. —

— Nie posiadam dukatów ani rubinów...

— Ale masz pan swój flet! — zaśmiał się brzydko pan Pistorius, nie

dając mu skończyć poczętego zdania. Nie będzie on znów tak całkiem bez wartości?

— Mój flet! — wykrzyknął z lękiem młodzieniec, przyciskając instrument do serca, jakgdyby bronić go chciał przed dotknięciem okrutnika. Zaraz jednak opanował się i rzekł z uśmiechem: — Niechże będzie mój flet! — pobladł jednak nieco przy tych słowach. — Zgoda tedy mój panie — dorzucił jeszcze — dziewczę wszakże musi być młodziutkie, niewinne, bezinteresowne i piękne — tak piękne, żebym ja nawet, pański przeciwnik, zmuszony był to przyznać.

— Czyżbym się ożenił z inną? — odparł zarozumiale pan Pistorius. Jutro składam moje fanty na ręce pana Syndyka — pan niech uczyni to samo.

— To niepodobna — odrzekł pan Floryan. Jadę jutro do Pragi. Mam tam wziąć udział w koncercie na zamku Jaśnie Wielmożnego pana Kasztelana.

— To znowu inna sprawa — mruknął, hamując się cokolwiek, pan Pistorius. Wzmianka o hrabi Kasztelanie zaimponowała mu. Jedźże tedy do Pragi ze swoim fletem! A na mój ślub nie omieszkam pana zaprosić. Zagrasz nam pan podczas uczty weselnej a potem wydasz mi przegraną.

Pan Pistorius ukłonił się zlekka towarzystwu i wyszedł.

— Mój flet! — westchnął cicho młody człowiek i coś jakby łza zakręciło mu się pod powieką.

— Przecież go pan nie postrada! — ozwał się głos niewieści tuż przy nim. Podniósł wzrok i ujrzał przed sobą okrągłe, dobroduszne oblicze pani Skarbnikowej.

— Tak pani sądzi?! — pytał wzruszony wlepiając w nią wejrzenie pełne wdzięczności.

— Ależ jestem najpewniejsza! Któżby takie straszydło chciał?!

I śmiała się aż jej oczy od łez zwilgotniały. Po chwili podjęła znowu:

— Czemu to nas pan nieodwiedził? Będąc tu znowu po tylu latach godziło się. A może pan już całkiem o nas zapomniał?

— Jakżeby to było możliwe? — zawołał młodzieniec — taka pani zawsze była dla mnie dobra! Ilem się pysznych owoców od pani nadostawał, kiedym, jako biedna chłopaczyna jeszcze, błądził koło waszego sadu jak Adam wygnany z raju. I te drogie dziecięta! Co porabia Krzychna? Co się dzieje z Dorotką?

Całe morze dziecinnych wspomnień otwarło się w jego duszy.

— Dorka powraca za parę tygodni z klasztoru. O, z tej już duża

dziewczyna! Za najbliższą bytnością niech nas pan odwiedzi koniecznie.

I pani Skarbnikowa powstała gotując się do odejścia.

Goście rozeszli się — a nazajutrz, gdy pan Floryan jechał do Pragi, grać na swoim flecie Jaśnie Wielmożnemu Kasztelanowi, w całem mieście Dubrowicach niemówiono o niczem jak tylko o jego zakładzie z panem Błażejem.

II.

Czternaście dni minęło zaledwie od zajścia w domu pana Syndyka kiedy już o niem powoli zaczęto zapominać. Od czasu do czasu zagadnęła tylko jedna kumoszka drugą: Jakże tam będzie z tym zakładem? A tamta odpowiadała: Bardzom ciekawa! — i zaczynały rozmawiać o czem innem. Jednakże pan Błażej Pistorius nie zapomniał. Szło mu przedewszystkiem o to, żeby wygrać, skąpstwo przytem walczyło w nim z miłością własną, nie dając mu spokoju. Zaczęło mu się rysować w wyobraźni jakieś młode, uroczo śliczne stworzenie, widział je błądzące jak ożywczy promień słońca po pokojach jego domu, który wielki był, posępny i nudny i czuł jak w nim zakrzepłe serce topnieć poczyna. Naprzód też jęła go radować myśl o zazdrości z jaką inni na jego młode szczęście poglądać będą. I pan Pistorius podnosił się wówczas ze swego wygodnego fotelu by się przejść parę razy tam i napowrót po pokoju, bo ilekrotnie puścił wodze podobnie pięknym marzeniom, przykry zawrót głowy zwykł mącić ich wyrazistość.

W samej rzeczy zaczął tedy rozważać, do których teraz drzwi zapukaćby mu należało. U państwa Doktorowstwa była córka — ale cóż, kiedy nieładna. Pan Rejent miał siostrę — ale ta znów nie była młoda. Kramarzówna szepleniła, burmistrzanka Rozalia była cokolwiek głupawa. O którejkolwiek pomyślał, każda miała jakieś „ale“, żadna nie zasługiwała na godność władczyni jego domu i serca.

Mieszkała też w Dubrowicach pewna zubożała szlachcianka, która posiadała młode i piękne córki. Jej tarcza herbowa kosztowała pana Pistoriusa kilka bezsennych nocy. Wynalazł sobie na poczekaniu jakiś pretekst i wybrał się z wizytą do pani baronowej. Po paru chwilach rozmowy pokierował w ten sposób jej sens, że baronowa bez żadnego trudu domyśleć się mogła do czego jej gość zmierza, choć tego nawet wyraźnie powiedzieć nie zdążył. Z bijącem sercem czekał na jej pierwsze słowo. Niestety daremnie. Pani baronowa podniosła się, milcząc, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem i wyszła z pokoju.

Pan Błażej nie wiedział zgoła jak się wydostał z pod tego dachu i jak napowrót do apteki trafił. Prawie, że odchorował tę całą historyę i przez pierwsze czasy bał się pokazać na ulicy w mniemaniu, że go ludzie palcami gotowi wytykać. Wszelako pani baronowa, niewiadomo, z dumy czy wspaniałomyślności, przemilczała o wszystkiem, salwując tym sposobem całkowicie pana Pistoriusową powagę. Jednakże od czasu owej sprawy ogarnęła go niejaka mankolia i miał chwilami wrażenie, że w końcu przecie może przegrać. Rzadko kiedy pokazywał się teraz na mieście i gdy obecność jego nie była konieczną w aptece, przesiadywał przeważnie w dużym swoim ogrodzie za domem.

Jesień tego roku niezwykle była ciepła i słoneczna a ogród pełen złotego czaru. Przytykał do niego wielki park księżnej Antoniny Eleonory Lodenic. Tyle, że ogród pana Błażeja położony był nieco niżej od parku i w małym jego stawku na łączce, na której z rzadka rosło jeszcze trochę jesiennych kwiatów, zwierciedlił się odbity śliczny taras księżnej z purpurowemi i złotemi koronami starych jesionów, odcinających się przepysznie od jasnego błękitu nieba. W głębi otwierała się szeroka aleja lip stuletnich, której linie we wodzie powtórzone, zdawały się przedłużać w nieskończoność.

Niewiadomo o ile pan Błażej zdolnym był ocenić piękno obrazu malującego się tak uroczo na cichej, szklannej powierzchni, dość, że ilekroć myśl jego rozważała o daremnych zakusach ożenku, oczy szły zawsze w stronę prześlicznej owej złudy. Nie mógł chyba przypuszczać, że z wody wychyli się ku niemu oblubienica? Ale, cóż wy na to, że jednak tak się stało?!

Było to w niedzielę, po sumie, pan Błażej siedział nad sadzawką i patrzył sennie we wodę. Widział w niej słońcem oblane, książęce jesiony i pełną cienia lipową aleję. Nie mógł nie przyznać, że widok ten był bardzo piękny. Naraz wydało mu się, że z ziemi, której w odbiciu wodnem widać nie było, ku koronom drzew wzleciał anioł i z szybkością błyskawicy sfrunął napowrót i zniknął. Po niedługiej chwili zjawisko powtórzyło się, jasna postać wzleciała znowu w powietrze, biała jak śnieg, jaśniejąca promiennem złotem włosów i znikła, aby za moment pojawić się znowu. Pan Błażej patrzył z uśmiechem na to dziwo, które zaledwie przez pierwsze mgnienie oka mogło mu się wydać zagadkowem. Wiedział dobrze co znaczy ów wzlot anielski i powtarzające się znikanie. W parku księżnej, na huśtawce uwiązanej między drzewami, bujała się młoda, śliczna dziewczyna.

— Czyżby to był kto z orszaku księżnej pani, przybyły razem z nią?— zagadnął sam siebie, goniąc bacznemi oczyma, widną w spokojnej

wodzie dziewczęcą postać, obramioną szczerem złotem jesionów rozgorzałych w południowem słońcu.

— Nie, to nie może być ani księżniczka, ani żadna hrabianka — mówił sam do siebie, przyglądając się uważnie ubogiej niemal, wełnianej sukience i białej, krzyżującej się na piersiach chusteczce bez koronek. No tak, ale cóż to za jedna?

— Ach — zawołał wreszcie po chwili — wszakże to Dorka od Skarbnikowstwa!

I przypomniał sobie gadaninę starej swej gospodyni Judyty, która opowiadała mu przed paru dniami o powrocie siostrzenicy pani Skarbnikowej z klasztoru w Kuttenbergu, gdzie przebyła kilka lat, dla wychowania i nauki niemieckiego języka.

— Dorotka! — powtórzył jeszcze raz pan Błażej. Bez żadnej wątpliwości ona...

Stary sad przy domu książęcego skarbnika sięgał aż po baszty napółrozwalonych miejskich wałów, przytykając drugą swą połową do parku, który był dostępny li tylko dworskiej służbie. Z wyjątkiem pana Skarbnika i jego rodziny nikt nie mógłby się tam dostać, zamek bowiem, nie licząc starego zarządcy, jego żony i odźwiernego, stał obecnie zupełną pustką.

— Dorotka! — upewniał się pan Błażej już po raz trzeci i oblicze jego zabarwił lekki rumieniec.

— A gdybym tak, gdybym tak... — wymówił z cicha i umilkł. Jakaż bo ona śliczna! — dorzucił po chwili znowu. Poczem podniósł się i ruszył szybko ku domowi, wołając już z daleka starej Judyty. Bez tchu wypadła z kuchni.

— Obiad w tej chwili będzie gotów... — zaręczała uspokajająco.

— Głupstwo obiad! — rzucił pan Błażej. Nie to mi teraz w głowie. Prędko, mój tabaczkowy, atłasowy surdut! Całe paradne ubranie! Tylko raz dwa!

Zdumiona gospodyni bez jednego słowa wypełniła co żywo pańskie zlecenie. Pomogła mu się ubrać, uczesać i naperfumować i gdy pan Błażej stanął wreszcie w pełnej gali, gotów przed zwierciadłem, podziwiając się w niem zakochanemi oczyma, dzieliła całem sercem jego podziw.

— Jak jabłuszko! — szepnęła od proga za wychodzącym. Kroczył ulicą mieniący się w słońcu niby paw, prosto ku domostwu, w którem mieszkał Skarbnik Jej książęcej mości imć pan Łukasz Bobesz. Przechodnie poglądali za idącym olśnieni wprost jego blaskiem, odurzeni słodyczą różanej woni, która snuła się za nim jak powiew z kwietnych

ogrodów Persyi. Każdy spojrzawszy nań domyśleć się musiał odrazu, że tak wygląda człowiek, który na coś wielkiego się waży. To też pani Skarbnikowa aż się go przelękła, taką poważną i uroczystą miał minę.

Stała właśnie w kuchni, strofując ostro służącą, ponieważ dziewczyna rzekomo niedość pilnie mięszała powidło we wielkim miedzianym kotle. W ten moment wszakże chwilowa srogość jej oblicza ustąpiła zwykłej dobroduszności. Przywitała się pięknie z panem Błażejem i powiodła go do paradnej bawialni. Po małej pauzie, która zapanowała po obrzędowej wymianie wzajemnych pytań o zdrowie, odezwał się pan Pistorius w te solenne i spokojnie wypowiedziane słowa:

— Moja kochana pani Skarbnikowo! Udaję się do pani, aby ją prosić o rękę panny Dorotki!

Pomimo że było tak bardzo proste, kazała sobie pani Skarbnikowa trzy razy powtórzyć to samo, zanim zrozumiała. W głowie mi się ćmi, mówiła, niemogąc na razie nic więcej ze siebie wydobyć jak tylko: Ależ to przecie dziecko, jeszcze zupełne dziecko!...

A gdy ona powtarzała wciąż to samo w kółko, pan Błażej wtajemniczać ją zaczął w swoje stosunki. Wiedziała, jak zresztą w mieście każdy, że aptekarz był więcej niż majętny, ale żeby posiadał aż takie bogactwa nie byłaby przypuściła. To też pani Skarbnikowa otworzyła oczy i uszy, ba nawet odrobinę i usta. Jak osoba bliska omdlenia ocierała chusteczką zroszone czoło. Miała sama sześcioro dziatwy i niemałą o nie troskę. Dorotkę, dziecko nieboszczki siostry, biedną sierotę, wychowała jak siódme, własne. Kochała je też prawie równie mocno jak swoje rodzone. Toć miało zaledwie trzy latka, gdy je w dom przygarnęła. Formalnie przyrosło jej do serca.

Pani Skarbnikowa rozpłakała się. Pan Błażej prawie że obrażony powstał.

— Czy może oświadczyny moje nie odpowiadają pani? — zapytał ostro.

— Ach, jakże pan może przypuszczać coś podobnego? — usiłowała ratować się szybko, ale bardzo niepewnym głosem, pani Skarbnikowa. Ale, ale...

— Jakie „ale?“ — zawołał pan Błażej.

— Ale — mojego męża niema w domu! — wymawiała się pani Bobeszowa.

— Prosta rzecz, że pani musi z nim pomówić — przyznał pan Błażej — wiem wprawdzie, że tak się stanie jak p a n i sobie życzy, ale dajmy na to, że trzeba aby się pani poradziła. Niema się racyi wypierać, całemu miastu przecie wiadomo, czyja tu głowa rządzi.

Pani Skarbnikowa milczała. Pogłaskało ją to i rozgniewało równocześnie. Pan Aptekarz dobył tymczasem swój emaliowany zegarek, kształtu cebuli, pięknie wysadzany perłami.

— Zostawiam państwu sześć pełnych godzin do namysłu — powiedział. To chyba wystarczy? Upraszam też naturalnie, aby przed czasem nikomu o tem słowem nie wspominać.

— Niechże i tak będzie! — odparła z głębokim dygiem pani Bobeszowa. On skłonił się również bardzo dwornie i wyszedł.

Zostawszy samą w pokoju biedna kobiecina wybuchnęła ponownym płaczem. Przecie ona ma dopiero czternaście lat — żaliła się w głos i dla takiego starego grata miałaby poświęcić swobodę i młodość?

I przypomniało jej się, jak go na przyjęciu u pana Syndyka sama nazwała straszydłem, dowodząc, że żadna takiego nie zechce.

— A teraz miałabym mu dać naszą złotą Dorkę? — mówiła potrząsając głową. Ona miałaby paść ofiarą zakładu? A na dobitek ten miły, zachwycający Floryan miałby nałożyć za to wszystko swoim pięknym fletem? — zrobiła ruch przeczący ręką.

Nagle zamyśliła się. Biedna uboga Dorka! — poczęła znów po chwili. Coprawda partyę zrobiłaby świetną. Boże, jak świetną! O ty mój dobry Boże! Takie szczęście już się jej drugi raz w życiu nie trafi. Tyle pieniędzy! Hej, hej... Znowu się zadumała. Ostatecznie to nie jest zły człowiek. Byłby jej ani chybi drugim ojcem. Na widok tego dziecka musiałoby w nim topnieć serce.

Puściła teraz swobodnie wodze swej wyobraźni. Ujrzała Dorę wszechwładną panią wielkiego, paradnego domu, widziała jak pan Błażej, „jej drugi ojciec“ na rękach ją nosi, aż do chwili, gdy go Bóg miłosierny, po jakichśtam paru latach, powołać raczy do siebie, widziała potem Dorkę wychodzącą zamąż powtórnie, już wedle wyboru serca tym razem. Żyje sobie oto jak w niebie i szczodrą dłonią stara się wynagrodzić ciotce i jej dzieciom dawniej od nich doznaną pieczołowitość. I pani Skarbnikowa wykrzyknęła na cały głos:

— Dziękiż ci, dzięki Dorotko, złoto ty nasze!

Nie zapomniała i o Floryanie. Temu powinna Dorka na weselu wyprosić przegrany flet, koniecznie...

Wszystko było już tedy mniej więcej w porządku.

Gdy po niedługim czasie pan Skarbnik do domu wrócił, żona oznajmiła mu krótko i węzłowato, że się zdecydowała wydać Dorkę zamąż. Opierał się wprawdzie gdy nazwała oblubieńca, ale jak zwykle w końcu, tak i tym razem, ustąpił. Pani Skarbnikowa powróciła do kuchni; przypomniała sobie powidło. Przyda się wkrótce do ciastek dla całego

miasta. To dopiero będzie festyn! Dziewczyna męszała teraz powidło ku zupełnemu zadowoleniu pani. A gdy już i ta troska była usuniętą, przyszło jej nareszcie na myśl, że należałoby pogadać także z panną młodą.

Zajrzała za Dorką do sadu, ale dopiero jej śmiech, dźwięczący wśród koron złotych jesionów w parku, między któremi bujała się huśtawka, naprowadził panią ciotkę na właściwy trop. Na widok dziewczątka ścisnęło ją coś za serce. Dwie starsze córeczki pani Skarbnikowej o dwa i trzy lata młodsze od Dorotki, huśtały wesoło swą cioteczną siostrzyczkę. Śmiech i nawoływania Dorki: — Wyżej dzieci, jeszcze wyżej! — niosły się przez ogród, dźwięcznie i słodko, jak śpiew wiwilgi. Migała tak w jesiennem, kryształowo przejrzystem powietrzu, swobodna, niewiedząca o niczem, świeża jak pąk różany, — a jasne jej włosy połyskiwały w słońcu, złocistsze od liści szumiących jesionów, które padały na nią z wysoka ciche i śliczne. I znowu oczy pani Bobeszowej zamgliły się na chwilę. W lot wszakże opanowała się.

— Niemądre stworzenie — skarciła się w duchu — wszakże to tylko dla jej dobra! — szepnęła podchodząc bliżej.

— Dzieci do domu! — krzyknęła na małe. — Krzysiu, Paulinko, ciastka już gotowe! Idźcie jeść!

Dziewczynki z hałasem puściły się ku domowi, zaś Dorka na huśtawce nagle osamotniona, bujała się coraz wolniej i wolniej.

— Słuchaj Dorko, poczekaj-no — podjęła ze spokojem pani Bobeszowa — podczas gdy ostatnie chyboty huśtawki ustawały powoli. Cały dzień się tak kołyszesz?

— Ale zkądże ciociu — odparła dziewczyna — huśtamy się na przemiany z małemi, każda po trochę — i trzymając oburącz sznury, utkwiła w piasku spiczaste noski malutkich pantofelków.

— Powiem ci, że dosyć by już było tych zabaw. Piętnaście lat niedługo skończysz. Dziś rano przyszło mi nawet na myśl, czyby ci nie kazać uszyć świątecznej sukni z powłoką.

Dorotka spuściła oczy. Dosyć już tych zabaw?

— Ciociu — westchnęła — byłam dziś z panią ochmistrzynią na książęcych pokojach w zamku. Proszę zgadnąć com tam widziała! Lalkę! Księżnej pani wnuczka bawi się nią zawsze ile razy tu jest. Wie ciocia, ma na sobie suknię z świecącego jedwabiu, jak ją pocisnąć to rusza oczami i ma prawdziwe włosy!

Pani Bobeszowa udała, że nie słyszy. Możliwe, że suknia o której dla ciebie myślę będzie także ze świecącego jedwabiu. Tak ci się podoba błyszczący jedwab?

Dorotka poróżowiała z uciechy, puściła sznury huśtawki, zapomniała o zabawkach.

— Naprawdę? — zawołała. Z jedwabiu? I z ogonem?! Czyż to dla mnie uchodzi?

— Czemużby nie? — odparła ciotka stając się wymowną. Tybyś już przecie mogła zamąż iść. Małoż to dziewcząt w twoim wieku prowadzą do ołtarza? Twoja babka naprzykład. Świeć Panie nad jej duszą! Niemiała piętnastu lat skończonych gdy ją wydawano. Brakowało jej szesnaście dni. I patrzajże jak się to dziwnie powtarza. I tobie zdarzył się równie osobliwszy traf. Kubek w kubek jak z nieboszczką babunią. Pomyśl tylko duszko, oświadczył się o ciebie kawaler, który cię pragnie poślubić. I jeszcze jaki! Wszystkie panny w mieście będą ci zazdrościły. Możesz mieć jedwabne suknie i aksamitne, wbród jakich tylko zechcesz i ile zamarzysz, pod dostatkiem wszystkiego, we wszystkich kolorach i paradzie...

Nagle umilkła. Tknęło ją sumienie, że popełnia coś złego. Poczęła czerwienić się i drżeć. Zaś twarzyczka Dorotki mieniła się również, ale jedynie pod wpływem klasztornych wspomnień: upokorzeń, jakie tam nieraz, sama uboga, od bogatych koleżanek znosić musiała. A teraz tamte miałyby jej zazdrościć! Na tę myśl śmiech ją brał. Pozatem była spokojna.

Tymczasem pani Bobeszowa uciszała zaniepokojone sumienie, powtarzając sobie na rozum:

— Wszystko co się dzieje, dzieje się li tylko dla dobra dziecka! I pogładziwszy Dorkę po złotych włosach zapytała ją szeptem:

— Cóż kochanie moje, zgadzasz się?

— Skoro ciocia tak każe — rzekła ze swobodną prostotą. Wtem buzia dziewczątka nieco się zasępiła.

— Ciociu, a jak ja będę taką panią z ogonem i wachlarzem, to już mi się nie będzie wolno bawić lalkami?

Wobec tej wątpliwości poszły w kąt wszystkie pióra, koronki i aksamity.

— Dlaczegożby niemiało być wolno, głuptasku, skoro cię to cieszy? zaśmiała się ze ściśniętem sercem ciotka.

Wówczas Dorka skoczyła na równe nogi z huśtawki i rzucając się na szyję pani Skarbnikowej, wołała wesoło:

— Jeżeli ciocia każe...

Dnia onego nie było, prawdę powiedziawszy, wielkiej pociechy przy obiedzie u Skarbnikowstwa. Nikt, oprócz dzieci i służby, nie był dziś w stanie jeść ze zwykłym apetytem.

O umówionej godzinie zjawił się pan Pistorius. Z samego wyrazu twarzy pani Bobeszowej wyczytać mógł odrazu, że wszystko w porządku. Powtórzyła mu najszczegółowiej swoją rozmowę z Dorotką, napomknąwszy również o lalce. Rad był słyszeć, że jego przyszła tak nieskażona jeszcze przez świat, tak niewinna i tak dla niego uchowana, niby pączek róży rosnącej w ogródku. Następnie przyprowadziła do bawialni Dorkę. Nie była zakłopotana nic a nic, nie odzywała się wprawdzie, chyba na zapytanie, ale zato uśmiech nie schodził wcale z jej buzi. Sam oblubieniec i myśl o zamążpójściu rozśmieszały ją tak bardzo! Gdy jednak pan Błażej powiedział, że jeszcze dziś wieczór zamówi dla niej taką samą lalkę jak tamta na zamku, zaczerwieniła się z radości i podziękowała mu gorąco.

Pan Pistorius był w siódmem niebie. Prosił wszakże aby jego zaręczyny pozostały na razie tajemnicą.

Po paru dniach przybyła z Pragi zamówiona lalka, prawdziwe arcydzieło norymberskiego kunsztu. Umiała ruszać nietylko oczami ale pokazywać język, a ubrana była w same jedwabie, batysty i złotogłów.

Rzecz od tej chwili była już jakgdyby przypieczętowana. Gdy już wszystko ułożono i omówiono, rozniosła się wreszcie nowina po mieście, poczem oznaczony został niedaleki dzień ślubu. Dubrowiczanie dziwowali się, składali gratulacye, bająć sobie na wyścigi niestworzone brednie.

III.

W Pradze tymczasem wiódł Floryan Sloupenski żywot beztroski i wesoły. Na koncercie u hrabiego kasztelana wyróżnił się do tego stopnia swoją grą, że mu ów nadał godność nadwornego swego muzyka. Ścieliła się tedy przed Floryanem droga wielce obiecująca. Powiewały ku niemu zdaleka laurowe wieńce sławy i nie było dnia aby go jakaś dostojna osobistość nową łaską nie zaszczyciła. Pierwszą przykrością jaka zmąciła mu tę piękną harmonię, było owo zajście w Dubrowicach.

Pan Pistorius oto, zapraszał go najniespodziewaniej na swoje wesele, przypominając tem samem przegrany zakład. Przeczytawszy nazwisko panny młodej pan Floryan drgnął. Czy podobna? Dorka! Znali się jeszcze przecie ze szkółki i nieraz jako dziecko śpiewała z nim razem na chórze. Ogromnie się zawsze kochali — i stary sad pamięta sporo ich dziecinnych figlów — tyle razy trzęśli owoce z jego drzew — i zawsze gdy jej urwisy przedmiejskie groziły jakąś dotkliwą psotą, on, Floryan, brał ją w rycerską obronę. Dostał raz przy podobnej

okazyi kamieniem w czoło i przypomina sobie jak dziś, rzęsiste łzy Dorki, jakiemi się zalała na widok jego krwawiącej rany. Pamięta też, jak wśród jakiejś zabawy przyrzekła mu raz, że będzie jego żoną, gdy oboje dorosną. Były to tylko dziecinne, napółzatarte wspomnienia jedynie, Dorki podrastającej już nie widział wcale i omal, że całkiem o niej nie zapomniał. Wtedy na zebraniu u Syndyka, gdzie się zeszedł z panią Bobeszową, po raz pierwszy od lat wychyliło się ku niemu wyraźniej tamto wspomnienie. Wówczas wieczór, ucieszył się nawet, że znowu zobaczy Dorotkę, ucieszył się o tyle o ile w ogóle taka wizya z czasów najwcześniejszej młodości wzruszać nas może. A teraz, gdy się dowiedział, że narzeczona starego, odrażającego pana Pistoriusa, to właśnie ona, Dorka, uczuł nietylko litość nad dziewczątkiem, ale rzetelne oburzenie. Policzył na palcach jej lata i porwała go na panią Skarbnikową złość okrutna.

— Nie, tegobym niebył nigdy przypuścił, że ona sprzeda dziecko. Biedna Dorka! — westchnął — i odrzucił list precz od siebie.

Bo oto nowa troska zaciężyła nad nim, troska pod której uciskiem pierzchła nawet pamięć o ofierze na łup panu Pistoriusowi wydanej: wiadomość o przegranym zakładzie!

Miałby temu człowiekowi oddać swój jedyny skarb, swój boski instrument? Nie, to przecie niemożliwe!

Pod pierwszem wrażeniem weselnej wieści, przemknęło mu przez myśl, że może lepiej będzie wcale do Dubrowic nie wracać? Teraz jednak wiedział już, że nie pozostaje mu nic innego jak — pojechać. Musi się przecie rozmówić i wytłomaczyć panu Pistoriusowi, że cała historya z fletem to był tylko żart, że ani myśli rozstawać się dlatego z ulubionem narzędziem. Czuł też doskonale, że wszystko zawisło teraz od nastroju w jakim pana Błażeja zastanie. Nie wątpił zaś ani chwili, że humor ten będzie najróżowszy. Jakżeby w dniu wesela inaczej nawet być mogło? Liczył też na dawną przyjaźń z Dorką. Przypomni go sobie z pewnością, przemówi za nim do pana młodego i usposobi przychylnie dla całej sprawy. — „Biedna Dorka!...“ dorzucił z westchnieniem.

Wyruszył dopiero na ostatni moment i przybył do Dubrowic w chwili, gdy całe weselne grono szykowało się już do kościoła. Nie był wszakże spragniony widoku pana Błażeja i zamiast do Skarbnikowstwa poszedł do innych znajomych.

Dziwne wrażenie uczyniło na nim miasto. Wszędzie pełno było gadaniny o wypadku dnia, każdy dowcipkował bez miłosierdzia — żadna żywa dusza nie użaliła się nad biednem dzieckiem, które nie-

świadome niczego, tak na przepadłe, trącano w bezdeń nieszczęścia. Biedna, biedna Dorka! Wstręt uczuł do ludzi, pociągała go raczej samotność.

Wsunął flet w zanadrze i poszedł precz za miasto. W polu, gdzie od czasu do czasu odzywał się śpiew skowronka a wiatr wstrząsał z lekka zwiędłem kwieciem i niósł się szeleszcząc w trzcinach wzdłuż potoka, lżej mu się zrobiło na duszy.

Wyjął flet i zaczął grać. Im dłużej wszakże, tem smutniej brzmiała jego piosenka. Boże sprawiedliwy! Może to już ostatni raz swój ulubiony instrument do ust przytula? Myśl ta wzruszyła go do łez. Schował let i włóczyć się począł bez celu, aż do chwili gdy słońce zapadać jęło za lasy. Dumając zawrócił wówczas ku miastu. Taki był podniecony! Lepsza już szorstka pewność niż to kołysanie się ułudną nadzieją!

Stał teraz przed siwym murem napółrozwalonych, obronnych dawniej wałów, sławetnego królewskiego miasta Dubrowic. Z poza baszt wyglądały korony wielkich drzew a ponad niemi dopiero wznosiła się siedziba książęca. Wiadomem mu było zdawna, że gdzieś w pobliżu znajduje się tu pewien przesmyk wśród murów, za pomocą którego człowiek do pewnego stopnia szczupły, znaleźć się może odrazu w sadzie pana Skarbnika. Była to droga najkrótsza i najprzyjemniejsza. Niewarto chyba wracać znów w ulice i słuchać niemiłosiernych uwag o starym oblubieńcu i młodziutkiej narzeczonej?

Idąc wolno wzdłuż kruszących się murów, ujrzał istotnie ów zapamiętany przesmyk i — znalazł się od razu w znajomym sadzie, wciśniętym w zakąt między dwiema omszałemi basztami, połączonemi ze sobą resztką obronnego wału. Na widok tego miejsca pełnego dziecinnych wspomnień ogarnęła go błogość ale i smutek zarazem. Powoli jął się rozglądać na okół.

Jesień była wprawdzie ciepła tego roku, jak rzadko, ale przymrozki ranne zdążyły już powarzyć liście na drzewach, tak, że ich korony, zwilżone popołudniowym deszczem, połyskiwały teraz rdzawą czerwienią nad mierzchnącym już w dole ogrodem. Skośne promienie zachodzącego słońca ślizgały się po rozwalinach muru. Liście na śliwach lśniły brunatną barwą starego złota a gdzieniegdzie jeszcze pozostałe śliwki chwiały się między liściem jak ciemne wisiory z ametystu. Pośród skurczonych liści jabłonek śmiały się i pachły jabłka, podobne do różanych policzków dziecinnych; od czasu do czasu opadało któreś uderzając głucho o trawę.

Sad wyglądał zupełnie jak taki ogród z bajki w którym rosną złote

drzewa a na nich wiszą klejnoty zamiast owoców. Tak tam było jakoś przedziwnie, a w głębi, poprzez mroczne gąszcze, przebłyskiwały okna domu oświetlonego już rzęsiście, domu w którym obchodzono właśnie wesele Dorotki.

Dorotka! Zdawało mu się, że ją widzi i teraz, jak się oto snuje pośród drzew, śliczna, dobra i cicha, taka jaką była wówczas, w owe dawno minione dni. Wydawała mu się zawsze podobną do Bożego Dzieciątka rwącego w rajskim ogrodzie jabłka dla grzecznych dzieci na choinkę.

Biedna, biedna Dorka!

I sięgnął znowu po swój flet. Ten go zawsze najlepiej zrozumie.

Zapragnął pożegnać Dorkę, powiedzieć jej w dniu zaślubin ile szczęścia jej życzy. Chciał to uczynić całkiem cicho, cichuteńko jak westchnienie, wygrać niby powiew najlżejszy. Ale pieśń jego przyszła, sam niewiedział zkąd, z powietrza z mgieł — snuła się wskroś drzew przedziwnego sadu, zabierając go razem, precz ku jakowymś wyżynom. Porywała go, dźwięcząc coraz donośniej, coraz bardziej natchniona, niby źródło gdy ze skały tryska i tocząc się w dal, wzbiera coraz wyżej...

Naraz podniósł wzrok — i zdumiał. Co to? Sen-że to czy jawa?

Na drzewie, o kilka kroków wedle niego, w miejscu, które przypadkowo spojrzeniem był ominął, wysoko, pośród skąpych liści w purpurowej łunie ostatnich słonecznych promieni, ujrzał zjawę cudownie wdzięczną, piękniejszą nad wszystko co w życiu swojem oglądał.

Siedziała na gałęzi, biała jak śnieg, ubrana w długą szatę barwy jasnego błękitu, tkaną w złote kłosy i ciemniejsze bławaty. Na drobnych stopkach miała brokatowe trzewiczki a długi śnieżny welon opadł z jej czoła i zaczepiony o gałąź powiewał w powietrznym błękicie. Na jej brunatnych włosach iskrzył się jakby złoty pył, tak lśniły pięknie, przetykane kwiatami, zwinięte skromnie wokół głowy. Gdzieniegdzie żarzyły się w nich drogie kamienie tkwiące w szpilkach, któremi upięto pukle, bujne i jedwabiste.

Zarysy tej głowy i linie smukłej białej szyjki były najcudowniejszem na co oczy Floryanowe kiedykolwiek patrzyły.

Świeża, najwcześniejsza młodość zaledwie rozkwitała w subtelnym wdzięku tych rysów a oczy zachwycającego stworzenia, piękniejsze od szafirów kołyszących się w długich zausznicach, patrzyły z wyrazem takiego spokoju i niewinności jaki miewa wzrok samotnej sarny.

Prawdziwie zdawać się mogło, że przyleciała usiąść na to drzewo jak gołąb, tak żywo, poruszenia szyi jej i głowy przypominały tego ptaka.

Floryan stał jak skamieniały i niewątpliwie w tym momencie niezmiernego zdumienia, oblicze jego przybrać musiało wyraz nieco ucieszny, bo wysoko pośród konarów starej jabłoni, zabrzmiał nad nim cichy dziecinny śmiech, niewinny, czysty jak dzwonek, wprost cudny.

— Anieli w niebie nieznają chyba piękniejszej myzyki nad taki dziecięcy śmiech... — wyszeptał z cicha Floryan. I Bogu się on też podobać musi... Nawet Jego odwieczne serce młodnieć może gdy coś takiego zasłyszy!...

I uczyniło mu się nagle dziwnie radośnie, dziwnie błogo na duszy.

Bajeczne zjawisko zagadało tymczasem z wysokości drzewa:

— Floryan? — spytała.

— Ach, wszakże to Dorotka we własnej osobie — dziwował się w głos muzyk. A czegoż ty tam szukasz?

Z przemiłą minką pokazała mu jabłko, zagłębiając białe ząbki w różowy policzek owocu.

— Takam głodna! — westchnęła. Ale jeść niemogłam pókiś grał. Jakież to było smutne!

— Więc słyszałaś? Tak, zapewne, siedząc na tem drzewie... Ale na Boga czemu jesteś tutaj a nie z tymi, którzy tam obchodzą twoje wesele?

Tak mu się naraz żałośnie zrobiło przy tych słowach, tak strasznie... O, ten Pistorius, ten stary jastrząb! Takiego ptaszka chwycił w szpony!

— Wstydziłam się tam jeść — odparła szczerze Dorka. Tak tam było dużo cudzych ludzi, tak się na mnie ciągle patrzyli i tak się śmiali, całkiem niewiem dlaczego. Udało mi się w końcu wymknąć im. Ledwom się na tę jabłoń wydrapała, jakeś ty nadszedł Floreczku. Zaraz cię poznałam. A może także chcesz jabłko? I nieczekając na odpowiedź rzuciła mu śliczne żółte, purpurowo nakrapiane. Upadło na trawę tuż przed nim.

— Choćbyś była Ewą — zawołał młodzieniec — a podała mi jabłko z tym promiennym uśmiechem, skwitowałbym z dziesięciu rajów!

Dorotka się roześmiała. Nierozumiała zgoła co powiedział.

— Jedz! — nalegała nań.

Posłusznie podniósł owoc do ust, ale naraz łzy stanęły mu w oczach. Współczucie i żal nad tem dzieckiem przeszyły jego serce.

— Co ci takiego? — spytała zaniepokojona.

— Tak mi cię strasznie żal, pani Dorotko!

— Pani! Ja „pani"?! — przedrzeźniała śmiejąc się. A dlaczegoż-to

mnie pan tak żałuje? — dorzuciła po chwili. Cóż mi to kto złego robi albo przykrego?

— Uczynili z tobą najgorsze! — zawołał namiętnie. Z nieszczęsną nie pojmującą niczego! Przecie oni ciebie sprzedali! Wszakże pani pojęcia jeszcze niema co to miłość — i właśnie dlatego nie wiesz jaką straszną krzywdę ci dziś wyrządzono!

Dorka widziała jak cały drżał i bladł i nagle spoważniała także. Nie wiedząc coby na razie powiedzieć, zagadnęła wreszcie:

— Miłość! A czy pan wie co to takiego?

— W tej chwili wiem lepiej niż kiedykolwiek — wyszeptał muzyk. To jest oszołomienie, poryw, piorun...

Dorotce wyjaśnienie to nie wydało się wystarczającem. Pokręciła tylko główką w milczeniu.

— Ale co też ja mówię, na Boga! — szepnął chwytając się za czoło. — Wszakże zapominam na śmierć, że mówię do cudzej żony! Cudza żona! O ty nieszczęsne, zaprzedane, nieświadome dziecko!

I łzy popłynęły mu z oczu. Wtedy już i Dorka niemogła się powstrzymać i zaczęła płakać razem z nim. Niewiedziała właściwie dlaczego, ale głos jego przenikał jej serce a piękność wzruszała ją do głębi.

— Tylko miłość ma prawo łączyć ze sobą dwie dusze! — dowodził młodzieniec. Małżeństwo bez niej to zgroza! A między tobą i tym starcem niemoże być i cienia miłości!

Dorka się zlękła. Jakieś ją zaczęło ogarniać niejasne przeczucie. Przejął ją nagle niewysłowiony strach. Przecie już w bajkach zasłyszała o czemś podobnem, o jakiejś królewnie, którą zaswatano straszydłu. W bajce jednak zjawiał się zawsze waleczny rycerz, w sam czas, aby wyzwolić ofiarę. I to była cała pociecha.

Podczas gdy Dorka dumała, Floryan przycisnął z rozpaczą dłoń do serca, przyczem dotknął fletu, ukrytego w zanadrzu. Wyjął instrument, bo uczuł, że nie potrafi już mówić więcej o swej miłości, tej miłości, która zjawiła mu się tak niespodzianie w tym mrocznym ogrodzie — a może ocknęła tylko ze snu wspomnień dawnych, podobna gwieździe wybłyskującej z za chmur. Zapragnął pożegnać Dorkę; wszakże była już dla niego jak umarła. W tej samej chwili, w której spotykał ją znowu, wyrzec się jej musiał na zawsze, iść bez niej przez życie — sam.

I ani wiedział jak się to stało, że z fletu jego wypłynęła właśnie owa prosta a uroczyście smętna melodya z „Orfeusza“ Glucka, ta sama, którą niedawno, jako nowością muzyczną oczarował był, porwał i zachwycił Pragę, melodya, której piękność wprawiała jego samego

w stan ekstazy, pożegnanie Orfeusza z umarłą Eurydyką, gdy ją nieubłagany Hades znowu w czeluście swoje pogrąża:

„Che farò senza Euridice...“

Tony słodkie, słodkie, przenikające i śmiertelnie smutne, wzbijały się wysoko w ciszy wieczornego powietrza a biedna Dorka słuchała ich bledziuchna z wielkiego wzruszenia, chyląca się coraz niżej ku grającemu — a on zbliżał się także, jakgby falą własnej muzyki niesiony, i taki był całkiem inny niż wszyscy ludzie na świecie... Nagle ozwał się trzask złamanej gałęzi i Dorka spadła mu w otwarte ramiona, które zaledwie zdążył wyciągnąć do niej na czas. Padła mu na samo serce i z ust jej już się miał wyrwać okrzyk przerażenia, kiedy je Floryan przymknął pocałunkiem. Spłonęła wstydem jak róża; pocałunek Erosa obudził Psyche... W tej chwili już nie była dzieckiem. Równocześnie cofnęli się od siebie.

— Żegnaj mi moja perło złota! — wyszeptał. O serce moje, jakże ty bolisz, jak bolisz! Już się twoja rana nie zagoi nigdy...

— Bywaj zdrów! — odszepnęła mu nawzajem, odwracając głowę.

Naraz ozwał się w pobliżu gwar licznych głosów i cały sad rozbłysnął światłami latarek.

— Nareszcie! Znaleźliśmy Pannę Młodą! — wołano ze śmiechem na okół.

— I znalazł się także nasz pan grajek! — zakrzyknął gniewny oblubieniec. Jego własna dudka naprowadziła nas na trop. No, młody człowiecze, cóż powiadasz na moją żonę? Czy aby dosyć urodziwa? Co? I dosyć młoda także? Jak uważasz?

Mówiąc to, przegiął się ku Dorce chcąc ją pocałować. Biedactwo rzuciło się po ratunek do pani Skarbnikowej. Goście zaczęli się śmiać, Dorka ukryła płonącą twarzyczkę na piersiach ciotki a pan Pistorius kipiał.

Gniew jego obrócił się cały przeciw Floryanowi.

— A teraz proszę o flet, którym od pana dziś wygrał! — zażądał szorstko. „Obejdzie się bez przygrywania po ciemku treli mojej żonie. Mógł pan przecie przyjść pomiędzy nas, wszakżem cię zaszczycił zaproszeniem.

— Mój flet! — zawołał z trwogą młodzieniec. Czyżbyś mi go pan naprawdę chciał odebrać?!

— A słowo? Czyżbyś pan nie wiedział co znaczy słowo mężczyzny? — odparł wzgardliwie pan Pistorius.

— Niechże tedy, oto jest — wyrzekł młody muzyk podając staremu cenny swój flet. Dławione łzy ćmiły mu głos gdy dorzucił, patrząc

w stronę Dorotki: — Wszystko mi pan dziś odebrał, wszystko com miał w świecie najdroższego...

Pan Pistorius obrzucił chmurnem wejrzeniem Floryana i Dorkę i gdy dostrzegł jej wzrok pełny łez, utkwiony z wyrazem współczucia w pięknej twarzy grajka, piorun nienawiści zamigotał mu w oczach.

— Chodźmy już — rzucił chrypliwym głosem, chwytając za rękę żonę, ruchem wcale nie nadto delikatnym.

— Nie, proszę nie iść! — zawołała Dorka. Proszę mu nie odbierać jego fletu! Ja niechcę!

— A dlaczegoż-to? Hm?

— Bo niechcę! Bo mnie to boli!

— A mnie właśnie cieszy!

— Ale proszę, proszę to zrobić dla mnie! — błagała Dorka cała we łzach a wszyscy wstawiali się za nią:

— Pierwsza prośba żony! Niechże jej pan wysłucha!

Na to pan Błażej rozzłościł się jeszcze bardziej a gdy Floryan powiedział Dorotce:

— Nie, nie — proszę się już dla mnie nie upokarzać więcej! — furya jego dosięgła szczytu.

— A niechże już raz będzie koniec temu wszystkiemu! — syknął uderzając fletem o pień drzewa z taką pasyą, że się heban w drobne drzazgi rozprysnął.

Z ust Dorki i Floryana wydarł się równoczesny okrzyk, tak rozdzierający żałością, że usłyszawszy go, sami się siebie ulękli. Spojrzenia ich spotkały się. Zadrżeli oboje i spuścili powieki. Pan Pistorius wszelako klął w głos. Ostra drzazga rozbijanego fletu skaleczyła go w rękę tak głęboko, że krew trysnęła strumieniem. Owinął dłoń batystową chusteczką i wołał ze złością:

— Chodźmy-ż już raz do domu!

Floryan zniknął w mroku a Dorka trzymała się konwulsyjnie ramienia ciotki. Weselne grono wróciło do bawialni, czas jakiś usiłowano jeszcze pić i pośpiewywać, podczas gdy pan Pistorius przemywał w świeżej wodzie zranioną dłoń. Z tej chwili skorzystała pani Skarbnikowa aby pouczyć nieco Pannę Młodą o jej nowych obowiązkach. Nakoniec młody żonkoś objawił swej małżonce, że już pora odejść do domu. Dorotka jednak ani słyszeć o tem nie chciała a gdy ją pani Skarbnikowa ostro zaczęła strofować, podniosła na ciotkę oczy pełne łez i wyrzutu i przypomniawszy słowa Floryana, wyszeptała z cichem łkaniem:

— Sprzedaliście mnie!

Wszyscy zdębieli, nikt nie śmiał mrugnąć, ani ręką poruszyć, gdy naraz ciotka, chwyciwszy się za głowę, poczęła wołać:

— Cóżem ja zrobiła, com ja zrobiła!

Dorce uczyniło się jej żal.

— Dobrze, już pójdę — powiedziała wreszcie i wybiegła z domu tak prędko, że pan Pistorius zaledwie mógł jej nadążać. W progu powitała ją stara gospodyni pana Błażeja, nadeszła spiesznie z kuchni, otrząsając resztki snu z oczów.

— Prowadźcie mnie! — brzmiał rozkaz młodej pani, w którym dźwięczało wzburzenie. Stara sługa bez tchu biegła za nią po schodach.

— Co to za pokój? — zapytała spiesznie Dorka, stając przed pierwszemi drzwiami na piąterku.

— To moja izdebka, proszę jasnej paniusi! — odparła Judyta z uśmieszkiem zadowolenia, otwierając drzwi, rada, że pochwalić się może przed młodą panią czystością i ładem swej siedziby. Dorotka wzięła jej z ręki mosiężny lichtarz i weszła do pokoiku. W tymże momencie zjawił się na progu obok Judyty zdyszany pan Błażej. Wówczas Dorka zatrzasnęła mu drzwi przed nosem i zasunęła rygle. Była to odpowiedź na pouczenia cioci Skarbnikowej.

— Cóż to ma znaczyć, cóż to ma znaczyć?! — ozwały się naraz dwa głosy: pana i służącej.

— Dobranoc! — odparła przez drzwi Dorotka. Zostaję tutaj!

Na nic nie zdało się wszelkie pukanie i wołanie. Nie ustąpiły ani drzwi ani Dorka. Zarówno stara Judyta jak i jej pan musieli w końcu się cofnąć. Judyta poszła spać do izby czeladnej, zaś pan Pistorius do wielkiej, świątecznie przystrojonej, samotnej swej alkowy.

Nazajutrz gadało o tem zajściu całe miasto i kpinom nie było końca.

IV.

Był-to dla pani Bobeszowej nielada trud, zanim zdołała rozprzężonemu tak od pierwszej chwili pożyciu, nadać bodaj tyle pozornej równowagi, aby, kładąc tamę ludzkiemu pośmiewisku, nie dopuścić zgorszenia i w czas zapobiedz wszelkiej niepoczciwej gadaninie. Prosił ją o to usilnie sam pan Pistorius, padł przed nią nawet na kolana, zgryziony i cały trzęsący z irytacyi. Ręka zraniona drzazgą fletu sprawiała mu wielki ból, ale było bodaj czem upozorować przyczynę, dla której nosa z domu nie wytykał i nie był zmuszony, jak to mówią, świecić oczyma przed ludźmi.

W rokowaniach z młodziutką i zdumiewająco upartą panią domu,

pomagała pani Skarbnikowej wielce wydatnie stara Judyta, tak, że udało im się nakoniec uzyskać coś w rodzaju zawieszenia broni.

Dorotka zgodziła się towarzyszyć mężowi na codzienną przechadzkę, przystrajać się rozmaicie wedle jego życzenia, być uprzejmą, troszczyć się przy pomocy Judyty o mężowskie gospodarstwo, siadać z nim razem do stołu, a przed ludźmi wyrażać się o nim z należytą czcią i przywiązaniem. Natomiast otrzymała rękojmię, że pan Pistorius nie okaże się już nigdy tak natarczywym jak pierwszego ranka, gdy odważyła się wyjść wreście z pokoiku Judyty. Wybrała sobie następnie dość obszerną stryszkową izbę na piąterku. Wchodziło się do niej z kurytarza, po kilku szerokich kamiennych schodach, przez drzwi dębowe, mocno okute, zamykane na rygle, ciężkie jak w więzieniu, tyle, że umieszczone tutaj od wewnątrz. Izba ta miała wprawdzie ściany bielone ale zdobił ją ładny drewniany pułap, nie zawierała też wiele sprzętów. Stał tam klęcznik, na którego drzwiczkach, wykładane pięknie kością i kolorowem drzewem, widniały obrazy z żywotów św. Jana i św. Wacława. Nad klęcznikiem wisiał starożytny, czarny wizerunek Matki Boskiej na złotem tle, w kącie zaś, stała malutka prześliczna kołyska, na której intarsya o naiwnym rysunku wyobrażała ptaszka siedzącego wśród tulipanów gwiazdy i słońce o ludzkiej uśmiechniętej twarzy.

Dorotka przysunęła kołyskę pod wielki kaflowy, biało-niebieski piec z saskiej porcelany i uśpiła w niej swoją piękną lalkę. Przy drzwiach stała staroświecka, malowana skrzynia, w której sobie Dorotka ułożyła bieliznę i suknie. Wniesiono jej tam nie duże łóżeczko z białemi osłonami, krzesełko i stolik. Nad malowaną skrzynią wisiało jeszcze zwierciadło, tak czyste, że prawdziwie miło się było w niem przejrzeć. Stanowiło ono osobliwszą radość Dorotki. W ramce jego bowiem, rzniętej również w szkle, u góry łukowo wygiętej, tkwił milusieński obrazek, na którym młody pasterz, strojny w różowe wstęgi przygrywał na złotym flecie. Pasterz ów przypominał jej Floryana i gdy go pierwszy raz dojrzała na obrazku aż się jej gorąco zrobiło ze wzruszenia. Bez tchu pobiegła otworzyć okno i wychylić głowę na chłodne powietrze.

Ach, jakiż ztąd cudny był widok! Drzewa książęcego parku zdawały się pozdrawiać ją uprzejmie. Można było popatrzeć daleko na pola, aż precz ku lasom. Cały rozległy widok przesłaniała srebrzysta opona deszczu, który szemrał słodko wśród drzew i bębnił z cicha w dach nad stryszkową izdebką. Dorotka musiała przyznać, że znalazła sobie pod mężowskim dachem kątek przedziwnie zaciszny i miły. Wydawała

się też tak pojednawcza i potulna, iż pani Bobeszowa żywić jęła najpiękniejsze nadzieje.

Dnie mijały spokojnie, jednostajnie i wcale szybko. Dorotka, pod kierunkiem starej Judyty, krzątała się wesoło po domu, polubiwszy rychło starą gospodynię, która potrafiła ją nietylko zająć ale i zabawić. Judyta była morawianką i Dorotka nieraz śmiała się po dziecinnemu z jej wymowy, której odrębności, pomimo długich lat pobytu w Czechach, niezdołała się wyzbyć bez śladu. Bajki jej natomiast i śpiewanki radowały Dorotkę niezmiernie, miały taką osobliwą barwę, były dla niej czemś zupełnie nowem i Judyta umiała je tak pięknie mówić i wyśpiewać. Zwyczajną porą tych rozrywek bywała szara godzina, gdy pan Pistorius, który jeszcze ciągle niedomagał na rękę, udał się był wcześnie na spoczynek. W mrokach wielkiej kuchni, gdzie ogień przygasał już na palowisku a mnogość miedzianych i cynowych naczyń błyskała tajemniczo ze ścian, gdy kołowrotek Judyty swojsko furczał, tak tam było przytulnie, tak miło, zwłaszcza kiedy deszcz siec począł o szyby a wiatr zawodził w kominie.

Wówczas myśli Dorotki snuły się słodkie i nieuchwytne a z obłoka rozpłynnych mgieł tych i przywidzeń wychylała się czasem młodzieńcza postać pięknego muzyka, cała świetlana od Dorczynych uśmiechów. Wtedy w duszę jej napływało wspomnienie owej porywającej melodyi, którą jej Floryan grał na pożegnanie w starym sadzie.

O gdzież on teraz przebywa? Czy jeszcze o niej pamięta? Serce Dorotki odpowiadało że — tak. Zaraz nazajutrz po jej weselu odjechał. Czy przyjedzie jeszcze kiedy do Dubrowic? Przy tem zagadnieniu Dorotka wzdychała zawsze tak głęboko, że aż stara Judyta zwykła była pytać co jej takiego. Miast odpowiedzi wszakże prosiła Dorka o jaką nową piosenkę i słuchała, aby wreszcie, przejęta cała i wzruszona, pójść spać do siebie na górę. Przed zaśnięciem szła zawsze pod piec utulić w kołysce swoją piękną lalkę, aby broń Boże nie zmarzła, całując ją i pieszcząc na dobranoc. Musiała wprost kogoś bardzo kochać a nie miała nikogo prócz swojej lalki ze szklannemi, ruchomemi oczyma. Mówiła potem pacierz przed czarną Matką Boską i zasypiała spokojnie, pomimo udręki i westchnień, z echami muzyki Floryanowej w duszy. Była dzieckiem jeszcze zawsze.

Pewnego razu wszelako wstrząsnął nią śmiertelny lęk i spokój jej marzycielski zmącony został aż do dna. Daleki krewniak pana Błażeja przejeżdżał przez Dubrowice i zatrzymał się wieczór w domu nowożeńców. Śmiech zbierał Dorotkę ilekroć ów jegomość powiedział do niej „pani ciotko“, zresztą wcale się z nim dobrze bawiła. Zgadało

się o muzyce i gość z Pragi, zagorzały miłośnik śpiewu, rozpowiadał o występach operowej trupy włoskiej, bawiącej właśnie w stolicy. Szczytem wszystkiego co dotychczas usłyszał miał być wedle niego Glucka „Orfeusz". Opowiedział Dorotce jedną ze scen tego wybitnego dzieła i całkowicie porwał swą opowieścią dziewczątko, które do tej pory ani o żadnym Glucku, ani istnieniu oper wogóle, nie śniło. Podanie o Orfeuszu, nowe też dla niej zupełnie, zachwyciło ją tak samo, a może i więcej, niż bajki Judyty a gdy gość opowiadać począł jak to Orfeusz traci po raz wtóry i już na zawsze swoją Eurydykę, dopiero co wyzwoloną przez siebie z mroku piekieł i sam potem zrozpaczony szuka śmierci, krew jej się ścięła w żyłach.

Wreszcie muzykalny gość zanucił tę pieśń, którą z myślą o śmierci śpiewa Glucka Orfeusz. Sposób w jaki odtwarzał tę patetyczną aryę nieoddawał jej może dosyć wiernie, przejmował jednak uczuciem i zapałem. Dorotka zbielała i cud był, ze nie krzyknęła w głos. Poznała natychmiast, że była to ta sama pieśń, którą jej Floryan, także jakby na pożegnanie wieczyste, zagrał wówczas w sadzie. Może i on miał wtedy śmierć samobójczą na myśli i chciał jej o tem tą muzyką powiedzieć? Może on dlatego był taki blady i oczy jego świeciły tak strasznie? A ona ani pojęła go, ani przeczuła!

Strach podniósł jej włosy, nie słyszała już nic co się wkoło niej mówi. Wstała wreszcie i wyszła z pokoju, nie wiedząc wcale gdzie idzie. Dreszcz nią wstrząsał.

— Dlatego-to on tak bez śladu gdzieś przepadł! Dlatego nic już o nim nie słychać! — szeptała, skuliwszy się w kątku kuchni, dokąd zaszła bezwiednie. Judyta przędła tam i śpiewając z cicha, nawet jej nie zauważyła. Nuciła jakąś pieśń, której Dorotka jeszcze nieznała, prostą i smutną. Zasłuchała się w nią mimowoli:

Idzie wieść od młyna, idzie wieść od wody,
Ponoś tam utonął jakiś chłopiec młody.

— Judyto, przestań! — jęknęła z wysiłkiem. Zęby jej szczękały. Czyż każdy musi dziś śpiewać o samych okropnych śmierciach? Judyta nie usłyszała jednak i nuciła dalej:

A gdy szedł już na dno, wołał na dziewczynę:
„Ściągnij białe rączki, ratuj, niech nie ginę!"

Dorotka łamała ręce. W kominie, tuż nad jej głową wyła wichura i huczała zadymka, jak spienione, głębokie wody rzeki, w których tonął

ów chłopiec. Ponuro brzmiała wśród tych pohuków głuchych i poświstów prosta piosenka Judyty:

„Czemużeś mój miły, przy świętej niedzieli,
Zamiast do kościoła, chodził do kąpieli?"

„Hej nie do kąpieli, pławić ja koniki
Jechałem, najmilsza, do tej bystrej rzéki.

Już mi tak od Boga było snać sądzone,
Taka moja dola, że młody utonę"

„Dola-ż tobie, miły, kara mnie niebodze,
Żem twojem kochaniem wzgardziła tak srodze".

— Nie, nie! To nie przezemnie, o jam temu niewinna! — szlochała Dorotka. Ja przecie o niczem nie wiedziałam! O gdybyż mnie Pan Bóg zabrał, zamiast niego!

Całkiem się biedactwu w głowie pomięszało od żalu.

Judyta odłożyła wrzeciono i wstała wylękła. Niczego naturalnie nie rozumiała, ale widziała gorżkie łzy swojej pani.

— Jasna paniusiu, moje serduszko złote, co pani takiego?

— Ach, Judyto, Judyto! — łkała Dorotka i na nic więcej nie mogła się zdobyć.

Stara sługa zaprowadziła ją do stryszkowej izdebki, rozebrała i otuliła w łóżku, a gdy ją cokolwiek uspokoiła, zeszła uwiadomić pana Błażeja, że pani trochę niezdrowa, położyła się i już śpi.

Dorotka nie spała jednak. Zerwała się z pościeli, padła na kolana przed obrazem Maryi Panny i zaczęła się modlić za oddalonego. Potem załkała w głos:

— O, teraz już wiem, teraz wiem co to miłość, o której on mówił! Co znaczy połączenie jednej duszy z drugą! O drogi mój, o mój drogi! aż wreszcie spłakana i wyczerpana zasnęła ciężkim snem.

Słońce świeciło już oddawna w jej pokój, gdy Judyta zapukała do drzwi.

— Co tam słychać z paniusią? Bardzo się troskam jak zdrowie? — mówiła przez drzwi. Już późna godzina i pani Skarbnikowa przyszła w odwidziny.

Dorka spiesznie się umyła, zarzuciła suknie i pędem zbiegła do bawialni, gdzie już pan Pistorius siedział z ciotką. Pani Skarbnikowa przybyła z wielką nowiną: Księżna pani bawiła w Pradze! Wiele już zim z rzędu zwykła była spędzać u swej zamężnej córki w Rzymie

obecnie wszakże napadła ją nagła tęsknota za krajem, chęć zobaczenia posępnych, szumiących lasów, użycia znowu przejażdżki sanną. Postanowiła tedy ściągnąć, bezpośrednio po Wigilii, na dubrowicki zamek i wydać na Sylwestra wielki bal dla książęcych oficyalistów. Ponieważ doszła ją wiadomość o zamęźciu Dorotki, zapraszała wraz z mężem i ją.

Pani Skarbnikowa wysypała to wszystko jednym tchem a gdy po chwili weszedł do bawialni kuzyn-gość pana Błażeja, opowiedziała całą swoją relacyę po raz wtóry.

Dorka słuchała z roztargnieniem i wtedy dopiero skupiła uwagę, gdy ciotka, podnosząc się do odejścia, dorzuciła:

— Nielada nowiny, moja Doro! Ale, ale, jeszcze jedna! Młody Sloupenski otrzymał, dzięki poparciu księżnej pani, świetną posadę w Rzymie. Jedzie tam już na wiosnę. Został dyrygentem w prywatnej kaplicy jakiegoś kardynała, zapaleńca na punkcie muzyki.

— Więc żyje! Więc się nie utopił! — wykrzyknęła Dorka głosem drżącym od uciechy. Taki miałam o nim straszny sen...

— Co też ty pleciesz, dzieciaku? — zdumiała się ciotka, zaś pan Pistorius wtrącił gniewnie:

— W ogóle zbyteczne aby ci się śnił.

Ciotka śmiała się, zaś gość z Pragi zauważył, że nikt za swoje sny odpowiadać nie może.

Dorkę ogarnął teraz najlepszy humor. Podjęła z gościem żywą rozmowę, wypytując go jakie też ta piękna opera „Orfeusz“ ma zakończenie. Była bowiem wczoraj jakaś nieswoja i całkiem nie słyszała końca. A gdy się dowiedziała, że sam bóg miłości nadaje wszystkiemu obrót najpomyślniejszy, że Orfeusz życia się nie pozbawia, owszem, wolno mu żyć i w szczęściu miłować swą Eurydykę, wprost promieniała z radości.

— Ach, gdybyż się tylko wszystko tak pięknie i szczęśliwie kończyło! — westchnęła, biegnąc do kuchni, by się tam zakrzątnąć z Judytą i podkuchenną. Gość z Pragi dziś już odjeżdżał i miało się odbyć pożegnalne przyjęcie ku jego czci.

V.

Jeszcze tylko paru dni brakowało do Bożego Narodzenia. Na zamku wrzało od przygotowań, miasto całe się ożywiło, ruch też panował i w domostwie pana Błażeja. Postanowił wystąpić na balu u księżnej pani w pełnym blasku swojej godności i pragnął aby i jego młodziutka żona zaćmiła wszystko naokół. Dom roił się od szwaczek, krawców

i szewców, którzy szli ręka w rękę ku dziełu. Pan Pistorius i pani Skarbnikowa mieli na głowie cały kłopot, zmuszeni myśleć i za siebie i za Dorotkę — ona bowiem nie miała żadnego doświadczenia, ani wyobrażenia o tem co stosowne, co noszą obecnie a czego nie. Pan Pistorius cieszył się niezmiernie na ten bal, ale radość jego mąciły dwie troski. Najpierw męczył go ból w zranionej ręce. Niezasięgnąwszy od razu porady lekarskiej, leczył się sam i oklejał rozmaitemi plastrami, rana wszakże nie chciała się goić. Gdy nareszcie przybył wezwany doktor, pokazało się, że cała historya w skutek niemądrego obchodzenia się z raną, zamiast iść ku dobremu, pogarszała się — i teraz dopiero rozpoczęło się prawidłowe leczenie. Rana jednak jątrzyła się wciąż a im dłużej, tem bardziej była bolesną.

— Po balu pojadę do Pragi dać to obejrzeć jakiemu sławnemu lekarzowi — powiedział pan Pistorius i cierpiał dalej.

Druga troska była prawie jeszcze cięższa. W drugie święto Bożego Narodzenia siedzieli z żoną spokojnie przy wieczerzy i pan Pistorius opowiadał jej właśnie o przybyciu na zamek księżnej pani z liczną świtą i orszakiem różnych dostojnych osób, gdy Dorotka pobladła nagle, znieruchomiała i błysk szczęścia mignął w jej oczach. Zdziwiony, już chciał ją zapytać o przyczynę tej błogości, gdy pytanie okazało się zbytecznem.

Przez szczelnie pozamykane okna dobywały się tony fletu, wpływały do wnętrza spokojne i słodkie... Była to znajoma pieśń Orfeusza. Pan Pistorius wiedział wlot kto to gra.

— Ten przemierzły dławiduda znowu tu! — ozwał się ze złością, odsuwając talerz. Nie był już wcale głodny.

Dorka poszła do siebie i marzyło jej się, marzyło — miała wrażenie, że słyszy ciągle tę prześliczną melodyę, nawet wtedy jeszcze, gdy już dawno brzmieć przestała.

Od tego dnia począł ją pan Pistorius zamykać w domu jak w więzieniu. Nie mógł się uspokoić żadną miarą. Ale na co się zdało całe pilnowanie! Co wieczora, gdy tylko Dorotka weszła do swej izdebki i zaświeciła światło, jakby na dany znak, odzywała się przejmująca, znajoma muzyka, kołysząca ją w sny cudowne. Pan Pistorius się wściekał — ale niebyło ratunku. Niemógł zabronić dźwiękom wstępu do swego domu, ani nałożyć więzów marzeniom Dorotki. Wprost gorączkował ze złości.

— Nic pan sobie nie rób z tego wszystkiego! — pocieszała go pani Skarbnikowa. Przecie panu wiadomo, że to długo nie potrwa. Wiem z najlepszego źródła, że Floryan zaraz po balu odjeżdża do Pragi.

Księżna pani słyszała jak grał u hrabi Kasztelana i zaprosiła go do siebie na koncert. Przyjechał tylko dlatego.

Dał się jako tako udobruchać, nie przestawał jednak liczyć dni do odjazdu tego „grajka". O, gdyby już było nareszcie po balu!

Nadszedł w końcu ów dzień, tak dla Dubrowic uroczysty. Wieczór, gdy pan Pistorius ujrzał wchodzącą do pokoju Dorotkę, strojną i świetną, jak wielka dama, gotową jechać z nim na zamek, zapomniał przez chwilę o wszystkiej złości, ba nawet o bolącej ranie.

Dorka, po raz pierwszy w życiu miała upudrowane włosy, wysoką fryzurę, zdobną w pióra i kwiaty. Srebrzysty brokat jej sukni tkany był w jabłka granatu, szyję owijały sznury pereł, którychby się nie powstydziła żadna hrabina, a w rączce jej tkwił trzonek bursztynowego, rzeźbionego wachlarza, roboty tak misternej, że miał raczej pozór przejrzystej koronki.

Był też ogólny podziw gdy się pan Pistorius ukazał z żoną na zamku. Na tle wielkiej sali, zdobnej w liczne weneckie zwierciadła, i białe, kunsztowne sztukaterye, jarzącej morzem woskowych świec, których niezliczone płomyki dwoiły się jeszcze w lustrzanych, kryształami obwieszonych kinkietach, podobna róży wśród śniegu, była Dorka prawdziwie zachwycającem zjawiskiem. Szeptano ze wszystkich stron, że pan Pistorius jest chyba najszczęśliwszą istotą pod słońcem.

— Długo wprawdzie przebierał — ozwał się ktoś w tłumie — ale też upatrzył w końcu co było najpiękniejszego!

Słowa te doszły uszu szczęśliwca i pan Pistorius rozpływał się z lubości. Dorotkę radował również ten podziw i serce jej drżało od uciechy, zwłaszcza, gdy naraz ujrzała przed sobą Floryana.

— Ach, i pan tutaj! — zagadała doń, stając. Pan Pistorius rad nierad, zatrzymać się musiał także, przemógł się nawet o tyle, że powiedział z zupełnym niemal spokojem: — Dobry wieczór!

— Panie Pistorius, panie Aptekarzu! — zawołał nań w tejże samej chwili pan Rejent. Na słóweczko tylko, upraszam najmocniej... i odciągnął go o parę kroków dalej.

Dorotka i Floryan stali sami naprzeciw siebie.

— Co wieczora słyszę pana granie — westchnęła — ale już tak podobno długo nie będzie...

— A czyś pani rada tej mojej muzyce?

Nie odrzekła słowa, ale wyraz jej był dostatecznie wymowny.

— I będzie pani żal za mną, nie, za mojem graniem, gdy pojadę?

Łza wybłysła pod jej powieką i spływała wolno po twarzyczce.

— Zostanę! — szepnął.

Zlękła się, ale uśmiech powrócił na jej usta.

Wrócił tymczasem i pan Błażej.

— Nie usiadłabyś może? — zagadnął żonę, li tylko na to, aby ją ztąd zabrać jaknajprędzej.

Wtem na sali rozległ się szmer.

— Cicho! Księżna pani!

Podwoje, pchnięte naraz w dwie strony, otwarły się szeroko i władczyni zamku weszła otoczona swoimi szlachetnie urodzonymi gośćmi. Kroczyła przez salę, kierując się ku grupie foteli ustawionych przy kominku, na którym płonął wesoły ogień. Miała wspaniały, majestatyczny wzrost, suknia z ciemnego aksamitu opływała jej postać. Pozdrawiając na wsze strony obecnych, usiadła, przyzywając poufnem skinieniem wachlarza to tych to owych, z którymi pomówić pragnęła.

Księżna Antonina Eleonora Lodenic była istotą wcale niezwyczajną. Dusza jej miała śmiałość i zacięcie raczej męzkie, podczas gdy serce zdolne było subtelnej, niewieściej, wprost macierzyńskiej tkliwości. O swoich poddanych dbała rzetelnie, witając ich u siebie z patryarchalną gościnnością, nie mieszała się nigdy natrętnie w ich osobiste sprawy, ale pragnęła gorąco, aby im było dobrze, gotowa każdej chwili dopomódz im bądź radą, bądź uczynkiem. Nienawidziła lizusostwa i pochlebstwa. Zdania jej padały krótkie, o doborze słów niezbyt wybrednych i lubiła aby do niej także podobnie przemawiano. Potrafiła być niezmiernie czułą, ale i bardzo surową. Teraz uśmiechała się jedynie.

— Nareszcie jesteśmy znowu pośród was! — zawołała głosem mocnym lecz przyjemnym. Mówiła każdemu po imieniu i witała każdego z osobna, wypytując o rodzinne szczegóły, o dzieci i gospodarstwo. Zauważyła panią Bobeszową.

— Cóż moja kochana — wykrzyknęła — wydałaś podobno wychowankę? Śliczny był smarkacz. Pokażcież mi ją!

— Oto jest — odparła pani Bobeszowa, ciągnąc za rękę Dorotkę.

— Ależ to i teraz jest jeszcze dzieciak! — dziwiła się księżna — Musieliście się tak spieszyć?

Pani Bobeszowej wymknęło się przez zęby coś niewyraźnego, czego nikt niezrozumiał, zaś księżna badała dalej:

— Gdzież jej mąż?

Pan Pistorius przybliżył się, blady z bólu w ręce i ze wzruszenia, że księżna o niego pyta — i począł się przeginać w ukłonach przedziwnie gracyjnych; Dorka, przynaglona spojrzeniami ciotki, uczepiła się ramienia męża i wykonała z nim ukłon równoczesny, mniej więcej taki

jak przed panem bakałarzem w szkole. Księżna na chwilę zaniemówiła, nagle szybkim ruchem zwinęła wachlarz, którym się bawiła dotychczas — i coś, jakby okrzyk zgrozy wydarło się z jej ust. Nie było już na nich śladu uśmiechu.

— Więc to jest mąż tego dziecka? — zapytała donośnym głosem, ciągnąc bez ogródki: — I wyście na to mogli pozwolić? A pan — czy miałeś sumienie?!

Skarbnikowstwo stali spiorunowani, pan Pistorius blady był jak śmierć, a wokół ustek Dorotki majaczył nic nie znaczący uśmieszek.

Wreszcie w straszliwem pomieszaniu zdobyła się pani Skarbnikowa na najniezręczniejsze i niesłychanie odważne kłamstwo.

— Skoro ona sama koniecznie tego chciała... — wykrztusiła wśród ogólnej ciszy.

— Sama chciała! Sama chciała! To mi dopiero racya! A rózgi w domu nie było?!

Pomimo uszanowania dla księżnej, pomimo powagi chwili, nikt z obecnych nie miał siły powstrzymać się od cichego śmiechu. Księżna spojrzała ze zdziwieniem dokoła, ale i ona musiała się uśmiechnąć.

Zakłopotanie Dorotki, rozpacz pani Skarbnikowej i zmartwiałe oblicze pana Błażeja budziły istotnie wesołość. Ledwie tylko goście spostrzegli uśmiech na ustach księżnej pani — w ich mniemaniu znak, że wolno puścić wodze uciesze — cała sala zahuczała serdecznym, rozgłośnym śmiechem. Mieszał się weń i Dorotki dziecinny chichot.

Księżna musnęła ją wachlarzem po buzi, patrząc na nią na poły żartobliwie, na poły litośnie i, rzuciwszy jej parę uprzejmych wyrazów, złamała tem niejako ostrze poprzednich swoich uwag. Poczem dała hasło, że pora zacząć koncert.

Pan Pistorius tylko czekał na tę chwilę i gdy uwaga obecnych skierowała się wszystka w stronę estrady, na której stał klawikord, chwycił żonę za rękę i szepnął:

— Do domu!

— Dobrze — odpowiedziała wylękła jego bladością i cierpiącym wyrazem. Żal jej go było.

Tej nocy miał pan Pistorius tak okropne bóle w ręce, że płakał. Dorotka czuwała przy nim z Judytą a następnego ranka — częściowo by uniknąć pośmiewiska, po części dla lekarskiej porady — chory wyjechał z żoną do Pragi. Tam jednakże pogorszyło mu się jeszcze, na dobitek przyplątała się żółtaczka a gdy mu tamtejsi lekarze dość szybko pomódz nie umieli, powiedział pan Błażej:

— Chcę przynajmniej w domu umrzeć. — I pojechali z powrotem do Dubrowic.

Zaczął się dla Dorotki okres ciężkiej próby. Małżonek jej cierpiał niewysłownie a ona cierpiała z nim. Dniem i nocą przesiadywała koło niego, słuchając jego wydziwiań i rozpacznych jęków. Posłała nawet starą Judytę z prośbą do Floryana, aby już nie grał więcej na flecie, bo chorego przyprawia to wprost o szał.

Pewnego dnia orzekł lekarz, że konieczną jest amputacya chorej ręki. Pan Pistorius jednak nie zgodził się, a gdy po paru dniach przystał wreszcie na operacyę, oświadczył mu krótko doktor, że już za późno.

— Więc nic mi już nie pomoże?

Doktor milczał.

— Poszlijcie zatem po księdza i po rejenta — ozwał się po chwili pan Pistorius z prawie zupełną równowagą.

Judyta gwałtownie szlochała, Dorotka była bledziuteńka.

Ksiądz udzielił mu ostatnich namaszczeń, poczem pan Błażej podyktował rejentowi swoją ostatnią wolę.

Umarł jeszcze tej samej nocy.

VI.

Odziano biedną Dorotkę w żałobę i przykazano jej, żeby płakała. Dorotka jednak nie mogła — czuła raczej ulgę. Nie życzyła śmierci panu Pistoriusowi, wcale nie — byłoby to grzechem w jej poczuciu — ale uczyniło jej się tak błogo jak jeszcze nigdy.

Daremnie wykładała jej pani Bobeszowa, że wdowie, dziedziczącej tak wielki majątek, przystoi wyglądać tak jakoby była zrozpaczoną. A Dorka wciąż nie mogła się wyzbyć uśmiechu. Wreszcie wpadła ciotka na pomysł zawiązania jej cebuli w chusteczkę, aby bodaj podczas pogrzebu jakąś łzę ze siebie wydobyła.

— Coby inaczej krewni powiedzieli? — tłómaczyła się przed mężem, gdy ją strofował za ów podstęp.

Krewni jednakże dopiero nazajutrz po pogrzebie zaczęli ściągać ze wszystkich stron. Lamentowali strasznie.

— Taki majątek miałby iść w cudze ręce! — i rzucali przerażające spojrzenia na wdowę. Niektórzy grozili jej procesem, inni wprost pięścią.

Dorce ani się śniło czego ci wszyscy obcy ludzie chcą, ciotka wszakże wojowała za nią.

Nadszedł teraz pan Rejent i ogólne podniecenie dosięgło najwyższego napięcia. Rozłamał pieczęci testamentu. Cicho się zrobiło jak

w grobowcu. Wszyscy, z wyjątkiem Dorotki, dygotali niby osikowe liście. Nagle, wśród głuchego milczenia, ozwała się melodya słodka, porywająca, urocze dźwięki Floryanowego fletu.

Usteczka Dorki rozchylił szczęsny uśmiech. Po długim czasie witała się znowu z przedziwnemi tonami. Podeszła do okna. Pan Rejent zdziwiony czego tam wygląda, wyraził życzenie aby „czcigodna wdowa“ zechciała zwrócić swą uwagę na to co posłyszy. Krewni wrzeli na widok tej pozornej, obłudnie sztucznej obojętności.

— Ona, ta żmija, ta gadzina, wie pewno najlepiej co tam stoi w dokumencie!

Rejent poprosił o spokój i zaczął czytać:

— Cały mój ruchomy i nieruchomy majątek przekazuję mojej małżonce, pani Dorocie Pistoriusowej...

Krzyk i wrzask rozjadłych krewniaków zagłuszył dalsze słowa rejenta. Musiał wrzeszczeć również chcąc czytać dalej.

...z tem aliści zastrzeżeniem, aby ów przeklęty grajek Floryan Sloupenski, którego flet o śmierć mnie oto przyprawia, nie został nigdy jej drugim mężem.

„Na domiar, jeżeli wdowa po mnie nie chce utracić wszelkich praw swoich do dziedziczonej schedy, nie wolno jej zamieszkać z wyż wymienionym w jednej i tej samej miejscowości...“

Grobowa cisza zaległa pokój. Jeden poglądał na drugiego zdumiony a czarodziejskie tony fletu rozbrzmiewały dalej, słodkie, przeczyste, biorące Dorczyną duszę w niewolę.

Wszystkie spojrzenia wpiły się teraz z wyrazem osłupienia w twarz wdowy. Wówczas Dorotka, cała w rumieńcach, rzekła spokojnie ale z mocą:

— Jeżeli tak, to ten majątek nigdy nie będzie mój!

Jedno głębokie westchnienie ulgi wydarło się ze wszystkich łon.

— Judyto, idź i przyprowadź tu zaraz pana Sloupenskiego! — padł rozkaz Dorotki.

Judyta poszła. Wracając, opowiedziała mu po drodze o wszystkiem co zaszło. Tymczasem ciotka opadła Dorkę.

— Dziecko — wołała — ty niemądre dziecko! Ja wiem dobrze do czego ty zmierzasz! Czyś już całkiem postradała zmysły?

— Proszę jej zostawić swobodę działania! — wołali ze wszystkich kątów krewni, wietrzący ze słów, które padały różne niejasne nadzieje. Uczuli nagle serdeczną skłonność ku Dorotce, a pięści, które przed chwilą jeszcze wyprężały się do niej, obróciły się teraz w stronę pani Skarbnikowej.

— Chcesz ją może pani sprzedać po raz drugi? — krzyczały w poczuciu zagrożonej moralności, powinowate damy. Nie dość miała tego wstrętnego starca? Biedna, złota dziecina! A mężczyźni krzyczeli:

— Hańba! Wstyd!

Pośród tego zgiełku pojawił się Floryan, blady, wzburzony z pałającemi oczyma.

— Dorotko, pocoś mię pani tu wezwała?

— Żebyś powiedział, żebyś mi poradził — mówiła urywanym głosem.

— Wiem, wiem wszystko! odparł z marzycielskiem wejrzeniem.— Żądasz pani bym ci poradził jak masz wybrać między miłością a złotem?

W pokoju zapanowało głębokie milczenie. Dorotka oddychała z trudem.

— Więc byłabyś pani zdolna, chciałabyś, zrzec się tego majątku dla, dla... Teraz jemu głos się rwać począł.

— Floryanie — rzekła Dorotka, patrząc mu w oczy rozmarzonym wzrokiem — ja już wcale nie jestem dziecko — i gdybyś mnie tak kochał jak ja ciebie...

Ukląkł przed nią, oboje zapomnieli o wszystkich cudzych ludziach naokół.

— Skoro tak, to chodźmy ztąd precz! — zawołała Dorotka.

I poszli.

Ciotka biegła za nimi łamiąc ręce. Krewni zaś rzucili się sobie do oczu, szarpiąc się wzajemnie i gryząc, jak sfora psów — w przenośni naturalnie.

Majątek pana Pistoriusa wystarczył właśnie na koszta dwunastu procesów, które sobie wytoczyli wzajemnie wszyscy roszczący pretensye. Właściwymi spadkobiercami byli zatem adwokaci.

Dorotka wzięła sobie z domu swego męża tylko jeden jedyny przedmiot: ową kosztowną lalkę, jego pierwszy podarunek, aby nią uszczęśliwić najstarszą córeczkę Skarbnikowstwa. Darowała jej swoją lalkę na znak, że teraz już naprawdę dzieckiem być przestała.

JULIUSZ ZEYER.

Przełożyła Maryla Wolska.

„Polka“ Antoniego Watteau.

Bajka o kopciuszku lub zaczarowanej księżniczce, trzymanej na uwięzi, którą świetny dopiero wyzwala rycerz, stale się w życiu powtarza, najróżniejsze przyjmując odmiany.

Księżniczka taka, urocza i wiecznie młoda, stworzona ku radości długich pokoleń, przez stulecie może jako kopciuszek przebywała w zapomnieniu, zaciemniona przez siostrzyce bardziej pyszne i okazałe, aż nareszcie i dla niej wybiła godzina wyzwolenia. Zjawił się bajeczny rycerz, któremu na imię traf szczęśliwy, i z ukrycia wydobył tę córę możnego władcy, co nowe ongi stworzył państwo w świecie.... sztuki.

Obraz Antoniego Watteau, którego reprodukcyę podajemy obok, do niedawnego czasu niepostrzeżony wisiał w tak zwanym Wielkim Pałacu rezydencyi letniej dworu rosyjskiego w Carskiem Siole. Gdy przed dwoma laty redakcya rosyjskiego miesięcznika artystycznego „Staryje Gody“ urządzała w Petersburgu wystawę starych mistrzów wyłącznie ze zbiorów rosyjskich, komitet odnośny, korzystający z wyjątkowego przywileju szperania wśród dzieł sztuki w pałacach cesarskich nagromadzonych, natknął się na śliczną „Femme polonaise“ Watteau i dla wystawy ją pozyskał, gdzie, oczywiście, w zachwyt wprawiała widzów. Nadmienię przy tej okazyi, że z tej samej galeryi obrazów pałacu carskosielskiego na wystawę powędrowało jeszcze jedno wybitne płótno, szczególnie dla Polaków ponętne — ów przepyszny portret grupowy gdańszczanina Daniela Schultza, malarza nadwornego Władysława IV. i Jana Kazimierza, co tak niewypowiedzianie intryguje typami wyraźnie mongolsko-tatarskiemi przy charakterystycznych kostyumach polskich. Po wystawie „Polka“ mistrza francuzkiego, przekazaną została do znakomitej galeryi obrazów Ermitażu, niewątpliwie najbardziej odpowiedniego miejsca dla tego małego arcydzieła.

Że tu w istocie mamy przed sobą oryginalny utwór Antoniego

Watteau, wątpliwości żadnej nie ulega. Obraz prawdopodobnie został nabyty przez Katarzynę II, [1]) założycielkę galeryi Ermitażu i w najdawniejszym katalogu już figuruje pod nazwiskiem Watteau. Pozatem istnieje jeszcze współczesny dokument w sposób niezbity potwierdzający autentyczność malowidła. Znajdujemy bowiem kopersztych z naszego obrazu w zbiorze rycin według rysunków i malowideł Antoniego Watteau, współcześnie przez Julienne'a wydanym pod tytułem „Les figures de different caractère". Polkę mistrzowsko tu odtworzył, ni mniej, ni więcej jak Franciszek Boucher, i postać, choć oczywiście w odwrotnym kierunku, we wszystkich szczegółach najzupełniej zgadza się z oryginałem malowanym, z którego prawdopodobnie była przerysowaną za pomocą kalki. Natomiast w rycinie całkowicie pominięto tło krajobrazowe, co w wydawnictwie Julienne'a uczyniono jeszcze wobec kilku innych obrazów mistrza. Pod ryciną Boucher'a czytamy nadpis: „La Femme Polonaise".

Czyż zresztą w danym wypadku dowody dokumentalne są niezbędne? Toć o autentyczności najlepiej świadczy samo dzieło, napiętnowane charakterystycznemi cechami geniusza swego twórcy. Któż, prócz Antoniego Watteau, umiał odtwarzać podobnego rodzaju postacie pojedyncze, takie niby obojętne na wszystko, co się wokoło nich stać może, rozmarzone i zapatrzone hen, w jakiś świat daleki, a zawsze owiane ową mgłą słodkiej melancholii, co jak dominanta przegląda przez całą twórczość tego artysty-wizyonera, a sączy z jego festynów, zabaw, ba, nawet z „Podróży na wyspę Cytery"? Pater i Lancret z dużem mistrzowstwem powtarzali i różniczkowali typy i układ figur, motywy i barwy swego mistrza, w dalszym ciągu nie przestawali malować wytworne fêtes galantes, ale utwory ich były tylko mniej lub bardziej doskonałemi obrazami, nigdy zaś nie stały się poematami, przepojonemi tą muzyką wewnętrzną, która tak czarująco drga w arcydziełach Watteau. Do tych ostatnich należą nieliczne jego figury pojedyncze i niezawodnie zaliczyć do nich wypada świeżo odnalezioną, „Femme polonaise". Nie stawiałbym jej w jednym rzędzie z taką n. p. „Finette", powszechnie znanem cackiem z paryzkiego muzeum Louvre, a raczej z ową prześliczną postacią z obrazu „La danse", schedy po Fryderyku II w pałacu poczdamskim. Jak owa tancerka, łowiąca dźwięki

---

[1]) Carowa w tym kierunku snadź podzielała gust swego sprzymierzeńca, Fryderyka II, który, jak wiadomo, z pasyą skupywał obrazy Watteau i jego uczniów. Dziwne zaiste, że na tronie dwóch najmłodszych państw Europy północnej tak wielbiono przesubtelnioną sztukę tego mistrza, o którą w tym czasie ani dwór wersalski, ani najbardziej wykwintne towarzystwo francuzkie nie dbało bynajmniej. *P. E.*

grajków młodocianych, tak nasza „Polka“ w swej niewypowiedzianie naturalnej pozie cichego zadumania zdaje się przysłuchiwać jakimś szeptom, głosom oddalonym, a przecież donośnym. Stoi na tle szafirowego nieba, ubrana w jedwabistą suknię wierzchnią koloru pomarańczowego, brunatnem futrem przybraną, odkrywającą tylko białe atłasowe rękawy stanika. Niezwykłego kształtu czepiec lub turban biały z czerwoną przepaską zdobi zgrabną głowę o włosach kasztanowatych i profilu typowym dla Watteau. Ciepły ton sukni przepysznie zharmonizowany jest z szarawo zielonemi krzakami w prawym rogu i pokrewnym co do koloru terenem przednim, całość zaś malowana jest lekkiemi przejrzystemi farbami, widocznie alla prima. Doskonałość formy i czar kolorytu, doprowadzone do niezmąconej równowagi, oraz syntetyczne ujęcie realnego motywu jako podmiotowej wizyi artystycznej, nadają obrazowi ten urok niewysłowiony, co jest emanacyą jedynie wielkich i prawdziwych dzieł sztuki.

Zkąd pochodzi nazwa „Femme polonaise“? Czyżby istotnie jakaś Polka, przypadkowo w Paryżu w pierwszej ćwierci XVIII stulecia bawiąca, do tego malowidła pozowała? Rysy twarzy, pozbawione charakteru indywidualnego, a zbliżone do ogólnego typu kobiecego, jaki sobie wyrobił Watteau, raczej temu przeczą. O ile zresztą na zasadzie nader szczupłych materyałów biograficznych wiemy, artysta do pewnego stopnia był odludkiem, szukał samotności i unikał życia towarzyskiego, więc dla zetnięcia się z cudzoziemką chyba nie miał wcale okazyi. Prawdopodobnie bliżej będziemy prawdy przypuszczając, że ujmująca postać niewieścia z obrazu w Ermitażu otrzymała miano Polki jedynie dzięki swym szatom. Suknia ta, co prawda, nie mówiąc już o fantastycznem przybraniu głowy, nie jest bynajmniej typowo polskim strojem z owej epoki, jednak krój cały, oraz bogate obramowanie futrem nadają jej pewną cechę sarmacką, co w oczach francuzkich wystarczyło dla ochrzczenia malowidła nazwą „La Femme Polonaise“. Niezwykły bądź co bądź strój mógł zresztą być kostyumem teatralnym jednej z aktorek komedyi francuzkiej lub włoskiej, w towarzystwie których przebywał Watteau i zkąd modele swe pewnie czerpał. A charakter egzotyczny kostyumu, malownicza kombinacya futer z jedwabiem zawsze przecież stanowiły materyał ponętny dla malarza czystej krwi!

Byłoby wielką dla nas radością posiadać typ Polki wieku XVIII, uwiecznionej subtelnym pędzlem Watteau, niestety musimy się kontentować zewnętrznem jedynie połączeniem jej miana z pięknym utworem niezrównanego mistrza.

PAWEŁ ETTINGER.

O dzieła sztuki.

Pozbywanie się cennych dzieł sztuki polskich i obcych na korzyść zagranicy lub oddawanie ich w obce ręce jak np. dokonana w ostatnich czasach sprzedaż obrazu Rembrandta „Lisowczyk“, musi wzbudzić uczucia żalu we wszystkich, którym na utrzymaniu zasobów kulturalnych w Polsce zależy.

Nie mogąc wprawdzie sprzedaży dzieł takich, będących własnością prywatną w każdym wypadku z góry i bezwarunkowo potępiać — wyrażamy jednak ubolewanie z powodu dokonanych już faktów i odwołujemy się do społeczeństwa polskiego, aby bez ostatecznej potrzeby nie ubożyło dobytku artystycznego kraju, dobytku który nam wobec zagranicy zwiększa kulturalną powagę, dla rozwoju sztuki naszej staje się z czasem znamienitym środkiem kształcącym, a to tem bardziej jeżeli dzieło ma z historyą lub kulturą naszą pewne łączniki przedmiotowe lub pamiątkowe.

Przy tej sposobności zwracamy się do naszych posłów sejmowych, ażeby w sferach miarodajnych starali się o wydatniejszą opiekę nad dziełami sztuki i przygotowali w drodze ustawowej środki zaradcze przeciw ubożeniu kraju pod względem artystycznym.

Prof. Dr. Władysław Abraham
Prezes Grona konserwatorów Gal. wsch. Lwów.

Prof. Dr. Jan Bołoz Antoniewicz
Lwów.

Prof. Teodor Axentowicz
Tymcz. dyr. Akademii sztuk p. Kraków.

Prof. Dr. Oswald Balzer
Prezes Tow. dla popierania nauki polskiej. Lwów.

Helena Dąbczańska Budzynowska
Lwów.

Dr. Bolesław Erzepki
Konser. zbiorów Tow. Przyj. nauk w Poznaniu.

Prof. Dr. Karol Hadaczek, konser.

Aleksander Jabłonowski
Prezes Tow. Naukowego. Warszawa.

Feliks Jasieński, Kraków.

Dr. Felix Kopera
Dyrektor Muzeum narodowego w Krakowie.

Dr. Władysław Łoziński, Lwów.

Gustaw Baron Manteuffel, Ryga.

Leon hr. Piniński, Lwów.

Prof. Stanisław Rejchan
Prezes Tow. przyj. sztuk pięknych. Lwów.

Dr. Stanisław Tomkowicz
Prezes Grona konserwatorów Gal. zach., członek centr. komisyi konserwatorów w Wiedniu.

Karol Demange.

Było to w Metzu w kwietniu tego roku.

Cesarz niemiecki, w otoczeniu licznej świty, przebiegał ulice starej fortecy. Wszystkie wojska, Sasi, Bawarczycy w paradnych uniformach, — na budynkach rządowych powiewały z wiatrem sztandary czarno-biało-czerwone. Zdala od tego gwaru i hałasu, w towarzystwie młodziutkiej kobiety, szedłem przez Quai Félix-Maréchal skupiony, szukając mieszkania Coletty Baudoche.

Lecz ta słodka idylla moselska, to arcydzieło Barrésa, było dla umysłu mego tylko tłem pogodnem i spokojnem, na którem rozpętała się cała burza myśli. Pierwszy to raz od śmierci Karola Demange, spotkałem się z tą kobietą, którą on kochał ostatnią miłością w swem życiu.

I stanęło nam przed oczyma jego całe życie, jego tragiczny umysł, wśród tej Lotaryngii, z taką miłością i upodobaniem opisywanej przez jego wuja.

Zaiste wzruszająca to była pielgrzymka — ta powolna wędrówka w towarzystwie młodej kobiety wśród tych miejsc, które chroniły go w jego dzieciństwie.

W ciągu jednej jedynej nocy, gdy opłakiwała śmierć swego przyjaciela, osiwiała zupełnie.

A dziś — znajduje najwyższą, jedyną rozkosz, prowadząc mnie do tego kościoła, w którym niegdyś przyjęła pierwszą swą komunię i w którym złożyła imieniem swych towarzyszek akt konsekracyi...

Przypomina sobie, jak będąc małą dzieweczką, chodziła wraz z całym pensyonatem na cmentarz w Chambière, modlić się za poległych żołnierzy francuzkich. — Wtedy — na zakończenie takiego pięknego dnia szło się na szukanie czterolistnej koniczyny; dziś — napawa się słodyczą takiego wieczoru myśląc i oczekując dnia wiecznego odpoczynku.

„Charles Demange“ mówiła mi, „żądał odemnie przyrzeczenia, że o nim pamiętać będę. Biorę pana na świadka, że dotrzymałam mu przyrzeczenia... Nie mógł się dość nadziwić mej twarzy o dziecięcym wyrazie, a z tonu jego głosu odczuwałam jakie troski przechodził wobec kobiety starszej od niego...“

— — — — — — — — — — — — —

Karol Demange urodził się w Nancy, w domku przy ulicy Saint-Dizier, vis-a-vis starego gmachu, w którym, w wieku XVIII schodzili się wszyscy literaci Lotaryngii.

Ojciec jego, pochodzący ze starej rodziny lotaryńskiej, był profesorem na Wydziale lekarskim, — matka jego była siostrą Maurycego Barrèsa — i ona to obdarzyła go tą żywą wyobraźnią i uczuciowością.

W Charmes-sur-Moselle miałem sposobność poznać matkę Maryi i Maurycego Barrèsa; — literatura francuzka ma jej nieskończenie wiele do zawdzięczenia. Dla mnie, co miałem wtedy lat dwadzieścia jakąż to było silną podnietą i zachętą słuchać opowieści o młodzieńczych latach Barrèsa, o jego podróży do Paryża.

„Mam jeszcze w żywej pamięci“ opowiadała mi jego matka, „ten wieczór, w którym udało mi się pokonać ostatnie skrupuły jego ojca. Maurycy poszedł na górę, do swego pokoiku; — tam poszłam oznajmić mu tę radosną nowinę. Może pan wyobrazić sobie naszą uciechę i jakie śliczne śmiałe projekty snuły nam się po głowie...“

Wakacye spędzane przez Karola Demange w Charmes, w towarzystwie jego babki, która umiała kształcić w nim i rozkrzewiać aż prawie do wyrafinowania, kult piękna, — były dla niego jednem pasmem ustawicznych zachwytów i uniesień.

W jego „Le livre de désir“ w jego wspomnieniach z lat młodości, drukowanych w „Les Marches de l'Est“ znajdziemy tysiączne reminiscencye z tej młodości szczęśliwej, bez troski.

Ta miłość do matki była dla Demange'a bogatem źródłem natchnień dla jego niezwykłego talentu.

Z pozostałych po nim rękopisów, wzruszająca „Livre de la mère“ tętni zbyt żywą jeszcze boleścią, aby mogła być już obecnie drukowaną. Lecz idźmy za Demange'em do Jesi, gdzie w roku 1710 urodził się Pergolèse.

Będąc w Jesi i słysząc tony organów tamtejszej katedry, przypomniał sobie Chopin „Stabat Mater“, ten najserdeczniejszy najsmutniejszy

utwór Pergolesa, tak licujący z romańską indywidualnością i z umysłem już wyczerpującym się...

Pierwotny tekst „Stabat Mater“ przypisują niejakiemu Jacopone, który urodził się w Lodi, miejscu, w którem umarł Mikołaj Kuzański. Jacopone, obdarzony wielkim darem poezyi, a prawie oszalały od czasu śmierci swej żony i przywdziania przez niego sukni Franciszkańskiej, — błądził po ulicach i rynkach, po les Marches i Umbryi, śpiewając swój ból serdeczny... Pergolèse, który pod utwory jego podłożył muzykę, umarł w dwudziestym szóstym roku życia, wyczerpany z rozkoszy... Jak opowiadają — jedna z jego pieśni towarzyszyła ostatnim chwilom Chopina — na placu Vendôme, w Paryżu“. „Muzyka cudowna — marzenie wszystkich błędnych rycerzy miłości i bólu“ [1]).

Stabat Mater! W całej naszej literaturze francuzkiej nie znam nic równie pięknego, jak to przywiązanie, ten pietyzm matki Karola Demange do dzieła swego syna. Więc dla czytelników „Lamusa“ dobądźmy z papierów pozostawionych nam przez niego kilka z tych okrzyków przywiązania czułego i rozpaczy, skierowanych do tej matki, która była mu całem życiem:

„Matko moja! — Ty jedna tylko jedyna znałaś cenę mego życia; w Twojej myśli ja tylko żyłem; — Ty tylko jedna ukochałaś mię wyłącznie; a kiedy — niemowlę prawie jeszcze, na Twych kolanach przysłuchiwałem się śpiewanym przez Ciebie piosenkom — one gasiły we mnie wszystkie silne żądze; tyś mię pieściła jak skarb Twõj cały.

„I nie chciałem już potem, aby ktokolwiek inny posiadł mą duszę; złożyłem ten mój skarb, na bezbrzeżnych pustyniach świata — zupełnej obojętności i nieczułości; i oto zostałem tak — zatruty pożądaniem miłości, pożądaniem posiadania kogoś...

„Ty jedna tylko matko moja,

„Ma mère, il n'y a que toi qui aies bien su le prix de ma vie; je n'ai vécu que dans ta pensée je n'ai su être que l'objet de ton amour; et encore, lorsque j'étais sur tes genoux, que je parlai à peine et suivais le rythme de ta chanson, alors il apaisait mes plus fortes passions; — cependant, tu me croyais un trésor: tu enchainais de toute ton indulgence la beauté de ton âme; tu la faisais reluire, sous ton baiser, dans mon oeil, sur tes bras. — Mais je n'ai plus voulu qu'aucune âme prenne la mienne: j'ai disposé sur l'indifférence, l'égalité, les vastes plaines du monde, un trésor; et du désir de posséder, du désir d'amour, je demeure empoisonné...

[1]) Ch. Demange, „Le livre de Désir“ str. 210—214.

ty jedyna byłaś tą, która w pewnej chwili mego życia poznała zupełnie całą zawartość mej duszy. Twoje oczy widziały mnie pod postacią inną, tak piękną, jakiej nikt inny nie widział, ty jedna wiedziałaś, co na świecie utrzymywało mię przy życiu. W twym umyśle ja istniałem realnie, rzeczywiście, wszystko we mnie było ci równie drogiem, a niczego ukryć przed tobą nie mogłem. Ale rzuciłem się nieopatrznie na ryzykowne spotkania, chciałem posiąść to, czego ty nie miałaś; chciałem chciałem...

...i oto obdarli mię ze wszystkiego, że sam siebie dzisiaj poznać nie mogę".

„Il n'y a que vous, Mère, qui ayiez su à un instant de ma vie, tout le conscient de mon âme. Vous me reconnaissiez un visage plus beau que jamais nul ne m'en a vu un; et saviez tout ce qui me maintenait sur la terre. Dans votre pensée j'ai réellement existé, vous ne choisissiez rien de moi, et je ne pouvais pas me dérober à vous. Mais je me suis hasardé à de plus audacieuses rencontres, et j'ai voulu m'enrichir de ce que vous ne possédiez pas; j'ai voulu mettre à un ces rythmes que vous même... je me suis derobé à tous; il m'ont tous appauvri, je m'ignore moi même...

W kwietniu i maju 1907 Karol Demange zwiedzał konno całą Grecyę; — w Atenach spotkał się z Anatolem France.

Przed zgonem swoim już skorzystał z części tych swoich licznych notatek, jakie przywiózł z sobą z tej podróży.

Pierwszy jego utwór sławił bogactwa Olimpu, był niejako lekcyą starożytności dla młodych siłaczy lotaryńskich.

Demange układał sobie wydanie całej seryi szkiców, aby w ten sposób uporządkować i ująć w system swe wrażenia z poszczególnych miast Grecyi. Nie bez zainteresowania była dla mnie też wiadomość, że Lucyan Rydel, po powrocie z takiejże samej podróży, ułożył sobie podobny plan. Życie Greków — takie bogate, tak niesłychanie rozmaite i odrębne, z trudnością da się wtłoczyć w ramy książki, — potrzebuje ono większej swobody i wolności. Wkrótce wydamy drukiem urywki z kilku nowel, ofiarowanych nam przez Demange'a, — później zaś „Helenę" romans z życia greckiego.

Świat literacki czytać będzie z żywem zaciekawieniem te utwory synowca autora „Voyage de Sparte".

W rok później, kwiecień-maj 1908, Demange wybrał się do Sycylii. Kilka wierszy, zamieszczonych w pierwszym numerze „Marches de l'Est"

(str. 19) wystarczy dla okazania, jak silne i żywe odniósł z podróży tej wrażenia:

„Na wybrzeżach Sycylii w noc tętniącą pożądaniem, kiedy niebo przytłacza wprost żarem i silnemi woniami, ten nadmiar siły i życia dla mnie świadczył tylko wymownie o znikomości wszelkich uciech...

„Jakież upajające ogrody zamykają te złomy skał! Serce krwawi się wśród nich, gdy stąpam wśród tego labiryntu ścieżek, czerwonych geranii, kolczastych kaktusów. — Tutaj, konało pomału dziesięć tysięcy młodych Greków w niewoli. Nawet nie danem im było patrzeć na morze; — szum tylko jego dochodził do nich. Straszliwe jęki młodości, która umiera z krzykiem bolesnym!... W pobliżu — klasztor zakonnic zaprasza do siebie swoją ciszą i spokojem. Zakonnice — wylewają na trawiący je żar i gorączkę psalmy i modlitwy; — jak ongi na tych samych wybrzeżach młodzi niewolnicy skrapiali ciepłą wodą zakurzone stopy obcego przybysza. Powitanie i przyjęcie ze strony tych zakonnic przywiodło mi na pamięć.

„Tak — ja widocznie byłem już z góry predestynowany. W czasie jednej z tych sławnych pielgrzymek lotaryńskich pewnego razu biskup przywołał mię do siebie i pobłogosławił. Bezwątpienia — choć nie ma się zbyt silnej wiary — takie uroczystości pozostawiają jednak w duszy rodzaj jakiegoś przesądu czy zabobonu. Kiedy wówczas — mając dziesięć lat — oszołomiony uklękłem wśród drogi zapylonej chłostany silnym wiatrem, — spostrzegłem obok mnie jedną z tych małych dzieweczek — czarnowłosą, o oczach szeroko otwartych...“

Gdy z biegiem czasu, który wszystko goi i wszystko przebacza, uda mi się wydać pisane do mnie przez Demange'a listy z Sycylii (z tej Sycylii, gdzie kwiatów zapach jest tak odurzający, że zabija jak trucizna, — z tej Sycylii, ku której przypływa tchnący żarem powiew od morza) — można z nich będzie przekonać się, jak dalece, bez żadnego wysiłku przyjaciel mój umiał zbliżyć się do piękna klasycznego. Dziś jednak nie pora na żaden z nich jeszcze, na żaden z tych listów tak czystych, tak prostych, co nie umieją gryźć jak żrące kwasy...

W Bâle spotkałem się z Demange'em po jego powrocie. Już wtedy rozpoczął się pierwszy etap jego męki...

Kilka miesięcy przedtem napawaliśmy się wspólnie żywą, świetną pięknością Bâle, urządzając razem wędrówkę do Rapperswylu.

Demange starał się nawiązać znowu nić sympatyi dla Polaków, przewijającą się tak często w naszej literaturze. Ukazanie się książki naszego wspólnego przyjaciela Gabryela Dauchot'a, książki odznaczonej przez Akademię francuzką nagrodą „prix Monthyon“, — dało mu spo-

sobność do zestawienia w jednym szeregu nieszczęsnych siostrzyc — Polski, Alzacyi i Lotaryngii:

„Któraż dziecina nie widziała w marzeniach swych zjawy szlachetnej twarzy Polaka? Cała młodzież francuzka na Wschodzie, po miastach po wioskach i osadach, które były etapami wygnańczemi dla tych powstańców, — uśmiechała się do nich życzliwie, uważając ich za swą rodzinę. Na ich wargach opowieści o walkach, o miłości, mieszały się z pierwszemi uśmiechami życia. Muzyka — taniec — okrucieństwa!... Tacy goście budzili wszystkie instynkta niewinnej młodości. Słuchając ich czuło się, że czułość i łagodność przeradza się w rycerskość... Nieznane nam, dziwne tło — uzupełniało szczęśliwie te legendy. W walce roztaczają oni cały przepych Wschodu, — i to ze smakiem i poczuciem artystycznem znacznie większem, niż my.

„W kolegium czytaliśmy już o tej szlachcie polskiej, co wyruszała w otoczeniu pachołków, wiodących jej konie za cugle, zdobne w srebrne guzy i nabijania na ozdobnych siodłach, ze strzemionami misternie cyzelowanemi nierzadko z litego srebra, na koniach okrytych długiemi czaprakami — na wzór Turków". — „A" — jak Voltaire dodaje w swej historyi Karola XII, — „ich namioty były zdobniejsze i okazalsze, niż ich mieszkania".

„Taka okazała wyprawa na te nowe wojny krzyżowe działa niesłychanie na naszą fantazyę i podnieca ją; — i my bowiem nie rezygnujemy z myśli o innej, nam bliższej Polsce — o Alzacyi, — zaopatrzeni w broń lepiej ukutą... Mieszkańcy Strassburga, Colmaru, Mülhousy, nie będą swym zimnym rozsądkiem zrażać i mrozić tych młodzieńczych porywów, — które dla nich świadczą o niewyczerpanych zasobach rycerskości w naszym narodzie. A dla przekonania się i stwierdzenia, do jakiej szlachetności zdolny jest jeszcze prawdziwy Latyńczyk, przeczytają *„Immortelle Pologne"* — powieść, nie poemat Gabriela Dauchot'a" [1]).

Polska, Alzacya i Lotaryngia straciły w Karolu Demange'u żarliwego obrońcę i orędownika.

„Jego sposób postępowania, zawsze prosty i otwarty — pisze o nim Georges Ducrocq, — równie był dalekim od wyrachowań wykrętnej polityki, jak i od fałszywego sentymentalizmu. W kwestyi tej, tak ważnej, występował prawdziwie po francuzku z odkrytą przyłbicą. Niemcy nie prędko znajdą równie potężnego przeciwnika. On był za-

---

[1]) Messager d' Alsace-Lorraine, 2 styczeń 1903.

wsze po stronie tych, co cierpią za Ojczyznę, poszarpaną i prześladowaną. I nie rozumiejąc, nie znosząc jakiegoś sprzeniewierzenia, na tym punkcie odtrącał ze wstrętem wszystką literaturę chorobliwą, oszołamiającą czy zbyt zmysłową, wszelkie próby profanacyi" [1])

Krosno, maj—czerwiec 1910.

LÉON BERNARDIN.

Przełożył z rękopisu: K. Rychłowski.

---

[1]) „La Démocratie de l'Est", 12 wrzesień 1909.

Les Marches de l'Est.

Cała okolica nadreńska walczy z duchem germańskim; kultura francuzka musi utrzymać się w Belgii, w Luxemburgu, w Szwajcaryi francuzkiej, trzeba przedewszystkiem przeszkodzić germanizacyi Alzacyi i Lotaryngii. Nadmiar ludności cesarstwa niemieckiego wylewa się nietylko w Drang nach Osten; przeciska się także w wielkiej ilości ku Francyi. Są to przemysłowcy, robotnicy, produkty niemieckie. „Une Pologne à l'Est, une Pologne à l'Ouest, c'est beaucoup pour l'Empire d'Allemagne", mówił M. Clemenceau. Obie marchie miały wspólne tragiczne losy. Polska i Alzacya, obydwie krainy bocianiego gniazda mają te same barwy: czerwoną i białą.

Po 1871 Alzacya opustoszała wskutek emigrowania do Francyi. Zostało miejsce wolne dla niemieckich najeżdzców, którzy też dali folgę swojej pysze. Alzacya jednak nie doznała praw ograniczających własności tak jak Poznańskie, tylko dyktaturę z zastosowaniem paszportów, którego sama Rosya pozazdrościćby mogła.

Alzacya wciąż jeszcze daje Francyi żołnierzy i generałów. Pomimo gwałtownych nawoływań prasy, i całej literatury skierowanej ze strony Niemiec aby ich zniechęcić, młodzi Alzatczycy zaciągają się tysiącami do legii zagranicznych; ostatni bohaterowie wojen kolonialnych francuzkich są Alzatczykami.

Artyści i pisarze zjeżdżają się do Paryża: to tak blizko a oddycha się tam wolnem powietrzem, ojczyzną! Artyści mieszkający w Alzacyi jak Hansi w Colmar, Zislin w Mulhouse zajmują się satyrą niemieckich obyczajów.

Miasta które wszystkie cierpią na brak młodzieży — najdzielniejsi i najwykształceńsi idą do Francyi — zachowały jednak swój właściwy charakter. Mulhouse jest miastem na wskróś francuzkiem, trójbarwnem, republikańskiem; Colmar to miasto polityków Unii alzackiej, Wetterlego, Blumenthala, Preissa; Strassbourg nosi piętno gospodarki niemieckiej. Metz, dawna stolica kresów wschodnich, pełen fortec i żołnierzy niemieckich, jest najokropniejszą kasarnią na terenie wszystkich ziem zabranych.

Maurycy Barrès, wielki pisarz francuzki, jest dowódzcą oporu przeciw zalewowi niemieckiemu. W ostatniej swojej powieści, „Colette Baudoche"— największy jego tryumf literacki z ostatnich lat — przedstawia młodą dziewczynę, która jak i Wanda nie chce iść za Niemca.

Młody pisarz francuzki, Georges Ducrocq, założył parę lat temu w Metz wytworne czasopismo poświęcone kulturze francuzkiej. Trudności z któremi

się oczywiście spotkał zmusiły go do osiedlenia się w Paryżu. Ztamtąd mała jego grupa, gorąca i młoda promieniuje ku granicy. Spotykamy tam Gabryela Dauchot, Lotaryńczyka; Ferdynanda Baldenspergera; Maurycego Toussaint, który właśnie ogłosił Les Etapes de l'Est, wojskowe opowieści lotaryńskie; Jana Tanet, autora les Défenseurs; Piotra Gauthier; Dumont Wildena; Henryka Massé; Józefa Calmette; de Pouche-ville'a; de Metz-Noblat'a; Jerzego Corneliusa uderzającego w silny ton alzacki, ilustratora Les Marches de l'Est, gdzie każdego miesiąca niżej podpisany ogłasza przegląd ważnych spraw polskich.

LIEUTENANT LÉON BERNARDIN.

Nowe książki

Z POWODU POMNIKA JAGIEŁŁY.

Zeszyt XII. „Widnokręgów“ pomieścił m. i. Tadeusza Błotnickiego: O pomniku Jagiełły w Krakowie uwag kilka, którym w tem miejscu także warto poświęcić uwag kilka: P. B. nagniewawszy się słusznie na p. Wiwulskiego, że go nie ściągnięto, jak jego (p. B.) „do kołtuńskiego poziomu“ „jurorów“, czyni pierwszą ważną uwagę, że autor pomnika Jagiełły jest w świecie artystycznym „homo novus“ i poczytuje mu to za ujmę równie wielką, jak któremuś z autorów, który jakoby napisał jakąś niesmaczną reklamę, uważa mu to za ujmę, że nie jest znany z wystaw, ani ze „stosunków koleżeńskich“. Druga uwaga p. B. „że w entuzyastycznym zapale i grzmiącej burzy oklasków pomięszano: Jagiełło — Paderewski — Polska — Kraków — Litwa — Wiwulski, zapomniawszy zgoła wyrazów: pomnik — sztuka“, byłaby może zasadniczo słuszna, gdyby autor nie dworował sobie przy tej okazyi z rzeczy które się do dworowania nie nadają, a co tylko o szpetne pobudki niepotrzebnie posądzaćby go pozwalało. Następna znaczna uwaga p. B. godzi w sam pomnik: p. B. wolałby pod królem widzieć „norymberską zabawkę“ a nie jakieś „apokaliptyczne zwierzę“. Bardzo słusznie. Wielka szkoda że autor tej cennej recepty nie udzielił staremu Velasquezowi. Może p. B. twierdzić że pierwszy zapał przyćmił pogląd krytyczny, i nie dopuścił do refleksyi nad „sztuką“, ale musi też przyznać że nad znaczeniem tego wyrazu sam się nie zastanawia, on który „trzeźwo patrzy“ i dworuje sobie z zapału innych. Choćbyśmy się nie wdawali w to czy koń Jagiełły warunkom przez taką refleksyę dyktowanym odpowiada (a zdaniem naszem odpowiada zupełnie i bodajby został w całej swej nieforemności jaknajprędzej bez zmian odlany) nie możemy zasadniczo godzić się na taką logikę, którą autor, sam artysta, chyba tylko z niedocieczonych powodów u siebie usprawiedliwia. W następnej uwadze autor zwierza się, że byłby tego konia odział „w czaprak pęcin sięgający, olbrzymią klamrą na piersiach spięty“, a króla posadził „nie jak pasterza trzód“ (czyli niemal tak jak n. p. Donatello Gattamelatę), ale „postawił go w strzemionach“ jak przystoi rycerzowi średniowiecznemu(?). Bardzo cenne są uwagi p. B. jakby pomnik Jagiełły „można zrobić“ jeszcze inaczej, ale p. W. chciał zrobić znowu inaczej, a że mógł chcieć, tego dowodzi nie jeden „pomnik Scalighiera“, na którym

p. W. nie musiał się koniecznie wzorować. Jedną z końcowych wreszcie uwag bardzo ważnych jest ta, że „nie samym talentem dzieła się stwarza". Istotnie: trzeba jeszcze czegoś więcej, czem i p. Wiwulski zapewne nie pogardzi, ale i naodwrót ci, którzy mają to „coś więcej", nie zawsze dzieła stwarzają, stwarzają często zamiast „dzieł" ...norymberskie zabawki. I nie zawsze ci „przez których dusze całe piekło zwątpień i niebo zachwytów przepłynie", co p. B. delikatnie jako warunek sine qua non podkreśla, korzystać z tychże łask boskich umieją.

„Zaprawdę, ze sławnych arcydzieł sztuki przemawia do nas coś wieczyście niezatracalnego, jakiś pogląd na świat w którym bieg czasów niczego nie zmienia, który w miarę indywidualności, w nim się wyrażającej i ujawnionej, zawsze, jeszcze w pokrewnych mu ludziach znajduje zwolenników"... Że p. B. nie jest pokrewnym p. Wiwulskiemu, to pewne, gdyż jak widać zwolennikiem jego nie jest, ale może p. W. znajdzie pokrewnych sobie ludzi, więcej niż p. B. przypuszcza i będzie miał uznanie, wobec którego zblednie „uśmiech dobrotliwego (sic) współczucia, okraszający (sic) lica" rzeczoznawcy. W ocenę krytyczną pomnika, który w pewnych punktach istotnie krytyki wymaga (figura tylna, grupa litewska), nie będziemy się tu wdawać, i poprzestaniemy na tych kilku uwagach, wywołanych uwagami p. Błotnickiego. *Marek.*

*

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Władysław Orkan: W Roztokach, powieść (w 2 tomach. Wyd. 2-gie — nakł. Tow. Wydawniczego. — Lwów, 1910).

Zygmunt Wasilewski: Z życia poety romantycznego (Seweryn Goszczyński w Galicyi, nieznane pamiętniki, utwory i listy z lat 1832—1843) (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Zygmunt Wasilewski: O sztuce i człowieku wiecznym (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Robert Browning: Pippa przechodzi — poemat dramatyczny, z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Tadeusz Szymberski: Atessa — scen cztery (skł. gł. Księg. Gebethnera i sp. w Krakowie).

Bogusław Butrymowicz: Przekład tragedyi Eurypidesa: Hippolytos-Fedra (ze wstępem i objaśnieniami — Kraków, 1910).

Percy Ashley. M. A. (Lincoln-College, Oxford, prof. un. londyńsk.): Zarząd centralny i lokalny w Anglii, Francyi, Prusiech i Stanach zjednoczonych (studyum porównawcze). Tłóm. za zezwoleniem autora Jerzy Gościcki. (Nakł. Tow. Wydawniczego — Lwów, 1910).

Dr. Adolf Chybiński: Materyały do dziejów król. kapeli Rorantystów na Wawelu (część pierwsza: 1540—1624. Składy gł.: księg. D. E. Friedleina w Krakowie i E. Wendego i Sp. w Warszawie, 1910).

Dr. W. Tatarkiewicz: Di Bilder des warschauer Museums *(odbitka z „Zeitschrift für bildende Kunst" N. F. XXI. H. 10 z 22 wybornemi reprodukcyami).*

Stanisław Kotowicz: Z lektury „Pana Tadeusza" (lekcya i wnioski) (Nakł. autora — skł. gł. : Altenberg — Lwów, 1910).

Léon Bernardin: La Pologne n'est pas morte (Paris 1910 — Bibliothèque des „Marches de l'Est"). *Krótka impresya, oparta na sumiennej obserwacyi, napisana przez człowieka, który wszystkie trzy zabory poznał bodaj czy nie dokładniej od niejednego Polaka, a przytem ma szczere współczucie z nami, oparte na zdrowem pojęciu rzeczy społecznych.*

Marius-Ary Leblond: La Pologne vivante. (Une renaissance active sous l'horreur des persecutions, le drame du progrès national, la nationalité. la religion, la langue et la littérature, la vie économique) (Paris — Librairie académique Perrin et Cie — 1910). *Książce tej poświęcimy obszerniejszą recenzyę;*

*

Sfinks. Miesięcznik art. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod. red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

La Nouvelle Revue Fraçaise. Revue mensuelle de litérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

Les Poèmes (Sommaire: Hélène Picard, La Plainte — Emile Boissier, Poème — Roger Vincent, Mors Amoris — Fernand Caüet, Poème — Maurice Guyot, Crépuscule — André Lafon, Poèmes — Marcel Martinet, Sonnets — Seb. Charles Leconte, La célébration des Mystères du verbe — Chroniques — Revues et Notes — Les livres). *Zeszyt czasopisma wychodzącego od 8-iu lat, co 2 miesiące — Directeur: L. Cubelier de Beynae — adres: Paris 36 rue des Martyrs — 5 fr. rocznie.*

Część druga. — Wczoraj.

Listy

(do Karola Maszkowskiego).

Paryż dnia 8ego Lipca 1891 rp.

Kochany Karolu! nie dziw się że ci w pierwszej chwili nie odpowiedziałem, ale to moje milczenie nie miało oznaczać niechęci do pisania, ale jedynie powód miało w tem, że zajęcia inne były mi przeszkodą. — Tak bowiem dzień cały mam wypełniony, że doprawdy na korespondentkę tobym zawsze czas znalazł, ale do listu zwłaszcza po dłuższem niepisaniu to już prawdziwie zabrać się trzeba. Ale dzisiaj jestem w takiem usposobieniu, żebym co innego nie mógł robić, spróbuję więc pisać, może mi to co pomoże. — Bo nie myśl aby skoro się już raz wyjedzie z Krakowa i skoro raz jest się gdzieindziej, aby się kłopoty wszelkie skończyć miały, aby się wszelkie niepokoje miały usunąć. — One powoli zaczynają się i tutaj zjawiać, a co gorsza że od nich już uciec nie można, tylko się do nich trzeba przyzwyczaić. Nie powiedziałbym aby to było złe takie oswajanie się z codziennością, ale jeśli się wśród tego znajdą niepokoje, dotyczące sztuki, to jest czasem bardzo męczące. — Z tem wszystkiem konstatuję jeden fakt stanowczy, tj. że zacząłem już malować, i mam stałe postanowienie fakt ten zamienić w akcyę stałą, któraby trwała lat parę, bo rzeczywiście lat kilku potrzeba, aby to co się wymaluje mogło być od początku do końca dobre.— Otóż ta wątpliwość, czy się nareszcie do tego dojdzie, to wyczekiwanie z dnia na dzień, gdzie jeden dzień pogodny a drugi pochmurny, takie chwianie się i kołysanie, coś podobnego do ruchu falowego, to właśnie ma swoje przyjemne i przykre strony. Ale też to falowanie umysłu jest główną jak mi się wydaje cechą Paryża. Wrażenie podobne, jak kiedy się płynie

łódką małą wśród szerokiej wody, wznosząc się i opadając za biegiem każdej fali — gdzie każdej chwili można się znaleźć w niebezpieczeństwie — coś jakby wypoczynek wśród ustawicznego chaosu. — Jest to bardzo przyjemne ale i bardzo śliskie. Co to z tego będzie za parę lat, Zeno chyba jeden byłby w stanie odgadnąć — udaję się tymczasem pod opiekę Psychy i proszę cię pozdrów odemnie tę, która stoi w gabinecie uniwersytetu i zanieś jej parę róż odemnie, jako błagalną ofiarę, z prośbą o równowagę dla moich myśli. — Nie jeden raz byś żałował że nie ma cię razem z nami, gdybyś wiedział czem się zajmujemy i jak my tu żyjemy. — Na takie pytania radbym odpowiadać jak najogólniej, bo każda im ogólniejsza odpowiedź będzie prawdziwą, a nie zdejmie uroku z naszego oddalenia. — Wszak ci to już tłómaczyłem że każde słowo powiedziane o kilkadziesiąt mil dalej nabiera innego wyglądu. — — Mówisz, że chcesz wiedzieć więcej niż kto inny.... Niezaprzeczenie, ale zważ, że gdy ja ci powiem jedno najskromniejsze słowo, to w twej imaginacyi urośnie z niego wiele więcej niż jest w rzeczywistości i że rzeczywiście trzebaby parę lat odstępu, aby rzeczywistość twojej imaginacyi dorównała. — Jednem słowem nie chciałbym cię drażnić wiadomościami, które dla innych są zresztą potrzebne. — Pozwól niech płyną dnie za dniami, niech i lata płyną, a zostaw nas za mgłami nieprzejrzystemi. —

Jeśli chcesz, bardzo chętnie będę ci donosić o wszystkiem, co dotycze sztuki, teatru, muzyki, boć to jest główną rzeczą, dla której tu siedzę, i której wpływowi się poddaję. — —

Z wielką a wielką ciekawością, z przyjemnością oczekuję na każdą wiadomość od ciebie, a zwłaszcza teraz, gdy od ciebie wyczekuję słowa stanowczego. Radbym abyś je sam powiedział. — Tak samo ja jak i ty czujesz dobrze, że do napisania jedynie fakt się kwalifikuje, że wszystko inne jest za mdłe, za słabe, że należy je raczej przemilczeć, przeczekać, dając lepiej znać o samym fakcie, — ale znów z drugiej strony widzę, że właśnie u ciebie potrzeba jest tego głośnego myślenia, że właśnie skoro masz sposobność pisać dłużej — przychodzą ci na myśl rzeczy, o których przedtem nie wiedziałeś tak dobrze, iż w tobie istnieją. — Niezaprzeczenie że każdemu brakuje techniki i tę trzeba wyrobić sobie, ale sposobu myślenia przecież nie zmienisz. — Fantazya zatem, ta sama fantazya, która bierze u ciebie górę nad rozsądkiem powinna cię popchnąć naprzód i oto co się nazywa oddać się sztuce.

Żaden rozsądny naprawdę człowiek tego nie zrobi, ale niech mi

wolno będzie nie zazdrościć mu wyboru... Jestem szczęśliwy z mojemi błędami.

— — Gdyby o to chodziło, możeby się nawet udało znaleźć te słowa u jakiego filozofa starożytnego, możeby się nawet wśród fragmentów rzeźb udało odszukać jego głowę, którąby można potem z większym lub mniejszym efektem rysować; nawet z użyciem tła czarnego. — — — — —

Spryt tylko cały leży w tem, aby mając pewien znaczny zapas wykształcenia, nie odrzucać go na bok, ale oparłszy się na nim, jako na pewnej podstawie silnej, żądać poparcia od tych, którzy są w stanie go udzielić. Należy w to wierzyć, że zawodu być nie powinno. — —

Jeszcze jest jedna kwestya. Kwestya własnej satysfakcyi. — Tę zawsze mieć można pracując sumiennie i rozważnie i idąc jedynie za własnem zdaniem. — Brak środków. Krzyczą na wszystkie strony, — a czyż to co złego być trochę w niedostatku — to jest nawet potrzebne—inaczej się nie można wyrobić i nie można nabrać inaczej tej wyrozumiałości dla wszystkich i na wszystko jak właśnie przechodząc przez taką samowolną drogę. — Niech ci się zdaje, że idzie przed tobą figura allegoryczna, że ona ci toruje drogę i że przed nią musi ustąpić wszystko.—Tę allegoryę nie każdy dostrzeże, ale kto raz zobaczy jej usta rozchylone uśmiechem rozkosznym, jej oczy płomieniejące — ten z pewnością pójdzie za nią. — — —

Mówią, że życie jest krótkie — wartoż go sobie jeszcze psuć... Należy sobie powiedzieć. Jestem, więc mam racyę bytu. Nie mogę zginąć wprzód niż to jest mojem przeznaczeniem. Pokierować je według własnej woli, leży w ręku każdego — bo wszakżesz mamy własną wolę. — Niech się przeszkody nazywają jak chcą, niech przybierają na się postać jak najuprzejmiejszą, tem szybciej należy się wyśliznąć z ich rąk... — Te postacie ociężałe, powolne, nie znoszą żadnego silniejszego błysku, który mógłby być jakimś urokiem otoczony. — Przecież chyba wolisz naturalne drżące światełko robaczka świętojańskiego — niż latarnię wbitą na słup i świecącą zawsze o tej samej porze, zawsze w tem samem miejscu. —

— — — Może to być i dziwne — ale nie dla mnie. To jedno wiem, że na wspak czytać tego nie można. —

Prawda i to, że ktoinny napisałby ci może w sposób inny, ale ja nie umiem inaczej — wszak chodzi naprzód o umysłową przemianę a do serca mówić inaczej nie można jak przez serce. — Nie bój się, nie bój się, i jeszcze raz ci powiem nie obawiaj się bo na oczekiwaniu i wahaniu czas tracisz, a to jedyny jak na razie twój

majątek. — Odsuń się trochę od wszystkich — bądź jak najczęściej i jak najdłużej sam. Niema nad to większej przyjemności. — Wtenczas każdy dźwięk dosłyszany zdala będzie wyrazem piękna w twojej imaginacyi. Każdy kolor dostroi się do harmonii fantastycznej, — będzie, to świat złudzeń — świat, co jest nieprawdą, — ale tak piękny dla wyobraźni: Wejście do niego jest rodzajem ślubu, którego złamać nie wolno —

— — — No i ty się wahasz wejść do niego. Zdaje mi się że wytężając słuch mógłbyś usłyszeć te półtony czarodziejskiej muzyki — możebyś przed oczyma twojej wyobraźni spostrzegł znów tę postać piękną, jasną. — — —

Paryż dnia 17ego Lipca 1891 r.

Kochany Karolu! Na dowód że ciągle myślimy tutaj o tobie posyłamy ci dwa obrazy Puvis de Chavannes, których oryginałów wprawdzie nigdzieśmy nie widzieli, ale że są piękne to nam zupełnie wystarcza. — Kiedy przy innej sposobności przyślemy ci może te sceny z życia św. Genowefy, które on malował w Panteonie. — W każdym razie ze załączonych fotografii, spostrzeżesz jego typ postaci kobiecych i jego komponowanie naturalne i proste, jakby w takt własnej myśli spokojnej i fantazyjnej — bo nie szukanej w naturze ale wysnutej z głowy artysty... On naturę tłómaczy na swój sposób pięknie, spokojnie ją przedstawia, powiedziałby kto że idealizuje. Zanadto ten wyraz jest nadużyty abym go do niego chciał zastosować. — Podobno najpiękniejszym, jak mówi Mehoffer — jest fresk, który Puvis namalował w klatce schodowej domu Bonnata. (Ja go jeszcze nie widziałem ale naturalnie muszę się tam kiedy wybrać. — Sorbona jeszcze nie otwarta (nowy gmach) aby można podziwiać jego fresk umieszczony w hemicyklu.

Dzisiaj były exponowane grands prix de Rome. w jednej ze sal Szkoły Sztuk Pięknych... Będzie je można zwiedzać przez parę dni przed osądzeniem prac. — We wspaniałej sali są umieszczone, sala cała zawieszona kopiami z Rzymu, wogóle z włoskich mistrzów renesansu. — Między kopiami rzeczywiście pięknie malowane przez Baudrego i jest ich stosunkowo najwięcej (ze scen Syxtyńskiej kaplicy). — — Dopiero tutaj naprzykład widać jak się francuzcy malarze kształcą — — wyjeżdża do Rzymu (wogóle do Włoch) człowiek, który już dużo umie: i jeszcze tam kopiuje i uczy się, pozostawiając dla kraju rozumną swoich studyów pamiątkę. — Jak sobie pomyślałem w tej chwili że nasza szkoła posiada jedyny rysunek Stattlera owego

Adama kolosalnego, który jest umieszczony gdzieś na szóstym kursie, to może się zrobić przykro.

Otóż należałoby abyśmy parę takich studyów porządnych przynieśli. — — Oglądając w operze we foyer freski Baudrego, owe postacie 9ciu muz — przypomniałem sobie jakeśmy je oglądali kiedyś wieczór u ciebie w domu. — —

Ale wracam do prix de Rome. —

Otóż za temat było: Philemon i Baucis przyjmują Jowisza u siebie na uczcie. Jest przytem i Hermes. Staruszkowie chcąc go uczcić gęsią, łapią ją a ona chroni się do stóp Zeusa. — W porównaniu z innemi latami wypadły obrazy fatalnie. Zaledwie dwa z pomiędzy dziesięciu które się wyróżniają, jeden studyowaniem natury trochę przesadnem ale oryginalnem — drugi spokojem i prostotą, gdzie zwłaszcza piękną jest postać staruszki. — Oprócz tych dwu dobrych — reszta nie świetna — a parę prawdziwie szkaradnych, — tak że nie byliśmy wcale oczarowani tem cośmy widzieli. — — Wpadło mi na myśl, czyby nie było dobrą rzeczą gdybyś ty np. zabrał się do zrobienia i obmyślenia tej kompozycyi i do zaniesienia jej Matejce. — Byłaby to rzecz na czasie — a miałbyś odrazu studyum dla siebie; bo myślałem i nad tem, że rzeczywiście z daleko większą otuchą i chęcią rysuje się studya, które mają służyć do jakiejś kompozycyi niż luźne akty akademickie. — W każdym razie powinieneś zrobić koniecznie kilka dużych szkiców kompozycyjnych — — a nic się nie żenuj, tylko rysuj jedną po drugiej. — Hendel nas opuścił przed dwoma dniami żegnając już Paryż na zawsze. — Na zawsze jak na zawsze, ale na parę lat w każdym razie. — Pojechał przez Chantilly (zamek wspaniały i stajnie) do Amiens. — Następnie pojedzie do Reims, (dałem mu adresy hotelów.) — Szczęśliwy człowiek że może sobie odbyć podróż dosyć daleką — bo będzie jeszcze w Kolonii i Norymberdze. — W Comédie française grają w niedzielę Brytannicusa Racinea oraz walkę kobiet. Na jeden wieczór 10 aktów; — zatem idziemy. — Dzisiaj zaś będziemy widzieć „Afrykankę“ w operze. —

Wspominał ci Józek w liście swoim o 14 Lipca. Rzeczywiście prześliczne i wspaniałe można było wynieść wrażenie w tym dniu, mianowicie biorąc całą tę zabawę bardzo ogólnie, uważając ludzi jako masy, grupy, obrazy i. t. d. — — Prawdziwie operowe efekta światła i cienia były przy oświetleniu wieży Eifel, gdzie scena przypominała grozę kompozycyi Rochegrossa. Pod wieżą Eifel w[?] jest murawa śliczna, strzyżona — uozdobiona posągami i wazami kamiennemi. — Nad nią wysoko na 130 metrów wznosi się żelazne sklepienie wieży. — Cała

ta murawa zasłana ludźmi, rozłożonymi na niej w pozach najwygodniejszych i my wśród nich. Dokoła płonie tysiące lampek — w głębi biją kolorowe fontanny — za nami, za tłumem ludzi most na Sekwanie i pałac Trocadero, gorejący światłami i wyglądający jak owe kryształowe pałace podwodne o których mówią bajki i powieści indyjskie. — I nagle wśród krzyku tysiąca ludzi całe sklepienie to żelazne nad nami płonie pąsowem światłem. — Przyszło nam w owej chwili na myśl że ztamtąd do piekła niedaleko. — Przypominają się sceny z Fausta. — — — Albo te tańce po ulicach — na każdym placu — na wielu nawet małych uliczkach poustawiane estrady z muzyką — a tłumy falując w takt walcu lub polki tańczyły. — Np. przed operą był widok wspaniały; tańczono nawet na terasie przed operą. Tłumy ludzi na schodach przy jej wejściu... — Należałoby o tem mówić dużo aby wszelkie szczegóły opowiedzieć — blisko do trzeciej w nocy chodziliśmy po mieście przez oba te dnie. 13 i 14 Lipca. Co dwa dni trwała zabawa i bale uliczne — a chorągiewek jeszcze dzisiaj nie pozdejmowano. —

— Przez ten tydzień malujemy starego jakiegoś Francuza, który jest prawdziwym typem Galla starego, jakby z obrazów Cormona. Naszymi profesorami są Blom już stary dosyć (malował w Panteonie sceny z życia Clodwika) i Courtois zwłaszcza ten ostatni bardzo energicznie się do nas bierze, żądając aby chwytać ogólne wrażenie kolorytu — a nie bawić się szczegółami, — aby oceniać należycie wartość świateł i porównywać je ze sobą, na różnych partyach ciała, nie wprowadzać za dużo półtonów — itd. —

Na przyszły tydzień znów zdaje się będzie modelka. — —

Pół okna mamy już skończone — i wkrótce je poślemy do p. Stryjeńskiego. — —

Dowiadujemy się że kościół już podobno ukończony. — Oczekujemy od ciebie częstszych wiadomości.

Stanisław. —

Koniecznie a koniecznie wykonaj kilka kompozycyi — pozdrów brata odemnie. —

Uściskaj Wujostwa odemnie. Naszemu [?] światu powiedz że nam tutaj jest dobrze. — — —

20 Lipca 1891.

Kochany Karolu! Nie odzywasz się do nas, o co mamy żal do ciebie. — Na Afrykance dostaliśmy złe miejsce a zatem cały czas przepędziliśmy we foyer oglądając malowanie Baudrego i urządzenie

opery. — Wczoraj byliśmy w Comédie française na „Britannicusie“ Racine'a, aktor Marais grał przepysznie Nerona. Agrippina była wyborną Rzymianką w grze p. Malck. [?] Zato krytyka w tutejszych dziennikach bardzo ostro występuje przeciw nowej sztuce jaką daje Teatr français: „Article 231.“ ze względu na brak sensu i treść nie nową, tak że nawet nie mamy odwagi pójść zobaczyć. — Wczoraj również w ten sam wieczór co Britannicusa grano „Walkę kobiet“. byliśmy bardzo ucieszeni mogąc porównać grę p. Broisat artystki tutejszej z grą Modrzejewskiej. — Naturalnie Modrzejewska górą — zato ensemble reszty był prawie zupełnie dobry. — —

Pojutrze grają w operze „Aidę“. — Byłem wczoraj w Louvrze. przyglądałem się specyalnie obrazom włoskim. Rzeczywiście, to największe skarby Louvru. Apollo i Marsyas Rafaela przecudowny. — Przez ten tydzień malujemy młodego atletę, który się lubi popisywać ze swojemi mięśniami. — Modelek ładnych mnogo. — Pozdrów Wujostwa i brata. — Złóż od nas uszanowanie prof. Łuszczkiewiczowi i p. Sokołowskiemu. —

[3ci 8. 1891.]

Kochany Karolu. Dobrze czynisz że nam piszesz o waszej wycieczce, ale piszesz za mało o rzeczach interesujących a za dużo rozpaczasz żeś nie jest we Włoszech. Pamiętaj, że kto na to zasługuje może być każdej chwili we Włoszech, bo i od tego są koleje żelazne. Na to się żyje żeby się czegoś dokonało, należy zatem szukać środków. Twoje wanderjahre już powinieneś uważać za skończone, należałoby rozpocząć lehrjahre. Bardzo to naturalne że w dzisiejszych stosunkach postępuje się inaczej niż w XV. wieku. — Jak tylko mam czas wolny chodzę wciąż do Panteonu, dla podziwiania fresków. Żeby to u nas kiedy można tak chodzić wśród ścian pomalowanych Wawelu, Collegium novum i. t. d. Myślę nawet o miejskiej sali w magistracie, gdzieby można przedstawić całą historyę Krakowa. — We czwartek będę w Sorbonie oglądał freski które są tylko w ten dzień dla publiczności dostępne. — Zatem ci o nich we czwartek napiszę. — W Komedyi francuzkiej grają Hernaniego (Victora Hugo) ale że wczoraj były tłumy, więc idziemy dopiero w piątek. — Wogóle teraz teatra wszelkie odpoczywają. — Czytam obecnie Prometeusza Aischylosa. — Pozdrowienie dla całego grona podróżników.

Stanisław Wyspiański.

13 Sierpnia 1891.

Kochany Karolu! Pisałem do Tarnowa, Rzeszowa i Przeworska korespondentki, jeśliś ich nie otrzymał to leżą tam na poczcie. Za list ci dziękuję. Właśnie przed godziną wysłałem do ciebie kartkę ale jeszcze pod starym adresem. Byłem w Sorbonie i wieczorem napiszę ci list o malowaniach. Cieszę się niezmiernie tonem jaki panuje w twoim liście i humorem, jak również wiadomością że wiele rysujesz, mianowicie owe wnętrza perspektywiczne. To wyrabia pojęcie o masach i o przestrzeni. — Ale na miłość boską Karolu zwracaj się do koła siebie — na naturę — rysuj po ulicach, po plantach, — bo sam nie wiesz jak ci takie rzeczy będą rychło mogły być potrzebne — a jeśli się niema mnóstwa rysunków chwytanych z natury, tego kompozycya nie zastąpi. Nie bądź nikim innym tylko uganiającym się za naturą.

Stanisław Wyspiański.

17 Sierpień 1891. Paryż.

Wiesz co, że wracam do owego projektu z teatrem. Rzeczywiście że ponieważ masz zamiar być malarzem, a zatem musisz mieć swoje idee malarskie i swoje malarskie cele już dzisiaj, nie potrzebujesz na nic czekać ani sobie pozwól komu mówić żeś powinien na nie czekać aż do zupełnego wykształcenia się. Należałoby zkąd dostać dokładne pomiary tych pól które mają być malowane i rozważywszy je z planem razem, spróbować kompozycyi kolorowych, odnośnych i odpowiednich. — Mógłbyś to wykonać na 1/10 lub 1/5 naturalnej wielkości. — Wtenczas byś zobaczył trudności i przyjemności, a bierz się tylko śmiało. — lub jeśli nie chcesz teatru, to przecież masz w szkole sztuk pięknych wspaniałą klatkę schodową. Możesz zrobić próby kompozycyjne akwarellą i zanieść je do Matejki. —

Stanisław Wyspiański.

Paris. Sierpień 1891 rp.

Kochany Karolu. Jakże się czujesz na swojem mieszkaniu. Gdybym wiedział że zrobisz to co ci poradzę, tobym ci mówił z większą śmiałością; bo tylko przy wykonywaniu i w ciągu pracy mógłbyś się przekonać, że rada moja jest dobra. Mianowicie abyś jaką kompozycyę twoją wykonał kolorami i w dużym formacie. Abyś się kolorów nie bał i abyś z pomysłami nie czekał. Niema większej przyjemności jak

widzieć jakąś kompozycyę własną ubraną barwami, żyjącą? ustawione figury w pewnej masie powietrza, mające pewne zdecydowane formy. — Szkoda że cię niema tu z nami razem — ale nie uspokoję się wprzódy, aż mi doniesiesz że zrobiłeś jakąś dużą kompozycyę akwarellami. — Zatem śmiało się zabierz. — Możeby nieźle było wywiedzieć się o kształcie foyer teatru krakow. nowego i skomponować dekoracyę obrazową. Przecież to mógłbyś zrobić. Mów ze Stryjeńskim.

Stanisław Wyspiański.

Jak zobaczę że co rozpocząłeś to będę pisać dużo.

19 Sierpnia 1891 r.

Kochany Karolu! Dzisiaj rano odebrałem twój list z opisem wycieczki, ze wzmianką o kościele. Za mało piszesz o sobie. — Nie rysuj wciąż jednego modela i temu co rysujesz każ wykonywać pozy jakich potrzebujesz do kompozycyi. — Harmonia kolorów to nie jest żaden frazes. Jest rzeczą niesłychanie trudną założyć kolorami duży płat papieru, jeśli tych kolorów szuka się w pamięci a nie kopiuje się z natury. — Radzę ci się brać do tego zaraz, abyś nie potrzebował przechodzić takich kłopotów, przez jakie my teraz przechodzimy. Właśnie w połowie mamy ukończone nasze kompozycye. — Możebyś przyszedł zobaczyć, jeśli masz czas... Trochę to dalej do nas niż na koniec Długiej ulicy. — Za jakiś czas wytłómaczę ci obszernie. — Pozdrów odemnie mego modela. — Nie ma nic przyjemniejszego jak zrobić to, o czem się myślało. Radzę ci abyś nie pomiatał kolorami i abyś się brał do akwarelli.

Stanisław Wyspiański.

23 Sierpień. 1891 rp.

Jest to widok na jedną z najpiękniejszej części Paryża i na pierwszym planie pont des arts, prowadzący od palais d' Institut, gdzie 40 nieśmiertelnych, do Louvru, (na kwadratowe podwórze). Na jego ławeczkach siadujemy codzień wieczór, obserwując prześliczne zachody słońca.— W głębi po lewej szersze ramie Sekwany i wiele mostów w oddali, — z prawej w głębi kanał węższy Sekwany. — Na rzece parowce suwają. — jednego z nich ślad na wodzie zostawił grube smugi na fotografii (u dołu z prawej.) — W środku St. Chapelle (wieżyczka) i Notre Dame... — Widok ten wzięty z dachu Louvru. — Również z dachu Louvru wzięty i następny ale w stronę przeciwną bo na sam Louvre. —

W głębi pawilon główny. — Z przodu z prawej grande galerie des peintures (gdzie Rubensy i Teniersy), z lewej pawilony dostawione za Napoleona I. i Napoleona III. W środku pomnik Gambetty, za nim dwa koła z drzewami — na pierwszym planie ślad linii która się ciągnie półkołem i ma w środku łuk tryumfalny, po bokach 2 statuy. (jedną z nich widać — przez środek tego placu. Z prawej ku lewej chodzimy do Komedyi francuzkiej. Mein Liebchen was willst du n. m.

[Opis załączonej fotografii Paryża].

26 Sierpnia 1891 rp.

Kochany Karolu! Dziękuję ci za opis kaplicy Zygmuntowskiej. Z Panem L. gadaj o ile możności jak najmniej i bądź częściej sam niż z kimkolwiek. — Mówiliśmy tu wczoraj o dekoracyi teatru. Najgłówniejsza uwaga iż trzeba rzecz dostosować do oświetlenia wieczornego i że przy takiem świetle kolory się zmieniają.

— Przez kompozycyę rozumiem kolory i ustawienie światła, a nigdy kompozycyę rysunkową. — Jedynie od kolorów należy zacząć komponować a zresztą maluj sobie co chcesz i tylko taka może mieć wartość. — Dziwię się że ci w szkole (Klatka schodowa) miejsca brakuje dla kompozycyi. Tam właśnie powinien być spokój a miejsce potrzeba sobie stworzyć układem obrazu, rozłożeniem figur. — Na tle winny być dalekie, bardzo dalekie pejzaże. I otóż właśnie powód dla którego mówiłem ci że należy malować pejzaże z natury i obserwować efekta świateł słońca — jak się w te płaty kolorów zmieniają. Twój list czytałem pod statuą Voltaire'a — w głębi miałem widok na przepyszny zachód złoto żółty. Co za pyszne sylwety drzew jeszcze zielonych i sinego Louvru. — Muszę ci jednak zaznaczyć że w szkole, to musisz się ograniczyć do jednej trzeciej części tych ścian i tego sufitu.

Stanisław Wyspiański.

30ego Sierpnia 1891.

Po całodziennem zajęciu nic przyjemniejszego nad przechadzki po boulevarach... po ogrodach i t. d... Szkoda nieraz że ciebie niema, bobyś pomiędzy nas wniósł jakieś nowe spostrzeżenia, bo my się nie zawsze zgodzić możemy, patrząc z dwu zupełnie różnych sposobów widzenia. Pamiętaj więc o tem że koniecznie musisz przyjechać. — Dobrze żeś porozwieszał u siebie na ścianach fotografie (ale je poprzypinaj poprostu pineskami na wysokość głowy), tak jak był u nas przed mie-

siącem cały pokoik katedrami udekorowany a jak jest obecnie jedna tylko Venus z Milos. Ale i jej panowanie niedługo się skończy. — Czyś już wykonał jaki szkic kompozycyjny kolorami? Powiadam ci, że skoro zrobisz jeden, zabierzesz się do drugiego tem śmielej. — Mam różne na ten temat plany i projekta, ale zaczekam aż na twoją odpowiedź donoszącą mi o jakimś fakcie dokonanym. — Tymczasem pisz co się w Krakowie dzieje. Czy się wszystko kręci około ciebie. Radbym cię raz widzieć jak wylecisz po stycznej z tego koła.

S. W.

31 Sierpnia 1891.

Wczoraj odebrałem twój list gdzie piszesz o malowaniu. Nie uważam za potrzebne abyś się trapił, bądź spokojny jak Anglik i czekaj a byłoby bardzo dobrze abyś po tygodniu malowania przerwał olejno — i zaczął co innego, a za jakie 3 dni znowu wrócił ale nie patrząc na poprzednie swoje roboty i nawet na nic nie zaglądając. W ten sposób wyrobić sobie można coraz delikatniejsze pojęcie barw. Że jesteś niecierpliwy to wierzę, i temu się nie dziwię. — Sprzeciwiam się jednak temu komponowaniu bez koloru. — Jeśli się myśli o teatrze trzeba zaczynać od kolorów.

Podoba mi się że się zachwycasz kompozycyą bez aparatu, który w rezultacie wygląda zawsze śmiesznie i trzeba go gadaniem dopiero pozorować a i to gadanie może jeszcze nie być przyjęte. — — Dobrze, że mówisz jakoby nie miałeś długo wysiedzieć w Krakowie. Jak zrobisz kompozycyę kolorami i po ukończeniu jej przyszlesz mi malenki z niej zrobiony rysuneczek zakolorowany, to ci poszlę kilka wspaniałych fotografii z fresków Baudrego z opery. — Czekam zatem bardzo cierpliwie. — Idź czasem wieczór do Wujostwa.

Stanisław Wyspiański.

modela mego pozdrów odemnie jeśli się z nim widzisz. —

8 Września 1891. Paris.

Milion rzeczy chciałbym ci powiedzieć Kochany Karolu... Co teraz zrobisz z uniwersytetem. — My się nad tem namyślaliśmy i radzimy aby się nie zapisać na kursa uniwersytetu. Coby zaś było najlepsze, to gdyby cię już wcale w Krakowie nie było — w chwili gdy Sokołowski zacznie wykłady. Byłby już zresztą czas największy raz się upomnieć o stypendium u Matejki, aby módz wyjechać na razie do Wiednia

chociażby. Czy już masz jakie rezultaty z twojego rysowania. — W ogóle nie powinieneś zasypiać twojej sprawy, ale postawić ją przed Matejką jako kwestyę bieżącą, bo inaczej znów nic dla siebie nie zrobisz. — Władysław Małachowski, ten którego u mnie widziałeś jedzie do Ameryki i będzie po drodze w Paryżu a zatem będzie się widział z nami. Obecnie jest także w Krakowie. — — Nie mogę zrozumieć dla czego nie piszesz, bo już jesteśmy spragnieni oddawna jakiego listu od ciebie. Wczoraj widzieliśmy się z Janem Opieńskim i pójdziemy razem do Opéra comique na „Carmen". — Z kolegów naszych jest tu Y. którego babka tutaj mieszka. — — Nieraz to mi się zdaje że nie jestem tak daleko od wszystkich. Mam nieraz złudzenie że jestem nie w obczyźnie. Gdybyś tutaj był razem z nami, tobyś dopiero zrozumiał dlaczego.

Stanisław Wyspiański.

11 Września 1891 rp.

Kochany Karolu. Cieszę się żeś wciągnął Henrysia w koło twoich marzeń, jak z drugiej strony że on ciebie opanował swojemi projektami. — To co ja mówiłem o komponowaniu kolorami może tylko wtenczas mieć miejsce jeśli się rzeczywiście miało wrażenia kolorowe lub kolorystyczne (bo to dwie różne rzeczy!) i jako takie należy je uwzględnić. — Zresztą jak Matejce gotowy rysunek zaniesiesz to przecież nie będzie wiedział jakeś to robił. Toż nareszcie o to nigdy nie chodzi jak co jest zrobione — tylko jakie robi wrażenie. Wczoraj znów byłem w Sorbonie i miałem znowu prawdziwą rozkosz oglądając klatkę schodową całą pomalowaną. — My tutaj teraz dosyć smutne dnie spędzamy. — Może temu winno moje usposobienie. Martwi nas że p. Stryjeński tak dawno nam nic nie napisał. — Wczoraj widziałem w Odeonie Cyrulika Sewilskiego. Przedwczoraj zaś „Hernaniego" w Komedyi francuzkiej. Y. był u nas z wizytą i pojechał.

Stanisław W.

Paris 15ego Września 1891 rp.

Louvre. Przebiegłszy szybko dużą salę podłużną gdzie niegdyś Molière wobec dworu Ludwika grał swoich Mizantropów i Świętoszków, a gdzie dzisiaj pomieszczone ułomki klasycznej starożytności, wchodzę do przyciemnionego corridoru a zeń na prawo bije odrazu

w oczy blask dekorowanej sali, mianowicie plafon, i odrazu pociągają ku sobie kolory. Sufit jest beczką ściętą cokolwiek powyżej środka. Ogólny efekt dekoracyi złoty, malowań oliwkowy, dosyć nawet ciemny.— Część dekoracyjna obejmuje złocone ramy i płaskorzeźby, których treść dosyć luźna, zdaje się odnosić częścią do polowania a zkądinąd znowu zaczepiać o temat klasyczny (mianowicie w polach większych prostokątnych.). Malowania umieszczone są w środku sufitu, duży kwadrat ujęty bogatemi złotemi ramami. Ogólny ton oliwkowo złoty malowań, w jednej połowie przechodzący ku ciemnemu fioletowi.

Nieznacznie wybija się czerwony ciemny płat bez świateł i drugi delikatny lilla niebieski jasny cieniowany pomarańczowo. — treścią tego obrazu jest Diana biegnąca przed tron Zeusa skarżyć się na kogoś. w głębi widać jeszcze Atenę, Junonę i Aurorę. Ta ostatnia bardzo powiewna i na dalekim już planie obrazu znaczona tylko masami światła i cienia tam gdzie widne jej ciało (co przypomina Prudhona) cała owiana w gazy i tiule kołowemi liniami, wsparta na łuku różnobarwnej tęczy wygląda bardzo dobrze i naturalnie odnośnie do swego traktowania najlepiej z całego kadru. — W ogóle to pole na suficie nie jest kompozycyą zadawalniającą, a już błędem wielkim jest to że zupełnie nie liczy się z plafonem. — Zato pola boczne ujęte półkolem i już na samych ścianach pomieszczone są o wiele lepsze jako kompozycye i mają nawet partye bardzo piękne, jak np. dwie figury dziewcząt około starca (wyobrażającego wiedzę) leżącego które się wychylają ciekawie z za drzewa przyglądając się temu co się dzieje na pierwszym planie.

Ciało tej dziewczyny malowane przejrzysto a pomimo [to] odrzynające się ciemną sylwetą na tle nieba i dalekiego blado niebieskiego pejzażu, oraz jej główka delikatna, zmoczone włosy i wplątane w nie liście szuwaru, są najładniejszą partyą całego obrazu, bo reszta tj. Diana, jej nimfy, psy i jakiś atletyczny heros nagi, w eleganckiej pozycyi tańca wcale nie warte uwagi. Biała sukienka Diany, miluchny kolor różowy u jednej z nimf na sukience opasanej przewiązką zielonawo żółtą, są jako plamy kolorowe jedyną zaletą.

Po stronie przeciwnej i pejzaż lepszy, bo obejmuje dalekie plany, i kolorów więcej bo każda z figur, których jest mało (a to właśnie dobrze) wybija się jakąś barwą. Co też jest rozumne w całości obrazu to że tło ciemne o tonie złotawo oliwkowym pozwala na uwydatnienie każdej barwy jaką się do obrazu wprowadzi. — Dominuje duży płat biały ubrany lilla kolorem, dalej niebieski jasny z żółtem — i dwie odmiany czerwonych barw. Wszystkie kolory wybornie zharmonizo-

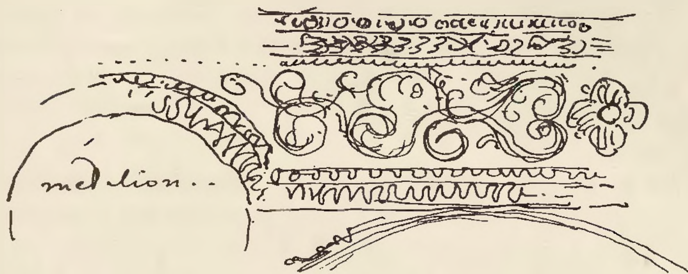
wane do ogólnego tonu oliwkowo złotawego. — Figury w tym obrazie nie są za wielkie, bo cokolwiek tylko wyższe od naturalnej wielkości.



W ogóle rzeźba jest najlepsza z całej dekoracyi, ale że zależy nam na malowaniach, więc przechodząc do następnej sali wspomnę ci tylko tyle, że tutaj są pomieszczone owe śliczne fragmenta z wyspy Thasos, tutaj owa metopa ze świątyni Jowisza Olimpijskiego (Hercules zwyciężający byka kreteńskiego) i płaskorzeźba tak piękna z pod Farsale w Tessalii, bo te dwie dziewczęta, z których jedna trzyma w ręku owoc a druga kwiat. Przypominasz je sobie zapewne!

Sala następna jest okrągła i chociaż złoceń więcej i dekoracya szumniejsza, nie ma już tak delikatnych rzeźb jak poprzednia. — Rotunda ta jest przykryta kopułą uwieńczoną zwierciadlanym plafonem. w kopule tej powycinane różnorodne łuki i nisze stosownie do załamywań się ścian i odnośnie do komunikacyi z następnemi salami. — Figury kobiece większe niż naturalnej wielkości całe ubrane w szaty złote wiążą festony ciągnące [się] dokoła sufitu i pomieszczonych na nim medalionów; medaliony te wyobrażające rzeźbę rozmaitych epok i ludów, podtrzymywane są przez putta zupełnie nagie a więc całkiem białe, bo wogóle ciała wszystkich tych rzeźb w silnym reliefie odstępujących od płaszczyzny plafona są białe i uwydatniają pięknie ruchy figur, znacząc się wyraźnie na kremowem tle reszty ścian. Cóż za bogaty fryz obiega dokoła owalny obraz środka plafona a jak on się załamuje przy czterech medalionach i jaka masa członkowań złotych skupia się w tem miejscu.

Sama treść tego fryzu bardzo prosta i znana i dawna, ale sutość cała polega na tej ilości złoceń, które przy kremowem tle występują prześlicznie.



Mam nadzieję że ci kiedy opiszę znowu części rzeźbione i wogóle dekoracyę plastyczną Louvru, więc na razie przechodzę do plafonu i do jego kolorów, bo rzeczywiście byłoby dobrze abyś coś wiedział o plafonach Louvru zabierając się do tego rodzaju kompozycyi. —

Obraz tej sali jest owalny i liczy się już cokolwiek z warunkami umieszczenia ale jeszcze niezupełnie. Ogólny ton jest różowo-żółty przez pół niebieskawo siny. —



W chmurach pokazuje się Zeus, Athene, trzy parki, i trzy alegoryczne postacie: rzeźba, malarstwo i architektura, (te trzy ostatnie figurki jako kompozycya wyglądają bardzo ładnie zgrupowane,) oraz czas (tempus) z kosą, skrzydłami i t. d.... Mleczno ceglana szata Zeusa, jasno brązowa jednej z park występują jako duże płaty; — prócz nich dwie grupy barw delikatniejszych, które się już nie tak wiele wybijają. — Te kolorki delikatne, te półkolorki zwłaszcza bardzo mile oddziaływają na całość. —

Przez wysoką, otwartą arkadę wspaniały widok do sali następnej. Która, podłużna, ponieważ ma okna tylko z jednej strony jest cokolwiek w półcieniu, ale że jest w niej mnóstwo złoceń na stropie i słońce właśnie świeci do niej, reflexami

oświetla się prześlicznie Te jakieś linie gięte, esowate wolut, ram obejmujących malowania, fryzów tak się odbłyskują w tym ogólnym półcieniu iż wchodzi się do niej jak do złotego zaklętego pałacu. — Przychodzi na myśl, że szkoda tych sal pięknych na pomieszczenie w nich antyków. Tutaj by potrzeba było całego szeregu mebli wieku XVII. tutaj by potrzeba było dworu Ludwików i tych strojów jakie się widzi w komedyach Molièra.

Sala trzecia. —

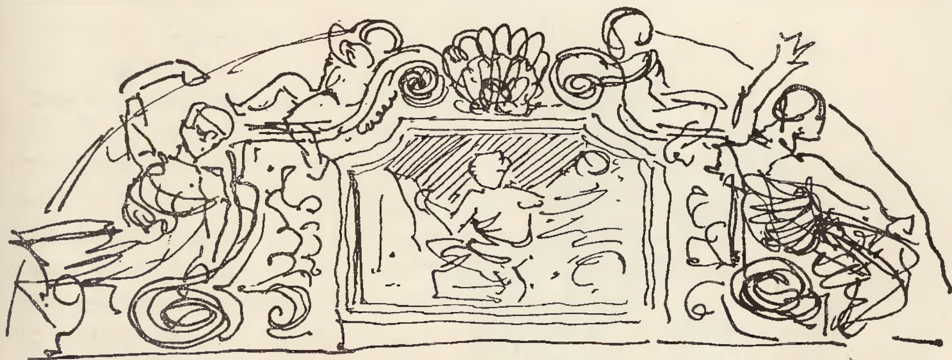
Jest tu w tej sali nowość bo prócz obrazów na beczkowem sklepieniu znajdują się płaskorzeźby malowane na kolor miedzi i obrazy mniejsze malowane dwoma tylko kolorami t. j. żółtym i czerwonym na tle białem... z wprowadzeniem modelunku jak na płaskorzeźbach... Obraz środkowy choć dobrze rysowany wcale nie świetny ani w pomyśle, (jakaś apoteoza praw Rzymu, alegorie, geniusze, justitia z wagami, w tem wszystkiem Minerwa, jakaś kobieta o rysach twarzy przypominających Józefinę cesarzową, jakiś lew, trochę owoców i amorków. Wreszcie dwu poważnych senatorów w purpurach... piękny kolor lakowy). — Nie mam w zasadzie nic przeciwko tym wszystkim figurom ale nie widzę potrzeby ustawiania ich wszystkich razem. — Co tu



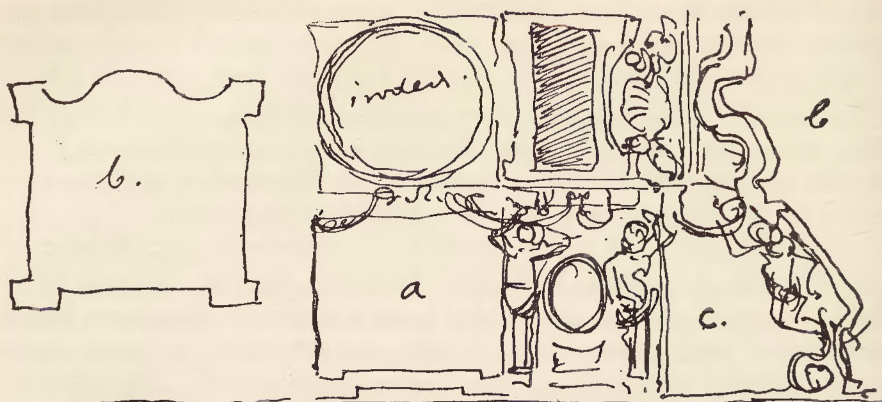
jest ładne to figura naga kobieca w białej zasłonie i dwie główki aniołków. — z kolorów uwydatnia się na tle szarawo-białem, ów wspomniany czerwony... dalej zielony cieniowany żółtem, i morelowy

z niebieskim, w ogóle to kolorystycznie ani ładne ani ujmujące, a jako plafon do niczego. — Dlatego wolę mówić o polach innych, mianowicie tych malowanych tylko dwoma kolorami. Jest ich trzy a wszystkie przedstawiają rzeźbę, jako kobietę z dłutem i młotkiem, obok niej geniuszka i masę gratów, akcessoryi, które rzecz tłómaczą. Jest to rzeźba, rzeźba we Francyi, rzeźba we Włoszech i w Grecyi jak dopiero po bliższem rozpatrzeniu się można rozpoznać.

Pojęcie tych figur dosyć banalne i modelowanie nie świetne ale barwy tych pól bardzo się pięknie dostrajają do złota, draperye dosyć lekko i okrągło rysowane i widać że są z miękkich materyi. — Jeszcze jest jedno pole gdzie około biustu starożytnego i mnóstwa rupieci rzeźbiarskich i architektonicznych, tańczą małe amorki. Tło czerwone, żółto amarantowe ale nie zbyt ciemne, na niem figurki białe cieniowane szaro z żółtemi skrzydełkami. — W ogóle ich zgrupowanie jest dosyć ładne, podają sobie ręce i biegną wśród palm. — — Powiedzieć wypada że każde z tych pól jest bogatemi ujęte ramami z muszlami, wolutami na których siedzą figury mocno wypukłe w złotych szatach, na których wieszają się i czepiają putta i dzieciaki małe podtrzymujące medaliony z pelikanami żywiącemi swoje młode. —



Sala ta nazywa się salą Mecenasa, z niej widzę już następną z plafonem, gdzie widocznie obrazy zajmą ważniejsze miejsce w udekorowaniu a błękitna barwa trochę z odcieniem liliowym już z daleka rzuca się w oczy, jako ton nadająca całości. — Rzeczywiście kompozycye te są piękne — plamy kolorowe wydatne, kolor niebieski, różowy i żółty (odcienie właściwe Giulio Romano) przeważa. — Treść odnosi się do Apollina i Diany, oraz czterech pór roku. Oto rozkład całego stropu, aż do ścian pionowych — (ponieważ się ściana łukiem zatacza, więc pole a = b co do rozmiarów, chociaż inne formą).



W kole środkowem Apollo i Diana (na tle chmur szarych i blasku złotego barwa różowa ze światłami żółtemi i cieniami czerwonemi — oraz niebieska również ze światłami żółtemi.) — W polach a i b, których jest razem cztery umieszczono Apolla i Marsyasa (kiedy go przywiązują do drzewa), Apolla wieńczącego Muzy. — Akteona kiedy ucieka przed Dianą. (Diana i jej nimfy, chociaż ich ruchy są trochę pozami ale wcale wdzięcznie zgrupowane.) oraz zdaje mi się że Diana i śpiący Endymion. — Pejzażu dosyć wiele chociaż sztucznego, na drzewach porozwieszane draperye różowe co charakterystycznie wygląda dla epoki. Czasem pojawi się bardzo miły kolor liliowy w światłach różowy aż do białego...



W polach c., których jest ró-

wnież cztery, są pory roku — tutaj to taką ważną rolę odgrywa barwa błękitno liliowa niebios, bo obraz zdaje się być otworem w sklepieniu i już cokolwiek zastosowany do miejsca. Figury nie są widoczne całe, widać jakieś poręcze kamienne. Postacie aniołków bardzo urozmaicają całość — szkoda że są takie tłuste i nie mają tego uroku dzieciństwa, ale zdają się — jak im z min widać — już czasem wiedzieć za dużo.

Od tych kompozycyi sala ta nazywa się (salle des saisons) salą pór roku. W niej są biusty cesarzów rzymskich, oraz ich posągi tak samo jak i we czterech następnych. Sala piąta z rzędu jest mała i kolumnadą złączona z dalszemi. — Ale chociaż mała również jest bogata niezwykle w rzeźbę i ornamentacyę — — wszystko co sobie można wyobrazić tutaj jest. Festony złote z owoców i kwiatów, kartelusze podtrzymywane przez anioły, rozety z których rozwijają się sploty renesansowych [?] i zwoje, tropaiony ze zbroic, hełmów, łuków, kołczanów, przeróżnych dzid i toporów, jakieś figury rzeźbione kobiece w sutych szatach malowane na kolor brązu, miedziany (płaskorzeźby), — jakieś postacie olbrzymie starców, wyobrażających rzeki, trzymają oni w rękach okręty, to konwie z wodą, to stery od łodzi, to wiosła. Siedzą na lwach lub owocach. Nad nimi złote winne grona i t. d.

16 Września 1891. Louvre.

Sala ta piąta z rzędu nazywa się salą pokoju (salle de la paix) i odnośnie do tego zastosowane są kompozycye. Mianowicie pole owalne na sklepieniu wyobraża Marsa, Hermesa i Minerwę w obłokach z akcesoryami w ręku, nad nimi trzech aniołków utrzymujących koronę niezwykle dużą... We figurze Marsa ładne zestawienie kolorów (lilla, różowy, ziel. i żółty) wyblakłych, sukienka Minerwy pięknie drapowana w podpięciach, a barwa jej niebieska we światłach mleczna najwięcej ubiera całość, żółty daleko rozwiany płaszcz Merkurego ciemny, doskonale dostraja się do tej masy złota, jaka cały obraz otacza... dzieciaki liche i mają banalnie niezwykle nóżki poustawiane. —

W innych dwu polach wyobrażony jest geniusz pokoju (kobieta) gaszący pochodnię, otoczony zbrojami, hełmami, i t. d. — szerokością traktowania przypomina Rafaela (alegorye ze stanz) a barwa różowa w dużym płacie zestawiona z białą koszulką wygląda bardzo pięknie i rzeczywiście robi wrażenie spokojne. — Ogólny ton całości srebrzysto-żółtawy. — — —

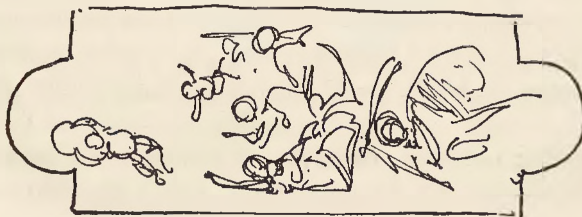
Po drugiej stronie postać obfitości rozdziela ze swego kosza owoce i zboże. W głębi morze dalekie, na którego falach zjawia się Neptun.

postać kobieca ma draperyę błękitno lillową ze światłami białemi i płaszcz żółty ciemny, i dekoruje doskonale całe to pole. — Neptun w różowym płaszczyku na tle bladziuchnego morza, które wcale nie jest straszne...

Jakżeż by tę scenę inaczej pojął Böcklin, już sobie wyobrażam silną, niebieską, zieloną, ciemną, wyrazistą plamę morza, gdzieby czuć było głębie — już sobie wyobrażam tego starca o przenikliwych oczach świdrujących z pomoczonemi włosami, jak z całego jego ciała woda w strumieniach spływa; jak konie jego wozu byłyby rzeczywiście morskiemi tworami fantastycznemi, jakieby morze samo wymyślić potrafiło. — Albo jakżeby inaczej pojął Maignon tę samą scenę. Ileżby tu było świetności bogactw roślinnych z podmorskich głębin, tych muszli lśniących z tęczowemi barwami. i. t. d.



Sala następna zapowiada się bardzo świetnie bo kompozycye już większe, zajmują pola duże podłużne...



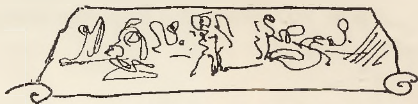
Sufit.

Na plafonie sufitu jakieś trzy allegoryczne postacie, z których jedna, poezya z lirą w ręku, swobodnie bardzo

oparta dosyć może się podobać, oraz druga, zdaje się filozofia z księgą w ręku wskazująca[?] na niebo, prostotą układu. Z tych wszystkich głów męzkich banalnych jakie tu na ścianach widzę, malowanych z pamięci wyróżnia się głowa „czasu“ bo widać że malowana z natury. Tło niebieskie jasne, na niem rozrzucone różowe i żółte barwy. —

Zato pod każdym względem piękne kolorystycznie wydaje mi się pole podłużne gdzie wyobrażone porwanie Sabinek. Zaledwie jest trzy kolory które się odznaczają (niebieski, czerwony i różowy) dużemi płatami, ale wyobraź sobie całą gamę półkolorów utrzymanych w tonie jednym żółtym, jak one łączą owe duże płaty ze sobą. Białego lub białawego tonu jest tutaj wiele co dodaje jasności i połysku obrazowi. —

Doprawdy że tak mi się to podoba, że muszę przyjść kiedy tutaj specyalnie zrobić z tej kompozycyi kolorów kopię akwarellową. — oto jej kształt ogólny. —



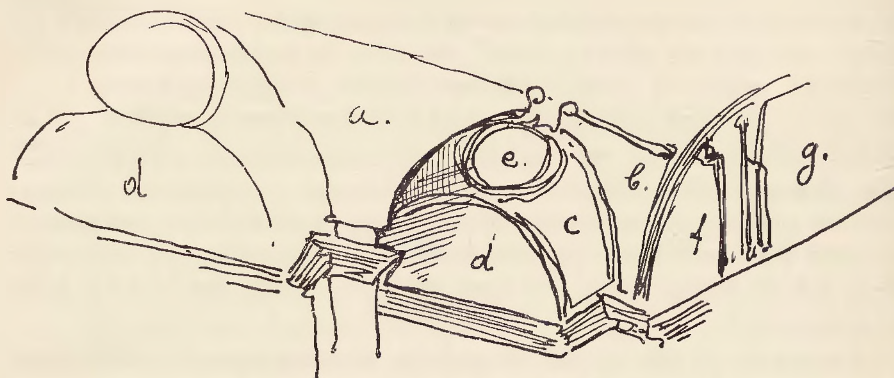
Drugie pole tak samo duże już mniej piękne i mniej jednostajne, uwydatnia zato efekt jednej tylko barwy niebieskiej (postać kobiety na tle dużego namiotu fioletowego). Dwa inne pola mniejsze Mucius Scaevola i Cincinnatus (kolor czerwony w pierwszem ceglany w drugiem żółty ciemny przeważają.—).

Co rzeczywiście można się nauczyć tutaj, to tej śmiałości w położeniu koloru, tej pewności przywiązanej do samejże barwy. — Niech ona dominuje, niech się rzuca w oczy. Na to jest barwa aby ciągnęła ku sobie. Dopiero wtenczas może jakiś kolor opanować, jak jest dużym płatem wybijającym się ponad inne. —

Sala następna nazywa się salle des antonins. Jej dekoracya jest znowu piękna a tem chętniej się na nią patrzy że nietylko kompozycye malarskie ale i rzeźba prezentuje się lepiej niż w sali poprzedniej. Sklepienia już samego forma bogatsza bo z lunetami.

W polach a, których jest cztery umieszczone rzeźbione postacie allegoryczne z koronami, wieńcami, trąbami, sztandarami, palmami, w złotych szatach jak zawsze (ciało ich białe). W polach b. małe aniołki trzymające oliwne gałązki, odpowiadają one (ponieważ są w narożach sali) figurom kobiecym siedzącym w polach f.. Trudno odgadnąć znaczenie właściwe tych figur; jest tam niby przemysł z kaduceusem i orłem, jest agricultura ze sierpem i kłosami, jest jakaś kobieta z rogiem obfitości, inna trzymająca plan architektoniczny. — Ale jest mi wszystko jedno jak się nazywają —

widzę że są dobrze rzeźbione, że są strojne, bogate, że same mogą wiele, więc i drugim rozdzielają. —



Pola c wypełnione są ornamentacyjnemi splotami renesansowemi, a reszta pól jest dopiero malowaniem. — Mianowicie pola d zamknięte półkolami (jest ich sześć) oraz pola e które są kółkami i jest ich sześć. —

W polach półkolistych większych są wyobrażone cnoty: a więc czystość, prawda, sława — dalej wiedza, prawo i pokój (czy sprawiedliwość), siła i miarkowanie. —

Najlepiej prezentują się pierwsze trzy. Czystość jako poważna niewiasta, która odgania amora od jakiegoś dziewczęcia roznamiętnionego. Na tle draperya zielona dosyć ciemna rozchyla się w połowie i widać niebo blade. —

Modelunek figur bardzo dobry i dosyć wyrazisty, widać nawet pewne usiłowania aby pogodzić się z oświetleniem jakie jest w sali, (mianowicie okna są niżej niż owe pola; coś podobnego jak w Mantui gdzie owe freski Mantegni.) — Z tego nawet powodu zdaje mi się wprowadził i owe zasłony zielone na tło, aby nie dopuszczały światła z zewnątrz.

Różowa suknia prawdy, pokazującej zwierciadło jakiejś kobiecie z wężem wydaje się doskonale na owem tle zielonem. —

Postać sławy w białej szacie długiej przewiązanej tuż pod piersiami (jak noszono za dyrektoryatu bo i uczesanie też podobne) z mieczami w ręku, z purpurą przerzuconą przez kolana, ręką wskazuje na tarczę srebrną z napisem „gloire“. Trzech amorków podaje jej strzały swoje i wyciąga do niej ręce. — Pomimo wszystkiego pole to ze sławą jest mniej dekoratywne niż inne i widać że przez kogo innego malowane, bo jakkolwiek kolor biały jest tutaj piękny i dosyć wi-

doczny, za dużo jest już szczegółów, za dużo drobnostek uwagę rozstrzela a są tylko niespokojne; w tem też polu nie na tle zielonej zasłony i zdaje się że to jest błąd główny tej kompozycyi. —

W polach kolistych (e) małych, które są traktowane jako otwory ku niebiosom wprost jest jakby rodzaj balustrady zawsze [sic] (perspektywa stosuje się do środka sali) z poza której widać latające aniołki z klepsydrami, wiankami, wagami, wazami i t. d. — czasem są otulone w miękki płat draperyi kolorowej, co na tle błękitu wygląda doskonale. —





Sklepienie samo jest prostokątem długim podzielonym na dwie części z polami ośmiobocznemi. Rozdzielają je fryzy roślin renesansowych z rozetami; w narożach delfiny złote na tłach białych. —

Pole pierwsze: wiara, nadzieja, miłość i sprawiedliwość (kolory: morelowy cieniowany czerwono z lillową sukienką; niebieskie ze światłami białemi również z koszulką lillową o światłach żółtych; zielony dosyć płowy z różowo wiśniowym bladym; oraz biały na tle żółtych promieni.) — Wszystko to razem wygląda bardzo dobrze i dekoruje doskonale. Zato pole drugie, które jako kompozycya może mieć większą wartość zupełnie nie odpowiada warunkom dekoracyjności, bo ani jednego koloru tam nie ma. Są masy ciała, są głowy charakterystyczne, ale barw niema, a nawet rysunkowo rozkładem światła i cienia niczego

nie zapowiadają, chociaż temat zdaje się być piękny, bo wyobraża duchy niezgody strącone z niebios, gdzie panuje pokój. —

Wreszcie po dwu stronach sali w polach g. śmierć Holofernesa i Estera mdlejąca przed królem, — w obydwu polach dominują kolory niebieskie na tłach fioletowych. — —

Sala ostatnia w tej części Louvru na dole, podłużna i wielka z lunetami i niszami nazywa się salą Augusta. — Dekoracya rzeźbiarska nie wprowadza dużo figur tym razem, ale brązowe medaliony (z historyi rzymskiej sceny) otoczone troefami i panopliami.

Na plafonie, który jest malowany 1868 roku jest dosyć kolorów rozrzuconych, ale zanadto mdłych, przyczem kompozya cała nie wiele sensu obejmująca, robi takie wrażenie że szkoda plafonu, że szkoda miejsca. — Tutaj na środku sali stoi posąg mówcy, ten z ręką podniesioną ku głowie i draperyą na lewej. — Dokoła posągi i popiersia Cezarów. —

Ponad temi salami na dole jest odpowiedni im szereg sal na piętrze, gdzie również są plafonowe malowania. Najwybitniejsza z tych sal to właśnie galerya Apolina z obrazem Delacroixa, oraz innemi Lebruna. Reszta sal które dzisiaj przechodziłem, już wszystkie się nie potrafią podobać. Już nie ma w nich tej świeżości piękna jaka była w owych dekoracyach Romanellego na dole. Są to malowania po większej części datujące z roku 1826 lub 1827, odnoszące się do odkryć naukowych, lub do historyi sztuki, ale komponowane w sposób dosyć banalny, a czasem jeśli pomysł był dobry to wykonanie ciężkie i takie jakieś wleczone za włosy. — Galerya Apollina od góry do dołu jest dekorowana ale po dokładnem rozpatrzeniu się w niej przechodzi się do ocenienia że właściwie tylko wierzchnia jej część jest piękna, dolna zaś szablonowa i bez artystycznej wartości. — Wyróżniają się z części dolnej tylko gobeliny na których wyobrażone portrety artystów francuzkich. — Reszta jest ornamentacyą malowaną lub rzeźbioną bez wielkiego sensu, tak że nawet na nią nie można patrzeć. —

Zato część górna (sklepienie beczkowe) gdzie dokoła obrazów lub medalionów brązowych, masy figur rzeźbionych, wyobrażająch smoki zodyaku, nimfy, bożki i boginie różnego rodzaju, saisony i pory roku, miesiące i zajęcia ludzi odmienne w różnych porach roku; Zato część górna jest bardzo piękna i wspaniała. — Sklepienie jest podzielone na pola różnych kształtów i form a ramy które je otaczają lśnią się od złota i strojności. — —

Kompozycya Delacroixa zdaleka już wybija się właściwą mu barwą niebieską i czerwoną, dosyć silną. — Wogóle jednak malowania wydają

się brązowo ciemne, nieraz nawet czarne a jako takie dodają tylko ponurości sali i wcale jej nie rozjaśniają. —

Przypominasz sobie malowania Primaticia lub Giulia Romana w palazzo del. Thè. I tamte są ciemne w niektórych salach na plafonach, ale zato ratuje je rysunek lub modelunek wspaniały. Te z galeryi Apollona nie mają i modelunku, są więc tylko w ogólnem wrażeniu ciemnemi, nieraz czarnemi płatami. —

Zresztą rzecz znana że jeśli chodzi o przypatrzenie się i studyowanie jak wyglądają wspaniałe dekoracye, to trzeba jechać do Włoch. — Do Włoch, do Włoch, bez zaprzeczenia.

Dobrze jest wiedzieć i widzieć dzisiejsze malarstwo francuzkie na to aby się przekonać że każdy kierunek i każdy sposób patrzenia na naturę może mieć swoje uzasadnienie i jest w stanie złożyć na to dowody. —

Jest dobrze widzieć i poznać dzisiejsze malarstwo francuzkie aby się dowiedzieć że to co się nieraz myśli jest słuszne, że inni tak robią; potrzeba tylko mieć śmiałość być niezależnym. — Ale jeśli chodzi o wewnętrzne zadowolenie rozkoszowania się pięknem kolorów, pięknem linii nie już przetrawionem i przerobionem, ale świeżem i oryginalnem to trzeba jechać do Włoch. —

Mój Boże! Kiedyż ja do Florencyi lub Pizy pojadę, kiedy ja będę raz w tym Rzymie. — Jeśli idę do Louvru, to zawsze siedzę tylko we włoskiej sali. Jak się zobaczy barwy Luiniego lub Perugina to aż oczy się śmieją. Chciałoby się ręce wyciągać do tych główek Botticellego. —

Tymczasem złości mię biorą bo trzeba dosyć cicho siedzieć; no ale może się to odmieni. —

Stanisław Wyspiański.

Pisał do mnie dzisiaj Rydel, za co mu jestem bardzo wdzięczny. Wielką mi sprawił radość swoim listem. — odpiszę mu może jeszcze w tym tygodniu. Jak wnoszę z listu jest obecnie na wsi i o Krakowie jeszcze nie myśli. — Przy sposobności zapytuję ci się jak Kraków na ciebie oddziaływa. — Musi ci być tęskno za teatrem w Wiedniu. —

Paris 25 Września 1891 rp.

Kochany Karolu! Zaczynam pisać, chociaż wiem że prócz paru słów więcej dzisiaj nie zdziałam, ale robię to dla dowiedzenia ci datą że mi wciąż na myśli stoi iż należy się do ciebie odezwać. — Malu-

jesz już drugą głowę. Bardzo to pięknie. — Zachwycony jestem że masz cierpliwość kończyć. — Ja wcale nie miałem na myśli pisać ci retorycznych zwrotów i pytań, któreby miały zostać bez odpowiedzi i bez odźwięku. — Koniecznie trzeba abyś się w Krakowie zaprezentował jaką kompozycyą dużą i należycie wykonaną, któraby ci zajęła ze dwa lub trzy tygodnie czasu ścisłej pracy i nieprzerywanej. — — Zresztą rób co chcesz, ale ja od swego nie odstępuję, i zawsze będę dowodził, że pod tym względem mam racyę. — — Dziękuję ci za wymiary podane plafonów. W Reformie czytałem tutaj wzmiankę o projektowanym konkursie na kurtynę. — bardzoby było pięknie gdyby ta rzecz do skutku przyszła, jako konkurs krakowski, — w którymby wielu artystów udział wziąść mogło. Mógłbyś i ty co skomponować, ale mi nie opisuj swojej kompozycyi, ani się o nasze nie dopytuj, — bo chcąc sam komponować nie powinieneś znać innych. —

27 Września Paris.

Kochany Karolu. Musi to nie być nic szczególnego ta głowa olejna, którą wymalowałeś, jeśli się podoba Dyr. Łuszczkiewiczowi. — Bardzo bym rad widzieć jej wady w kolorycie, bo one według mnie są z pewnością całą jej zaletą. — Chcąc być malarzem z tą samowiedzą, że się chce nim być, to trzeba patrzeć na całą sztukę przeszłości, na ogół, i trzeba sobie znaleźć miejsce oryginalne. — Trzeba się widzieć innym niż poprzedni, innym niż otaczający. — Powiesz mi że tego nie można każdemu powtórzyć co ja mówię. — a ja ci dodam, że ja to każdemu powtórzyć potrafię i choć mi zaprzeczy, to ja będę miał słuszność. — Ach, bo też dalibóg że niech ludziom nie zależy na tem, aby mieli „dobre" i „poprawne" obrazy, przed któremi jabym ani na chwilę nie przystanął aby je uwielbiać; niech też malarzom nie chodzi o to aby malowali „dobrze", „poprawnie", — a nie wiedzieli, co, gdzie, dla kogo. — Nie pytać się nikogo koło siebie, bo znajdziesz sam fałsz i niedowierzanie, obłudę i tym podobne. — Jeśli chodzi o sztukę, nie zaczepiać o zdanie ludzi, którzy się tej sztuki nie dotknęli. — Oni ją mogą kochać, ale co innego jest miłość, a co innego uszanowanie jakie oni sztuce winni oddać. —

Dlatego to podzielam zdanie twoje, żeś powinien wyjechać z Krakowa i w ogóle pod wpływami krakowskiemi nie zostawać. —

Wprawdzie bardzo pożytecznie i według zdrowego rozsądku byłoby słuchać rad ludzi starszych i doświadczonych, ale według mnie, to cały urok młodości jest właśnie iść za swojem przekonaniem. —

Niech się tam dziwią, kto chce, niech się krzywią, komu się podoba. — Jak masz na oczach wciąż to bóstwo przed sobą, to precz odsuwaj, kto ci zawadza. — Rozumiem że przykrzy ci się samemu teraz, ale póki jeszcze jesteś w Krakowie rysuj i maluj dużo pejzażu, widoków z miasta — scen ulicznych — na plantach — na rynku. Bo to jest życie i tam sztuka powinna się uczyć. — A potrzeba ci się uczyć ideałów sztuki, to pojedziesz do Włoch lub do Grecyi i tam się będziesz uczyć a nie z ust ludzi, co to jak mówi Sienkiewicz „gębę sobie wystrzępili na mówieniu o sztuce". —

Ale, przyszła mi do głowy myśl bardzo ładna, czyby to nie było ładnie, abyśmy się w krótkim czasie wybrali do Włoch. (Florencya, Rzym). — Byłoby to nieźle, ja szukam i oglądam się za funduszami — ale tajemnica bardzo ścisła i absolutnie nie mów o niej nikomu, nawet Stryjeńskiemu. — Jeśli się nie uda, to ci i tak doniosę na czas. — Tymczasem mów mi co słychać z twoim wyjazdem do Monachium — kiedy i za jakie fundusze. — —

Na razie nie mam ci nic więcej do powiedzenia, jak to że życzę ci abyś się zajął komponowaniem kurtyny dla teatru krakowskiego, — bo my też się tą sprawą interesujemy. — Bardzo by pięknie było, gdybyśmy stanęli do konkursu razem. — Nie narzekaj że nie masz czasu, bo kto chce czas mieć, pewnie go znajdzie. —

Przepraszam cię że stronnicę w pół przerywam, ale nie mam czasu, bo się muszę wrócić do moich zajęć, tembardziej że jutro (niedziela) idziemy do Jean Paul Laurence, by mu pokazać nasze szkice akwarellowe, i zarazem przypomnieć mu że nas obiecał przyjąć do swego atelier (to znaczy w poczet kilkudziesięciu swoich uczniów).

Zatem do widzenia.

Stanisław Wyspiański.

[30. IX. 91.]

Jeśli tego nie wyczytałem wyraźnie w twoich listach poprzednich, to sam sobie to wszystko dopowiadałem a wyczekiwałem tak sformułowanego rozumowania za każdą nową wiadomością od ciebie. Są tu do odpowiedzi różne kwestye. Najpierw ogólna, nas trzech razem dotycząca i o tej najwięcej możemy mówić bo sami siebie do pewnego stopnia najlepiej znamy i wiemy jakieśmy sobie postawili zadania. — Dalej druga kwestya jeszcze więcej ogólna, bo dotycząca innych którzy dawniej zrobili tak samo, lub później kiedy tak sobie postąpią. — Wreszcie jeszcze jedna kwestya zważająca rzecz całą ze

stanowiska bardzo rozległego i oddalonego niezmiernie od tych pojęć, jakich musiałeś wysłuchać, a to jest kwestya pojęcia sztuki. — O tej chciałbym mówić. —

Albo się jest artystą bezwiednie i idzie się wciąż tą bezwiedną drogą, albo się to robi ze samowiedzą i postępuje się wciąż z tą samowiedzą, kontrolując swój każdy krok i ruch, każdą myśl. — W tym ostatnim razie wykształcenie i inteligencya (zawsze względna i zależna od stosunków) potrzebuje ciągłego rozwoju i ciągłych wrażeń, dla kontroli swoich myśli i pojęć, potrzebuje ogarnąć całą przeszłość cywilizacyi, aby nareszcie znaleźć dla siebie miejsce. Bo skoro się ma tę samowiedzę kontrolującą wciąż, rodzą się obawy i wytwarza się niepokój, który znajduje równowagę jedynie w otoczeniu się cywilizacyą pełną i rozwiniętą, — żyjąc wśród ludu silnego i pewnego siebie, posiadającego byt niezależny — jednem słowem żyjąc wśród narodu wolnego. — Któż z nas nie czuje niewoli, jaka panuje wciąż w naszym kraju — alboż to nie jest ciężar straszny, przygniatający, okropny. Na to potrzeba silnych, męzkich ramion aby ten ciężar odpierać, aby nie zwalił się i nie przygniótł reszty życia narodowego. — Ale na to nie poradzą siły za młode, dopiero co zbudzone. Precz bym wygnał z kraju wszystkich tych młodych spokojnych wesołych — siedzących nad książkami, precz bym wygnał do obcych: idźcie patrzeć na wolny naród, jak on żyje, jak on czuje, jak on się rozwija, jak umie czcić swoich wodzów, swoich poetów, jak ich rozumie. — Gdzie u nas kto rozumie naszych poetów! — a wszakże oni większą część życia przesiedzieli zagranicą — bo w wolnym kraju, — bo jeśliby wrócili do swojej ziemi, to by jej nie znieśli w pętach i w niewoli. — Wolałbym patrzeć jak giną ci wszyscy młodzi, bobym wiedział że giną dla tej samej świętej sprawy, co młodzież z przed lat trzydziestu. —

Ale bo ja zacząłem mówić o czem innem niż myślałem początkowo. — Dlatego wolę przerwać i nie pisać już nic dalej w tej kwestyi, ani w sprawie dotyczącej uwag, jakie ci wygłaszano. — Pomijam też i to, co dotycze mojego stypendyum, bo uważam to za rzecz tak błahą, że mnie ona nigdy dotknąć ani zmienić nie potrafi, nawet do niczego nakłonić. — Skoro nic nie dostanę (to może będzie nawet i słusznie) będę nic nie miał, czyli że będę musiał sobie sam radzić. — Ach jakże się cieszę na tę myśl, że sam bym mógł zostać. Bez nikogo. — Jakby to trzeba pracować aby mieć żyć z czego. — Ach jakżeż wiem żeby to dla mnie było dobrze, bobym

przynajmniej szedł po własnej drodze, nie licząc się z nikim ani ze żadnemi pojęciami. —

Co się tycze ciebie, radzę ci na razie zgodzić się na to, co Matejko żąda, ale za cenę tej zgody zażądać stypendyum, bo z czegoż byś żył. — przecież oni nie powinni udawać dzieci, i obowiązkiem ich jest wiedzieć, że ty z głodu umierać nie masz prawa. — Z uniwersytetem nie zaczepiaj się na nowo. Powiedz co komu należy i raz się pożegnaj, boby temu nigdy końca nie było — — — licz zawsze na to że nie jesteś jeden, ale że nas jest trzech razem, i że jeśli ma jeden, to znaczy że mają wszyscy. Gdy więc my cokolwiek mieć będziemy, bądź pewien, że możesz zażądać trzeciej części. — Ja jestem tak siebie pewien, że nie mogę znieść aby drudzy mogli sobie pozwolić tak szkodzić. — Ja tutaj dosyć utrzymuję Mehoffera w tem mniemaniu że nas jest trzech, i dlatego każdą kompozycyę obliczoną na jaki gmach zawsze rozdzielam na trzech. — To samo z teatrem. My dwaj będziemy projektować kurtynę (choćby nawet nie było konkursu) to i ty zrób to także, aby na wystawę można było posłać trzy projekta. — Chciałbym wszystkich zadziwić, jak my się razem trzymamy. Ale wierz mi że w tem jednem może być tylko nasza siła, jeśli będziemy stać razem. — My się wcale obecnie źle nie mamy. — Kto ci to mówił, mówił ci niepotrzebnie. W każdym razie ciekaw jestem, jak to dalej będzie i jak się to wszystko rozwinie. — Laurenca nie zastaliśmy w tę niedzielę, ale pójdziemy znów na przyszłą (4ego Paźdź.) może być, że już przyjedzie pod ten czas ze wsi, gdzie dotąd bawi. — Najlepszą radą na wszelkie kłopoty byłoby mieć stałe fundusze, t. j. być zamożnym i zajmować się sztuką. — Wtenczas nie potrzebowałbym ani Laurenców ani nikogo innego, — słuchałbym tylko siebie, a do dzisiaj więcejbym już umiał niż w dzisiejszych warunkach. — Ale to trudno. I na to nigdy nie narzekam ani nikomu nie zazdroszczę. Wierzę w siebie i w moje plany. — Niech sobie drudzy łamią głowę, niech się dziwią. — — — Byłem dzisiaj znowu w Louvrze w sali antyków. Co za prześliczne i przewspaniałe rzeźby. I jak śmie kto utrzymywać że tego nie należy widzieć. — A toże jabym tutaj spędził tych wszystkich malarzy, co babrzą wiecznie po akademiach. Bo też i to, — dopokądże będą jeszcze istniały te kramy sztuki, te obrzydliwe kramy sztuki, te akademie, — gdzie się maluje nagiego modela, a nie widzi się nagiej natury. — Natura to nie model, to nigdy model nie był. — jakże się mylą wszyscy ci co modela studyują ciągle. Człowieka należy studyować, ale nie modela. — Śmiech bierze. — Aby coś podobnego można pomyśleć, trzeba się

znajdować w takiej sali rzeźb klasycznych, w Louvrze. — Szczęśliwi Grecy nie mieli akademii, ale mieli artystów. — Dalibóg że warto marzyć o takich czasach, o takiej ziemi. —

Świat jak szeroki niech nam będzie naturą, — natura jak szeroka i rozległa niech nam będzie pięknem, — piękno jak wielkie i wspaniałe niech nam będzie bogiem. W boga takiego wierzę, bo bóg taki każe wierzyć w siebie. Grecya jest dla mnie ideałem teraz, nic mię tak nie ciągnie jak Grecya, nic tak mię nie oczarowywuje jak rzeźba grecka obecnie. — Pociąga mię też ku sobie i rzeźba rzymska za ostatnich cezarów, ale już w mniejszym stopniu i więcej jako temata do obrazów. — Ale Grecya, Grecya — prawdziwie że staje się panią snów moich. — Te rzeźby z Tasos, muzy i Apollo, gracye. Co za wdzięk, co za urok. A już uroczy ton różowawy, żółtawy tego marmuru. — widać wieki minione, a piękno wiecznie żywe.

Stanisław Wyspiański.

1 Października.

Rozerwałem jeszcze raz kopertę i piszę w dalszym ciągu. Mianowicie z okazyi że Mehoffer pisze do ciebie, do czego go wreszcie nakłoniłem. — Miałbym ci wielką ochotę pisać o naszych kompozycyach i już, już o mało do tego się nie zabiorę, ale mię powstrzymuje to, żeś ty jeszcze żadnej nie wykończył. Skoro więc będziesz miał jaką ukończoną donieś mi natychmiast i opisz ją szczegółowo.— Kiedy przychodzi pierwsza myśl jakiejś kompozycyi, także należy zaraz siąść do pisania i zacząć ją opowiadać. Wtenczas jej zarysy występują wyraźniej przed nami, te lub owe postacie zaczynają naprawdę panować w naszej imaginacyi, widzi się je długi czas, na każdym kroku, wszędzie gdzie się jest, uczuwa się jej wpływ magiczny, zjawia się ona skończona, zupełna, jakby już wymalowana, choć jeszcze tylko w krainie myśli się błąka. — Niema dziwniejszego uczucia jak się dwie myśli zetkną skoro przychodzi nowa kompozycya ze swojemi nowemi bogami i kształtami. — Jak powoli zaciera się forma dawnej, jak staje się sylwetą tylko, z poza której wyłania się postać nowa, aby całą wyobraźnię powołać do swego zrealizowania. — Niedawno doświadczyłem takiego wrażenia bardzo silnego; żałuję że jeszcze nie mogę podać i określić ci jego treści. —

Za to pocieszę cię wiadomością, która może nie jest do dziś dnia dla ciebie nowiną, oto że pan Hendel już zawitał do Krakowa. Będziesz więc mógł korzystać z jego chwil wolnych, aby rozpamiętywać

skarby Paryża. Jest on w bardzo smutnem usposobieniu, gdyż dosyć szybko musiał wracać ze zamierzonej swej podróży — ale on łacno to zapomni, zwłaszcza jak zobaczy, co się dzieje — w Krakowie, cały ten ruch około teatru, ukończony kościół Maryacki, — roboty około kaplicy na Wawelu, zakład Lubomirskich na drodze ku cmentarzowi, — okno maryackie w robocie u Zajdzikowskiego, nie licząc w to zwykłego ruchu budowlanego. — Pokaż mu swoje studya włoskie, on z wielką będzie o nich słuchał ochotą. W ogóle jest to człowiek bardzo szczery i z nim należy postępować szczerze, i tylko tą drogą można go sobie pozyskać. Nie wątpię że skoro się na tej drodze porozumiecie, będziecie mogli przyjemne chwile spędzać — on jest znacznie od ciebie starszy — nie dziw się więc nieraz, że będzie szukał znajomości ludzi sobie wiekiem równych; ale jeśli chodzi o zapał, to nie znajdzie go już w nich, dlatego ty powinieneś mu imponować zapałem, ochotą do przyszłości, do pracy, do rozwoju samodzielnego, do tego parcia naprzód „z wiarą która się ziści" jak zapowiada Asnyk. Otóż trzeba wierzyć, że ta wiara się ziścić musi. —

Powiedz mu że pokoik nasz cokolwiek się zmienił, że fotografie wspaniałych katedr francuzkich znikły ze ściany nad kominkiem, że obecnie panuje tam sroga i śmiała olbrzymia głowa Mojżesza Michała Anioła, że na drzwiach miejsce okna kolorowego (szkicu) zajęła mapa Francyi darowana nam przez niego i że się w niej rozpatrujemy, — że zresztą ściany są puste i że trochę ponuro w naszem mieszkaniu, — że stanowczo brakuje nam kogoś trzeciego i że tego trzeciego uzupełniamy sobie listami naszych kolegów, — że obecnie moje mieszkanie jeszcze wcale nie odpowiada ideałowi wymarzonemu w Krakowie razem z tobą lub razem z Henrysiem. Mój ideał jest taki aby mieć duży pokój o trzech oknach rozdzielonych zasłonami, gdzieby każdy z nas miał osobne miejsce i gdzie w głębi stałoby pianino dla Henrysia; tak a nie inaczej. Ale czyż to się da, czy nam losy na to pozwolą. — bo tak jak jest teraz, jest dla mnie nudno, ja nie potrafię i nie mogę być jednostronnym, mnie prócz malarstwa interesuje wiele innych rzeczy które chciałbym widzieć uosobione koło siebie.

Czuję brak Rydla na każdym kroku i tego wszystkiego co on reprezentuje, a z takiemi brakami do potocznej rozmowy wytrzymać nieraz nie można. A to wszystko dlatego, że mam nadzieję że nasz ideał się spełni, że jeszcze kiedyś tak będzie, jak ja sobie wymarzyłem. —

Rydlowi bym odpisał, ale nie wiem jego dokładnego adresu, jeśli, możesz to mi go doniueś. — Zapytuję się ciebie, czy chodzisz jak dawniej rysować po mieście, zaznaczyć tak budowę teatru, jak ci ludzie

pracują, koło niego, notować ich ruchy,—taka scena może posłużyć za fresk w nowym gmachu magistrackim, czy notujesz sceny z targu na rynku Krakow. Kleparskim, bo to także sceny nadające się do sali magistrackiej. Może się to zdawać dziwne na pierwszy rzut oka, ale naturalnie trzeba umieć pochwycić rysy rzeczywiście monumentalne.

Możeby niejednemu prędzej przyszło na myśl malować tam (w sali magistratu) jakie „wjazdy lub wyjazdy“ Łokietka i nie Łokietka. — Mojem zdaniem byłby już czas, zamiast malować wybornego komtura krzyżackiego z modela expressa; malować tego samego expressa, jako człowieka zarobkującego. — Alboż to praca jest niczem wobec historyi. Dajmy spokój temu co zapomniano zrobić w XVI lub XV wieku, a patrzmy dokoła siebie. Za to będą pamiętać o nas później. — Podziękuj Ryśkowi Opieńskiemu za jego list, który mi napisał, bardzo lubię jak kto odpisuje temu, kto mu pisze, a nie adresuje do naszej firmy, tak jakby chciał upiec dwie pieczenie na jednym rożnie.

Stanisław Wyspiański.

8 Października 1891 rp.

Kochany Karolu! Cóż z tobą słychać? jakże ci się powiodło? — próbowałem dziś po raz pierwszy szkicować jednę z moich kompozycyi olejno — — i jestem wielce zapalony do tego; — napiszę ci treść tej kompozycyi wkrótce. — Byłem wczoraj w Odeonie i zachwycony jestem sztuką, którą tam widziałem, z życia rybaków. („La mer“) dzieje się nad morzem. Treść rozdzierająco prawdziwa, grana naturalistycznie po mistrzowsku. — Wrażenie wielkie wywiera. — radbym abyś jaknajprędzej mógł widzieć coś podobnego. — Czy Henryś już wyjechał do Pragi, czy już widziałeś się z panem Hendlem. — Co słychać z twemi kompozycyami. — Czemu mi nie podałeś adresu Rydla, list gotowy dla niego czeka oddawna. —

Stanisław Wyspiański.

20 Października 1891.

Obrazy Poussina w Louvrze. —

I. Bacchanale. Pejzaż dosyć skromny, choć efektowny; te światła słońca zachodzącego chociaż niebo w barwach nieprawdziwe, — ale ładne. — Kobieta grająca na gitarze, twarzyczka miła, policzki różowe; draperya niebieska piękna, efekt prawie Belliniego. — albo ta obok główką portretowaną jakiejś damy z perłami we włosach kasztano-

wych. — Dzieci bardzo naturalne w kształtach i ruchach, trochę za stare i za mądre — — ten malec z maską pyszny, albo ten śpiący przypomina włoskie, choć w ruchu zanadto rozrzucony; bacchusy jedne nudne i dokomponowywane, ale ta kobieta niebieska namyślająca się nad piosenką, którą ma zagrać i przypominająca sobie jej lube strofki, i ta druga słuchająca jej nie po pierwszy raz, z temi dzieciakami i pejzażem robią wrażenie uspokajające i przykuwają — po cóż ta reszta, czy dla całości kompozycyi? — efekt stracony, choć był zaznaczony tak mile. — Ale tableau jest. —

2. Apollo zakochany w Dafne. — jakby Perugina lub kogoś blizkiego jemu ogólny ton całości, — znów ten pejzaż działający efektownie i taki piękny mógłby być w opisie — jak on ładnie składany. — Stada wołów nad rzeką grubą masą się tłoczą. — jakaś nimfa kołysze się na konarach szeroko rozpiętego drzewa, — druga (i ta prawdziwie ładna) w bladej seledynowej draperyi z wieńcem na głowie, suknie trochę rozwiane. — Znów niepotrzebna reszta figur i wrażenie uciekło. — obraz ten jest niedokończony.

3. Zaraza u Filistynów — ton ogółu nie posiadający żadnej grozy, nie odpowiada rzeczy. — Przypominają się opery z melodyjną muzyką a treścią zbrodniczą. — Figury przypominają wprost włoskich malarzy — kilka figur dzieci pociąga rysunkiem i modelowaniem silnem. — — Nudne te ciała anatomiczne nagie. — Tło z architekturą — widać jakieś wspomnienia z Rzymu, kolumny rozwalone, bazy ich porzucone z uwydatnieniem konstrukcyi, pięknie wykonane składają się na istotne wrażenie, jakie malarz odbierał. — Reszta jest kłamstwem, bo nawet wyobraźnia jego nie szła tą drogą, — ale tylko linie. (Wyobraźnia kierowała Delaunay przy peste de Rome z Luxemburgu). — Znów ten kolor niebieski żółtawy na draperyi silnie czarno cieniowanej. — Idźmy bliżej, — są wyraźne kopie główek z Tycyana — poznaje się deklamatorów z Racine'a, główki dziecek rzeczywiście najlepsze; chłopiec za duży w proporcyi i stosunku do innych ale ładny, z białą koszulką. —

4. Orfeusz i Euridice. — Pejzaż i jezioro, raczej dodane z dwu stron niepotrzebnie dwa ciemne kulisy. — Na tle jakaś rekonstrukcya fałszywa zamku św. Anioła — tu i ówdzie pozmieniane. — Lokowanie łodzi w głębi. — Ale są i nimfy na pierwszym planie, całość więcej wymyślona niż inne, bez wdzięku. Orfeusz to Apollo Rafaela tylko de côté. — jest i jakby Virgili przypominający typem Lorenza di Credi, draperya biała szeroka i niezła. — Reszta nic, chyba nimfa siedząca nad rzeką i obrócona nagle ku nam: lekka i oryginalna prawdziwa francuzka.

5. Ślepi z Jerycho. — Tło, pejzaż bez uwagi — Chrystus Andrea del Sarto — jest trochę i szkoły ateńskiej, trochę z tapisseryi Rafaela (ten ślepy z rękoma wyciągniętemi), trochę Tycyana, kobieta z dzieckiem (jeuneusse de Marie z Wenecyi). Mniej warte od innych. —

6. Młody Pyrrhus ocalony. — Za tło efektowna dekoracya trochę wytarta używaniem, zgrupowanie włoskie, chociaż dosyć rozciągnięte, — są figury przypominające pożar Burgu (tłumok jakiś). przypomina Rafaela la vierge au diadême ze salon carré. —

W głębi układ żołnierzy idących do ataku regularny i najlepszy w całości, najwięcej w duchu malarza. — modele to znać już nieco u mężczyzn, ale jeszcze więcej antyku, — są studya gladyatora borgezyjskiego (ten w niebieskiej draperyi).

7. Porwanie Sabinek. Jasne. Giulio Romano odrazu stoi przed oczyma. — Romulus jak aktor deklamuje z togą w ręku. — są typy Rafaela i inne okropnie nudne. — całość może i dobra ale nie mogę na nią patrzeć, ze względu na te reminiscencye.

8. Raj ziemski. — Nareszcie sam pejzaż i efekt prawie żeby był, — tylko dwie figury i nagie. (Poco ten anioł na chmurach.) — jakieś małe jeziorko przegląda z za krzewów, w głębi góry sine i ze śniegiem po jednej, zachód słońca po drugiej stronie, — ale to ładne. — Za duża kulisa z lewej strony, chociaż to niby skała obrosła krzewami. — Adam w peruce XVII. — Ewa wskazuje na niebo niewiedzieć po co — figury liche, a szkoda, bo już był na dobrej drodze. — Tło przypomina traktowanie Mantegni i widać rozmiłowanie włoskie. — Ale ten duży płat seledynu zielonego, trochę obłoków — to piękne, — piękne prawdziwie. — Niech sobie to będzie kompozycyą, czy nie — to jest piękne. —

9. Lato — czy Ruth i Booz — raczej lato ale nie ze swem gorącem ale ze swemi emblematami. — Tło ładne i czyste. — Czego tu niema: jest drzewo na pierwszym planie duże, ale Mantegna z wyraźnemi listkami, z rzuconym kolorem czerwonym lakowym i żółtym (płaszcz Booza) — jest skraj lasu ze świętemi pniami (dobrze) jest ściernisko na równo krajane — (jakże to inaczej maluje Breton w Luxemburgu), jest łan zboża brudno żółty, — są łąki, wikliny, wzgórki z pałacami, góry (Alpy lub Apeniny, ale w każdym razie widok włoski,) i niebo ładnie udane, — za to figury są niczem w tym razie. —

10. Jesień. (posłowie wracający z ziemi obiecanej). Figury nic, ale pejzaż ładnie skomponowany, skalisty, — w wielu częściach z natury, a całość z tem jeziorem szarem w środku, chociaż ponura i posępna dosyć, to pociągająca i chętnie by się tam chciało być wśród

tej okolicy. — Uczucie jakie ten pejzaż sprawia jest jasnem odbiciem duszy i upodobań Poussina, — to jest on sam, — wielka miłość do natury i artystyczne jej pojęcie — trochę pozy, ot w rodzaju hrabiego „udrapowany siadłbym na ruinach".

11. St. Jean baptisant le peuple. — Przód zajmuje kompozycya figuralna, — ale tło pejzaż daleki — zachód słońca mniej barwny niż u Cima Conegliano ale efektowny, (pomarańczowe niebo, niebiesko sine góry), prawie że byłby zupełnie harmonijny cały, gdyby nie te dodatki sentymentalne z rodzaju Rafaela, za to bardzo szczęśliwie pokręcone drzewa na pierwszym planie. (Kąpiący się żołnierze Michała Anioła — itd. — ale w głębi gromadka ludzi tajemnicza i znów w rodzaju Poussina.

12. Echo i Narcyz. — Dziecko prawie że Fragonard. Echo (postać kobieca) blade, jak widmo, robi wrażenie, — skały z waty, — drzewo brzozowe grube, z natury studyowane, (trzebaby przejść także i rysunki Poussina). Narcyz nie starannie i nie dobitnie rysowany z natury, — draperye liche, ale pomimo tego więcej odczucia tajemniczej sceny, niż w obrazach nowożytnych w salonie, gdzie silą się nieraz na wprowadzenie tych samych scen. Powiedziałbym że światła w dzisiejszych zadużo, — te sceny tajemnicze wymagają półmroku, półcienia. — Dziwna rzecz że ten Poussin ze swojemi wadami tak wielce mnie interesuje. — Można się na jego obrazach przekonać jak dla całości kompozycyi poświęcono osobiste wrażenia i gubiono swe własne upodobania, dla jakichś idei, które po upływie wieku wydają się bezpodstawne. —

21 Października. Louvre. Poussin.

13. Eleazar i Rebeka. — Po tonacyi całości oliwkowej z kilku wydatnemi barwami o właściwym odcieniu można poznać Poussina. (Kolor niebieski ten sam, co później tak był ulubiony przez Lesueura). — Pejzaż więcej interesujący na niebie niż w dolnej części, — oprócz przekształconych lub powtórzonych Rafaelów (nawet co do sylwet twarzy ten sam szeroki rysunek, usta rozchylone, pożar burgu, składy kolorów na sukniach,) jest i typ Bonifacia, — ale prócz tego jedna figura w grupie z prawej strony, która jest Poussinem, i jest śliczna, Francuzka w typie, nie Włoszka, pewien uśmiech ironiczny w twarzy, ruch bardzo swobodny i naturalny i jeśli co przypominający a i to bezwiednie, to antyk, jedną z Muz Euterpe. — zielona barwa ciemna i głęboka sukni, z fioletowo różowym i zielonkawym w światłach ubiorkiem starożytnym; warkocze rozplecione nad czołem, jedną ręką

wsparta na wazie brązowej, drugą podparta w bok, — za nią obelisk, — śliczna, a jak wyborna dla epoki — ona jedna prawdziwa, — reszta niepotrzebna, prawda że musiałoby nie być Eleazara i Rebeki, obraz by się nie mógł „nazywać“ ale wrażenie by sprawiał i byłoby w nim piękno. —

14. Le triomphe de Flore. — Cóż się stało, — gdzież się podział koloryt oryginalny z poprzedniego obrazu, — oto tonacya złotawa, na wskroś złożenie włoskie. Bonifacio, dalibóg że trudno odszukać co oryginalnego, choć wiele rzeczy ładnie przerobionych, — czasem nawet ruch oryginalny ale tak uantyczony z włoska że się zagubił, (dziewczyna zbierająca kwiaty, i druga tańcząca — a szkoda), — są partye z tego powodu godne w układzie Hubnera ckliwego, (np. nimfa na kolanach bacchusa i złączenie z następną grupą).

15. Moïse sauvé des eaux, — pejzaż w rysunku, z tym mostem długim znowu włoski, figury tym razem więcej Poussinowskie, mianowicie ten charakterystyczny stosunek dorosłych do podrostków, — ta jakaś olbrzymiość figur głównych, ładnego tak dalece nic w tem niema.

16. Sąd Salomona. — Znowu Rafaela ciąg dalszy — wcale dobra figura matki, poowijanej w różne chusty i efektowna, — druga jak aktorka z twarzą ucharakteryzowaną według masek starożytnych; — ruchy zresztą manierowane lub Giulo Romano, — ale oto obok widzę znowu Poussina szczerego.

17. Les bergers d' Arcadie. — Figura kobieca i naprzeciw niej męska oparte o grobowiec (reszta nie potrzebna) — przychodzi na myśl Orestes i Elektra u grobu Agamemnona. — Na tle pejzażu posępnego a dalekiego figury bardzo są francuzkie, ona ma ten typ, który się odnajdzie u Prudhona i Dawida, choć trochę dobitniej sformułowany. — Obraz ten pozostaje w pamięci swym spokojem i szlachetnością. —

18. Jawnogrzesznica przed Chrystusem. — Są grupy ze szkoły ateńskiej (około Archimedesa owi młodzieńcy pochyleni), — lewa strona więcej w rodzaju artysty, — jest trochę grozy, — w głębi przechodząca postać kobiety z dzieckiem jako ciemna sylweta b. dobra.

19. Śmierć Saphiry. — Włoskie, na tle Wenecya, prócz Saphiry twarze banalne, — szafowanie z kolorami może za zbytkowne i widać wyraźnie że więcej z upodobania niż z odczucia. —

20. Ale otóż macie Poussina: — znać i wiek XVI jeszcze, ale wielce pojęcie całości oryginalne; dzieci grające w polu, pod wieczór porzucone instrumenta koło nich, ale oryginalność ta zatarła się przy wykonaniu. — Za górami efektownie słońce zachodzi a raczej już

zaszło, jeszcze tylko rozrzuca ostatnie blaski. — Krajobraz nabiera ponurości — muzyka i śpiew tych dzieci musi być uroczy, gdyby go słyszeć można — chociaż w rysunku i tu jest trochę Włochów. —

21. Diogenes (ze salon carré). Duży pejzaż, lasy, góry, potok, woda, obłoki, i. t. d. — figurki małe i dwie tylko nad strumyczkiem na pierwszym planie, — b. dobrze wymalowany i skomponowany, ale o naturze i rzeczywistem wrażeniu nie ma mowy. Figura chciwie pijącego chłopaka, który ręką czerpie wodę posłużyła za wzór jednemu rzeźbiarzowi z Luxemburgu. — Są partye piękne, ale niestety na dekoracye, od której po skończeniu aktu wróci się do natury i zobaczy co innego, — nawet w sztucznym parku „à la bergère" trzebaby szukać takich miejsc — a przecież natura, jakikolwiek zakątek jej, jest piękna i podoba mi się bez tego zmieniania, zagubiania rzeczywistości, na którem się odrazu poznać można. —

Nicolas Poussin 1594 — 1665. — Nie chciałem wierzyć; sądziłem go późniejszym, raz dla tak silnego naśladownictwa, drugi raz dla tak świeżych szczegółów, ruchów, wykonania, — jedynie też te okruchy, te okrawki są jego wartością, jedynie przez nie może żyć i być sobą. — Tam to choć naśladownictwo nie dorówna daremnie obrazom włoskim, — dość tylko przejść przez salę włoską Louvru i pobieżnie rzucić okiem na koloryt i stosunek figur do pejzażu. — Ale w studyowaniu Poussina o cóż mi chodziło, o to żeby zrozumieć gdzie on się właściwie podział, gdzie zaginął w tem nieszczęśliwem naśladownictwie Włochów XVI., a które pewnie współczesnym bardzo się podobało, i może było powodem że go tak ceniono. — Jest to rzecz nie do darowania, jakaż szkoda artysty, który wciąż wyrzekał się, wypierał własnych wrażeń, własnych upodobań, aby się zbliżyć do przelotnego ideału, który mógł być wtedy modą. — To jednak pewna że u Poussina treść obrazu (sujet) nie była rzeczą główną, on figury działające pakował na pierwszy plan i dawał im styl włoski zewnętrzny, podczas kiedy włoskie obrazy rzeczywiście podmiot, treść opanowują także. On miał łatwość w składaniu grup i układaniu, i pomagał sobie w tem Rafaelem, lub kimkolwiek innym ale sam miał upodobania zupełnie inne, widać to czasem w drugorzędnych postaciach, — pejzaż go wielce pociągał, umiał mu nawet nadać właściwy ton zielonkawy siny — ale nawet i tutaj ścigały go wrażenia z malarzy weneckich. — Długo jeszcze po nim artyści szli tą fałszywą drogą, zbywając to co widzieli dokoła siebie, admirując to co już przeszło i przeżuwając. — Mogło to być na razie pożyteczne, lub lubiane, ale

dzisiaj pomija się całe szeregi obrazów takich obojętnie, a jeśli się przed którym stanie, odbywa się sekcyę, która potrafi każden kawałek oddać temu od kogo był wzięty — i skoro rozda się wszystko — przychodzi się zapytać czem był malarz — co do koła niego żyło, w jakim świecie się obracał — co widział, jakie odbierał istotne wrażenia. — Czyż nie był czem innem, jak tylko kombinacyą złożoną z piękności cudzych, — a doprawdy że może być wyborną nauką jak zawsze sądzić będą ludzi, co wchodzą na cudze ścieżki — zresztą nie widziałem innych obrazów Poussina (nie religijnych bo te żadną miarą z pewnością u niego oryginalne nie będą) ani jego rysunków z natury czy szkiców. — Może między niemi odnalazłby się sentyment oryginalny i rzeczywisty, który potem ustrojony we wspaniałe szaty obrazu, skoro włożył koturny i wyszedł na scenę, zapomniał roli i powtarzał za suflerem, stracił żywość i duszę. —

To się mówi o Poussinie, ale to kwestya jest zawsze nowa, zawsze świeża. — Poussin może się wydać oryginalnym dla historyka sztuki, który mu jego miejsce wobec innych wyznaczy, ale ja patrzę na naturę, umiem czytać obrazy. Długa to jest droga od myśli do ręki.

Stanisław Wyspiański.

23 Października Paris 1891. Louvre. Claude Lorrain.

Sale antyku rzeczywiście jedne można studyować, ale na cudzych błędach można się uczyć, — już dzisiaj swoją drogą inaczej pojmuję Poussina, — jako całość już mi się wydaje lepszy niż kiedy go specyalnie przechodziłem. — Wracam do tejże samej sali zobaczyć Claude Lorrain.

1. Mały obrazek, ale już efekt widać; efekt wieczoru; chociaż silne kontrasta obu części nie pozwalają na wydatność zbytnią szczegółów, czuć że to koniec dnia pogodnego dosyć — widzi się naturę dobieraną co prawda, jednak jest to już natura i obrazek jako całość zatrzymuje przy sobie. — Pasterka popędza bydło ku znanej [?] ścieżce, — na pierwszym planie trochę za exotyczne rośliny, w głębi znów jakieś ruiny, — no ale przynajmniej ruiny, nie fantazya. — Szczegółów widać nie wiele; modelunek figurki silny, obserwowany z daleka, — obłoki w kilku częściach za wystrzyżone, za ciężkie ale cała górna część nieba prawie taka jak ją widziałem wczoraj nad Sequaną. —

2. Port przy zachodzie słońca. — Sądziłby ktoś że artysta rzeczywiście siedział w porcie nad brzegiem morza i malował, lub uchwycił te sceny jakie tam mógł widzieć, — otóż nie, — jest to fantazya, jakiś

port wymyślony, wymarzony, elegancki jak dekoracya, słońce świeci na prost, ani mowy o efekcie rzeczywistym, zato jeśli się przyjmie, że to bengalski ogień pomarańczowy, to dobrze, — pałace fantastyczne świeżutkie jak nowe dekoracye do opery; okręta z niezliczoną ilością lin, masztów, sznurów, — i nie to jest, co jest w obrazie rzeczywiście pięknego. Wierzę że artysta widział coś podobnego w naturze, ale te efekta pewnie były żywsze i jaskrawsze, bardziej wrzynające się w pamięć i niezapomniane w zestawieniu kolorów, a nie takie grzeczne jak na jego obrazie. — Zato jest na pierwszym planie jakby scena ze Szekspira, kiedy Pistola biorą Francuzi do niewoli, — jest dalej grupa jakby z flamandzkich obrazów przeniesiona, elegant grający na mandolinie przed dziewczyną; obydwoje siedzą na jakimś kufrze oczekując na przybycie okrętu; otóż dziewczyna bardzo ładniutka, w oliwkowej sukience, efektownie oświetlona, — reszta obrazu — choć starannie architektura rysowana, nie wiele warta, zwłaszcza figurki. Jakież cudowne rzeczy już w Wenecyi można widzieć z podobną treścią a jakie inne kształtem i kolorem.

3. La fête villageoise. — Znów co innego. — Na przodzie skraj lasu — w głębi przewija się wśród dalekich za mglistych trochę pagórków. Drzewa zwłaszcza na lewo bardzo dobrze sylwetowane, pod niemi kobietka na koniu, milutka. Efekt słońca silny, znów zachód — reszta figur i pejzażu nudna, za dużo z pamięci.

4. Znów ten sam most w głębi upodobany przez artystę, i tło chociaż jeszcze za nadto blado sine, ale już lepsze; na przodzie architektura rekonstruująca świątynię niby dorycką, bo z balustradą na frontonie, — nudne straszliwie, bez proporcyi, — palmy i t. d. mają imitować wschód, bo obraz przedstawia właściwie Dawida namaszczonego przez Samuela. — Ale co ładne to pierwszy plan, gdzie resztki kamieni rzeźbionych porzucone, jakieś architrawy i fryzy w ruinie, — ot wrażenia z Włoch lub Francyi południowej, wrażenia rzeczywiste i z natury chwytane, — a obok tego pod wysokiemi drzewami, ponuro i czarno sylwetującemi się, gromadka pasterzy usiadła w cieniu, — a! i ruchy piękne, dwie zwłaszcza bardzo z uczuciem, — jedna jakby nimfa piękna, choć b. naturalna, zamyślona podparła głowę. — Na drugim planie dopiero właściwa scena historyczna, — nudna straszliwie — ale mam szacunek z tego powodu dla artysty że miał odwagę wyrazić swoje niezadowolenie z tematu, który go odrywał od natury i jego usposobieniu nie odpowiadał. —

5. Vue d' un port de mer. — Znowu taki port z architekturą i figurkami drobnemi — nie wiele wart, ale jest grupa rybackiej rodziny

na brzegu, szkoda że tak zbyta i tylko opowiedziana raczej a nie należycie wymalowana.

6. Le gué (bród). — Szkoda że obraz umieszczony tak ciemno, bo choć plan drugi mało prawdziwy, to cały przód obrazu zdaje się być dobrze odczuty i efektowny, bydło przeprawia się przez wodę, słońce już zaszło, spieszą się do domu. — Na przodzie jakieś nimfy zanadto XVII wieczne aby miały się podobać, ale jako punkt jasny w obrazie wyglądają dobrze. —

7. Znów port de mer; — chociaż znów dekoracya z księżycem, ale już figurki na przodzie lepsze w oświetleniu, zresztą bez sensu.

8. Cleopatra, — albo i nie Cleopatra, ani jednej figury, którąby tchnęła naturą, — nic, nic, nic, o ileż wyżej stoi Poussin.

9. Ulysses remet Chryzeis à son père. — Figurki giną w dekoracyi, która żadnego wdzięku nie posiada, — woda dobrze oddana, zwłaszcza w dalszych partyach, bo z przodu niepodobieństwo, aby mogło być w naturze co podobnego. —

10. Vue de campo à Rome, — otóż to co jest piękne, bo to artysta sam i jego upodobanie, malowane z natury, na miejscu prawie. — Choć tam trochę dodane i upiększone, to jednak poznaje się upodobanie i zamiłowanie malarza, — kolumny powalone, kapitele porzucone, łuki tryumfalne porosłe mchem, gmachy w pół rozwalone. —

Otóż to są te ruiny, ruiny przystrojone laurami — dziesięć razy to lepsze, niż fantazye na temat i rekonstrukcye nudne. —

11. Port. Sceny na przodzie tym razem, ruchy naturalniejsze i akcya. —

Gellée Claude, dit Claude Lorrain 1600—1682. — Chcąc o nim powiedzieć w czem jest piękny, byłoby trudno znaleźć [?], skoro tak skąpo zalet w obrazach — skoro prawie zawsze stał na fałszywym gruncie. Kilka partyi pejzażu było pięknych — ale prawie zawsze całość nie do zniesienia, zato częściej umiał pochwycić efekt niż Poussin.

Le Sueur Eustache, (1617—1655) pokazuje się z tego że był bardzo młody zawsze, — ale doprawdy że nieznośny w swoich obrazach, — nieznośniejszy od Guido Reni, bo słabszy w rysunku i naśladujący wielu innych. — Że łączy czasem piękne kolory, że nawet często obrazy jego jako grupy są piękne — to dobrze, — ale gdzie prawda, gdzie natura, — nie ma, — nie ma, — nie ma, — można przejść po kolei jego obrazy.

Jezus pokazujący się Maryi — nieznośny, — draperya: powiedziałby kto że dobre, chociaż niezupełnie — całość dobrze malowana, ale

takiem jest kłamstwem we figurach, w ruchach, w scenie, że złości i śmiech bierze.

Départ de Tobie. — Komedya jakby stary Sylvain z komedyi francuzkiej; — kolory na Tobiaszu ładne.

Chrystus niosący krzyż, o tyle piękne o ile Rafael zrobił to samo lub Kraft. —

Prédication de St Paul à Ephèze. Nie do uwierzenia jak to śmieszne, gdyby nie Rafael, może by co było z tego.

— [?] descente de croix, są tu chwile, gdzie możeby sam artysta potrafił się wydobyć, ale całość jest żadna, — draperye i kolory ładne, — ale mam obraz Tycyana o ileż wyższy a oryginalny.

Zwiastowanie — balet niemal z tradycyami włoskiemi.

Agar na puszczy. Bezwarunkowo więcej wart od tamtych. Agara już nie jest tak włoska, zwłaszcza głowa. —

Jakiś duży nudny obraz z nowego zakonu, bez sensu — bez treści wyraźnej. —

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Ze spuścizny autorki

(wyjątki z listów i zapisków).

Fale ścigające fale, cienie płaczące po cieniach, — oto życie!

*

Z doświadczenia wieloletniego, z usilnych starań o miłość tych, których kochałam, powstało we mnie przekonanie następujące: Jedynemi węzłami łączącemi ludzi silnie i trwale są związki krwi, albo — zmysłów. Przyjaciółmi gorącymi i szczerymi mogą być tylko mąż i żona, kochanek i kochanka, brat i siostra. A stosunki przez które nie przepływa strumień krwi jednej lub potok rozkoszy zmysłowej, — jakkolwiek wyglądałyby z pozoru, są tylko pajęczyną. Niewiesz jakim sposobem i kiedy się to zerwie, lecz zerwie się niezawodnie. Wiatr powieje, fala nadpłynie, skrzydło muszki potrąci i z przędzy cudownej nie pozostaje nic, albo raczej pozostaje garść tego popiołu gorżkiego, które się zwie wspomnieniem. Skazańcem jest ten, kto na przędzach takich zawieszać musi serce...

*

Czego chcesz stary psie? Masz śmietnisko własne, z którego cię nikt nie spędza i jeszcze skomlisz!

Pragniesz aby pogłaskała cię jedna z tych dłoni, które niegdyś miłośnie lizałeś, aby miękko i przyjaźnie spoczęło na tobie oko jednego z tych ludzi, których domu, często bezsenny i znużony w noc ciemną od ognia i złodzieja strzegłeś? Ananasy! Ze szczytu własnego śmietniska swego potocz wzrokiem dokoła! Widzisz w świetle słonecznem, w powietrzu promiennem, na polu żyznem posuwające się pługi? Widzisz w ogrodzie pełnym kwiatów podskakujące i goniące się dzieci? Widzisz jak ci biegną aby uciec z pod nasuwającej się

chmury, a tamci od wrót cmentarnych spiesznie wracają do kolebek? Widzisz tam całujących się a tamtych, którzy się biją, a ówdzie smacznie śpiących, a dalej piekących chleby i marcepany? Czasu niema, powiadam ci, — nikt czasu niema!... Co? mówisz, że niedawno jeszcze był ten ktoś, kto, jak ci się zdawało, miał dla ciebie trochę czasu i serca! Był? — Więc odszedł także? Bardzo rozsądnie uczynił. Spojrz do jak pięknego ogrodu w tej chwili wchodzi!...

*

...Bo daremnie jest się autorką bardzo słynną, daremnie w sercu panuje miłość dla piśmiennictwa i idei różnych, Ojczyzny nadewszystko — zostaje wśród tego wszystkiego szerokie miejsce na wielkie rany. Tylko o tych, które mam w sobie, mówić nie mogę. Mnie nie wolno. Nikt też o życiu serdecznem mojem nie wie nic.

*

Każdy zawód w przyjaźni albo w miłości, oprócz rany serdecznej, sprawia coś z upokorzenia, którego doświadcza człowiek wyrzucony za okno lub wypchnięty za drzwi.

*

Człowiek jest nurkiem szukającym pereł na dnie gorżkiego morza. Czy znajdzie perłę, albo nie znajdzie, pytanie, — lecz że nabierze pełne usta gorżkiej wody, niewątpliwe.

ELIZA ORZESZKOWA.

Konstantego Gaszyńskiego „Jaksjada"

(Komentarz).

Życiorys. — Konstanty Gaszyński, urodz. r. 1809. w Jeziorach w Czerskiem (Król. Pol.). Początki nauk odebrał w domu, następnie liceum i uniwersytet (wydz. prawn.) w Warszawie. Już w liceum dał się poznać jako poeta; w r. 1826. pierwszy utwór drukowany pt: „Wiersz na zgon St. Staszica". W r. 1830. redaguje z L. Zienkowiczem „Pamiętnik dla płci pięknej." Na ławach szkolnych zawarł przyjaźń z Z. Krasińskim, której dowody dał w znanym wystąpieniu w obronie Zygmunta i później. W r. 1830. wydaje powieść p. t.: „Dwaj Śreniawici". Bierze udział w powstaniu listopadowem; członek gwardyi honorowej, z akademików złożonej; członek komitetu redakcyi „Dziennika gwardyi honorowej"; członek Towarzystwa patryotycznego. Po rozwiązaniu gwardyi wstępuje do saperów i z Giełgudem rusza na Litwę. Z Rohlandem przechodzi do Prus, zkąd po wielumiesięcznej niewoli udaje się na emigracyę. Po krótkim, dwurazowym pobycie w Paryżu i w Brukselli osiada w Aix en Provence gdzie wiele pisze po polsku i po francuzku, wierszem i prozą; jakiś czas redaguje „Memorial d'Aix", potem wyjeżdża do Paryża. Odtąd włóczy się po świecie, przebywa po miejscach kąpielowych, lecząc się na reumatyzm czyteż na wyschnięcie mlecza pacierzowego; odbył podróż artystyczną po Włoszech, wreszcie pod koniec życia wraca do Aix, dokąd często po opuszczeniu go zaglądał, i tu umiera w r. 1866. —

Jaksjada. Krytyka literacka, lubiąca klasyfikować poetów na większych i mniejszych, przyznała Gaszyńskiemu trzeciorzędne miejsce wśród poetów emigracyjnych. Nie odmawia mu się talentu a wierszom jego melodyjności, czasem i pierwiastku lirycznego, ale zaprzecza się twórczości jego głębokich myśli, silnych uczuć i bogatej wyobraźni. Jest to poeta sympatyczny, nie wymagający pracy myślowej przy czytaniu, miękki, o naturze kobiecej, żyjący wspomnieniami, nie zdolny do stworzenia nowego życia, ale dobry Polak zdolny rymotwórca i stylista, zkąd wiersze jego nierzadko można spotkać po „imionnikach" i „sztambuchach" panieńskich z zeszłego wieku.

Już w liceum znany był Gaszyński jako „wieszcz", którego utwory drukowały nawet „Rozmaitości" (Dod. do koresp. Warsz.), a któremu profesor literatury polskiej przepowiadał laury poetyckie. Przyjaźń z Z. Krasińskim

wprowadziła go na literackie salony generała, gdzie zbierali się co soboty po wykładzie L. Osińskiego warszawscy Arbitri Elegantiae Polonae dla swobodnej pogawędki o sprawach literackich. Były to czasy wschodzącego romantyzmu. Klasycy nie uważali romantyzmu za jakiś bunt literacki przeciw wszechwładnie panującym regułom „dobrego smaku", przeciwnie — zdawali sobie sprawę z tego, że romantyzm jest koniecznością historyczną i że klasycyzm ustąpić musi (gazeta koresp. 1816, Nr. 63. Dod. Recenzya „Hamleta" przez Iksa), a jeśli występowali przeciw romantyzmowi, to tylko przeciw przedstawicielom jego „minorum gentium", urągającym czystości języka, prawidłowości wersyfikacyi i rozsądkowi. (List K. Koźmiana do Odyńca — Bibl. Warsz. 1867. P. I.). Do walki tej przymieszał się i pierwiastek osobisty, który nadał jej charakter namiętny, polemiczny i bezwzględny. Walka ta odbywała się w dwojaki sposób: w czasopismach i na salonach Winc. hr. Krasińskiego. — U generała zbierali się nietylko klasycy ale i romantycy, np. Odyniec, który kruszył kopie w obronie Mickiewicza, a wreszcie i obojętni, np. Brodziński. Bywał tu i płodny natenczas poeta Kajetan Jaksa Marcinkowski, tłómacz „Wiersza o krytyce" Pope'a, autor „Zabaw wierszem dla płci pięknej" i wielu innych. Był to typ pieczeniarza, który dla dobrego obiadu pozwalał z siebie i żarty stroić, figura zarozumiała i pyszna z powodu swego „talentu" poetyckiego, płodna niepomiernie, stawiająca siebie na pierwszem miejscu w polskiej literaturze, a w istocie pozbawiona nietylko talentu ale i rozsądku. Stał się też jednem z dań na literackich obiadach generała. Swojem zachowaniem mimowoli wyzywał każdego do drwienia z niego, to też drwił każdy, a Marcinkowski, choć widział to, kiwał tylko ręką, mrucząc „głupstwo" i zmiatał z półmisków. Prawdziwe orgie dowcipu na temat Marcinkowskiego zaczęły się z chwilą przyjazdu do Warszawy G. Olizara, krajana pana Jaksy. Olizar, obładowany anegdotami o Marcinkowskim, raczył niemi gości generała. Zabrał się do Marcinkowskiego i Morawski, słynny ze swego dowcipu i facecyj. Posypał się szereg paszkwilów na Marcinkowskiego. Paszkwile te kazał generał wydrukować pod wspólnym tytułem „N i e s n a s k i P a r n a s u" 1818 — 1821. (Jest to druk niezmiernie rzadki, gdyż odbito go tylko w 12 egz. Jeden z nich znajduje się w Bibl. ord. Krasińskich w Warszawie). W r. 1823. opuścił Marcinkowski Warszawę, ale jeszcze nieraz do niej przyjeżdżał, przyczem nie pomijał nigdy domu hr. Krasińskiego, sprawiając swem ukazaniem się wielką radość biesiadnikom generała. W r. 1827. ugościł Marcinkowskiego „Jaksjadą" jeden z najnowszych nabytków salonów literackich — Konstanty Gaszyński, który powoli wyrabiał sobie sławę poetycką.

Utwór ten zachował się w autografie w Bibl. ord. Krasińskich w Warsz. pod l. ~~26996~~., zkąd go za łaskawem poparciem prof. Kallenbacha otrzymałem. Jest to mała broszurka w 16. str. licz. 44.

Za autorstwem Gaszyńskiego przemawia świadectwo F. X. Dmochowskiego (Wspomnienia 1806—30) i St. Koźmiana (Żywot i pisma K. Gaszyńskiego.[1])

Tytuł tej broszurki każe domyślać się przedmiotu, związanego z osobą Kajetana Jaksy Marcinkowskiego — i tak jest rzeczywiście. Jaksa, dotknięty paszkwilami, postanawia za radą sławy zemścić się ostrą satyrą na swych przeciwnikach. — Niestety piekło staje mu na przeszkodzie, pozbawiwszy

go weny poetyckiej, a choć Jowisz przychodzi mu w pomoc, jednak i tu nierozwaga wytrąciła mu dar „gromochlasty“ z dłoni. Wreszcie Apollo wynagradza go za tyle niepowodzeń weną romantyczną. Fabuła zręcznie utkana, z natury już humorystyczna, pomieszanie wyobrażeń klasycznych z nowoczesnemi, forma epicka, pierwiastek dramatyczny, doskonała plastyka, naturalny humor, czasem zaprawiony solą attycką, subtelne ironizowanie Ballad Sonetów Mickiewicza — oto właściwości „Jaksjady“ w ogólności.

Gaszyński obrał za bezpośredni przedmiot swego poematu humorystycznego Jaksę Marcinkowskiego, ale pośrednio zależało mu i na ośmieszeniu „nieszczęśliwych“ wyrażeń i przenośni Mickiewicza. Poniżenie romantyzmu do osoby Jaksy, który, będąc ostatnim z klasyków, staje się romantykiem, choć przedtem był wrogiem romantyzmu, — ironiczne wycieczki przeciw geniuszom litewskim, różność w sposobie traktowania wieszczów litewskich i Jaksy przez Apolina i wiele aluzyj do utworów Mickiewicza — stwierdza ten utajony, polemiczny charakter „Jaksjady“.

Pomysł opiania Jaksy w poemacie epickim nieoryginalny. G. Olizar w niedokończonym poemacie „Jaxjada“ opisał Jaksę na sposób Wirgilowski. Wiele konceptów, epitetów, obrazów pożyczył Gaszyński ze wspomnianych „Niesnasków Parnasu“.

Z zastrzeżeniem można tu postawić pytanie, czy poeta nie chciał przypadkiem ośmieszyć i klasycyzmu, mówiąc o „chudej, wynędzniałej i suchoty cierpiącej“ wenie Jaksy? Byłaby zatem „Jaksjada“ mieczem obosiecznym.

Talent humorystyczno-komiczny był właściwością Gaszyńskiego i przejawił się w twórczości jego niejednokrotnie, jak np. w „Waryacie z potrzeby“ kom.), w „Dniu 8 września 1831“, w „Grze i karciarzach“, w „Wyścigach konnych“, a wreszcie pod koniec życia (1856) w koronie jego twórczości — „Sielance młodości“.

UWAGI. Z autografem „Jaksjady“ oprawiony jest fragment 3-ej Pieśni „Jaksjady“ G. Olizara, co wykazuje i różnica pisma i „Jaksjada“ Olizara, wydrukowana w „Niesnaskach Parnasu“. Kopia „Jaksjady“ Gaszyńskiego znajduje się w Bibliotece Dzikowskiej, przypisana G. Olizarowi. Inicyały na karcie tytułowej K. G. O. rozwiązał ktoś po kopiście imieniem i nazwiskiem Gustawa Olizara, — co się nie zgadza z inicyałem K. Pomyłkę tę sprowadziła „Jaksjada“ G. Olizara, o której wspomina Koźmian w swych „wspomnieniach.“ Zapewne ktoś, opierając się na tej autentycznej zresztą wzmiance Koźmiana dopisał O i rozwiązał G. O. w wyżej przedstawiony sposób.

Rkp. Dzikowski i manuskrypt z bibl. Krasińskich nie wykazują żadnych istotnych różnic. Różnice są tylko formalne: i tak rkp. Dzik. opuszcza 2 razy po 2 wiersze, kilka razy kopista źle odczytał oryginał i ztąd nieporozumienie; pozatem zgodność między obydwoma rękopisami.

[ ] oznacza dopisek wydawcy.

Lwów czerwiec 1910.

LESŁAW PLACZEK.

JAKSJADA

POEMA W SZEŚCIU PIEŚNIACH

...ridentem dicere verum
quid vetat?...
Horatius Sat. I. L. I.

PRZEZ
K. G.
W WARSZAWIE
1827.

JAKSJADY PIEŚŃ PIERWSZA

TREŚĆ:

Sen Jaksy — Sława wyrzuca mu gnuśność i zachęca, aby się pomścił nad tymi, którzy z niego żarty stroją — Jaksa się budzi i zemstę poprzysięga.

Tu dormis Brute.

Już noc skrzydły posępnemi
Połowę świata odziała;
Wszystko umilkło na ziemi,
Spoczęła natura cała;
Cichość po ulicach miasta,
Wiatr tylko świszczał... szeleścił,
Już wybiła i dwunasta,
Wszystkich Morfej snem już pieścił;
Nie spał przecież jeden człowiek,
Nie usnął wieszcz nieśmiertelny,
Myśl mu sen płoszyła z powiek,
Nie spał Jaksa... Jaksa dzielny.
Geniusz jego twórczy, śmiały,
Wzniósł go w krainę marzenia,
Tam pośród nadludzkiej chwały
Boskiego szukał natchnienia.

Lecz znużony przez czas długi,
Widząc że już ogień gasnął,
Przewrócił się na bok drugi
I wśród wieszczych myśli zasnął. —
Tu dopiero sen uroczy,
Tutaj marzenia przyjemne
Przedstawiały mu przed oczy
Widoki coraz odmienne.
Ujrzał Parnasu wybrzeża,
Widział zblizka Apollina,
Jak go uznawał za syna
I pasował na rycerza.
Jak piękny traf mu się zdarzał,
Dawno do tego już wzdychał;
I gdyby kto był uważał,
Pewnie się przez sen uśmiéchał.
Lecz dłużej miłym obrazem
Morfej go łudzić nie raczył,
Zniknął sen, z nim szczęście razem;
I pośród nowego obłędu
Sławę przy sobie obaczył,
Jak, przejęta gniewem cała,
Tak się do niego ozwała.
„Ty śpisz, Jakso, śpisz spokojnie,
„Kiedy krocie nieprzyjaciół
„Na ciebie powstaje zbrojnie,
„Wszyscy szydzą jak z urzędu.
„A najbardziej ten generał,
„Na godności swojej wsparty,
„Wszystkie laury, coś nazbierał,
„Śmie obracać w śmiech i żarty.
„Takżeś się w gnuśności zaciął,
„Że cię nic już nie obchodzi,
„Że dasz z siebie wzorki stroić?
„Niech się twe męztwo odrodzi.
„Czyż ich nie zdołasz rozbroić?
„Czyż na świecie jesteś zerem,
„Małejżeś się chwały dobił;
„Wszak przewielebnym orderem
„Sławny cię Miechów ozdobił,

„Wszakże cię już Polska cała
„Drugim Bielawskim nazwała.
„Czyliż nie jesteś nareszcie
„Płockiej szkoły urzędnikiem;
„Na jedno skinienie twoje
„Drżą strwożone żaków roje;
„Gdzie się ukażesz na mieście,
„Czyto lato, czyto zima,
„Każdy z głowy czapkę zdéjma,
„A ty nie zdejmiesz przed nikiem!
„Małeż to jeszcze zaszczyty,
„Jakże możesz się narażać?
„Żółtym jedwabiem wyszyty,
„Dozwolisz mundur znieważać!
„Lecz na cóż więcej zachęty.
„Przecież Jacek... świeć mu Panie!
„Jacek w pracy nie ugięty,
„Który za dzieł setne tomy
„Na wieki sławnym zostanie,
„Geniuszkom wydał wojnę,
„Na dowcipki rzucił gromy,
„Wszędzie serce stawił zbrojne,
„Wszystkim sowicie zapłacił,
„Wszystkich srogim biczem chłostał,
„A choć sam nim w końcu dostał,
„Jednak odwagi nie stracił. —
„A ty masz gnuśnieć. — O zgrozo!
„Ty masz cierpieć żartów tyle?
„Wszakże już wierszem i prozą
„Piszą na ciebie paszkwile. —
„Masz powody żalu szczére
„Naród, na ciebie zawzięty,
„Palnij więc ostrą satyrę,
„Aby im poszła aż w pięty. —
„Lecz, jeśli będziesz nieśmiały,
„Nazwę cię tchórzem i płaksą;
„Wszakżeś stworzony do chwały,
„Pomnij, żeś zrodził się Jaksą."
  Znikła, mówiąc te wyrazy,
Jaksa się ze snu ocucił,

Kichnął z zapału dwa razy
I kołdrę na ziemię zrzucił.
Już też i wóz słońca złoty
Wszędzie dzień rozjaśniał miły,
Gwar ludu i kół turkoty
Wszystkich już ze snu zbudziły. —
Był to właśnie dzień niedzielny,
Wszędzie więcej ruchu było;
Wstał i nasz Bohater dzielny
I wspomniał, co mu się śniło...
Wspomniał i krzyknął z zapałem:
„Krzywdy mojej nie daruję,
„Prawda... zbyt długo cierpiałem...
„Dziś śmiało z każdym się zmierzę,
„Każdy zemstę mą poczuje!
„Wszak i Jowisz chwilę zasnął,
„(Jak to czytałem w Homerze)
„Ale skoro się ocucił,
„Nie jednym piorunem trzasnął,
„Tysiące gromów wyrzucił,
„Tak się okropnie zasapał. —
„Ja, choć tak górnie nie sięgam,
„Przecież równy czując zapał,
„Zemstę... zemstę poprzysięgam.“ —
Rzekł i palnął pięścią z góry,
Spadł kałamarz ze stolika;
W niezmiernej papierów ciżbie
Wyleciała wierszów plika,
A po literackiej izbie,
Po gołych ścianach odbity,
Rozszedł się odgłos ponury. —
Nie tak się Achill rozgniewał,
Kiedy po Patrokla śmierci
Porwał oręż, krew przelewał
I Trojan rąbał na ćwierci,
Wszędzie postrach rozpościerał.
Mniejszym był i gniew Ajaksa,
Gdy o zbroję i zaszczyty
Z chytrym Ulissem się spierał. —
Tak się rozjędyczył Jaksa! —

JAKSJADY PIEŚŃ DRUGA.

TREŚĆ:

Niezgoda wzbudza piekło przeciw Jaksie — Belzebub wysyła Mefistofila do Płocka — ten śpiącemu Jaksie wykrada wenę poetycką i wraca z nią do piekła.

Livoredax tibi cuncta negat.
Lucanus Phar. L. I.

Jakże w życiu przeszkód wiele,
Jak zmienne ludzkie nadzieje,
Jak często płacze w niedzielę,
Kto się wesół w piątek śmieje.
Los z nami igra zacięcie,
Co człek zacznie, zniszczą fata,
I im większe przedsięwzięcie,
Tam los większe figle płata. —
I któżby mógł myśleć o tem,
Że i z Jaksą igrać zacznie,
Nowym go zmartwi kłopotem
I wszystko skręci opacznie.
Zamiast dać radę pomocną —
Tak niestety — bo choć Jaksę
Niebianie lubili mocno
I wielką kładli nań taksę,
Przecież cała czartów tłuszcza,
Których skamieniałej duszy
Żadne nieszczęście nie wzruszy,
Bo litości nie dopuszcza;
Zamiast z nieszczęść oswobodzić
Sprzysięgła się Jaksie szkodzić.
Niezgoda ta jędza wściekła,
Której tylko zawiść miła,
Wleciała w podwoje piekła,
Wszystko swym jadem wzruszyła
I do Belzebuba rzekła:
„Wy tu w piekle nic nie wiecie,
„Co się tam dzieje na świecie,
„Słuchaj, rycerz znamienity,
„Znany wśród całej Warszawy,
„Rycerz, co w ciemię nie bity,
„Wysokiej dobił się sławy;
„Lecz, że chwałę miał na względzie,
„Nie uszedł ludzkich języków,

„Dziś właśnie w głowie układa
„Satyry ostrej osnowę;
„Ta wszystkich zbije na głowę,
„Duncyadą drugą będzie. —
„Daję w zakład moje życie,
„Sam tytuł już jest nielada,
„Bo „Pistolet na zabicie
„Wszystkich moich przeciwników“
„Pewnie przez dzieło tak sławne
„Oklask całej Polski zyska,
„Lecz nie wiesz jego nazwiska.
„Masz do niego gniewy dawne. —
„On godność twoją znieważył,
„Wart po uszy jęczeć w smole;
„Ten to sam jest, co się ważył,
„Zdjęty myślą niepojętą,
„Przestąpić śmiałości karby,
„Chciał wykraść Księżnę zaklętą
„I wielkie zagarnąć skarby. —
„Chciał was wyprowadzić w pole,
„Chciał oszukać ród czartowski
„Ten sam Jaksa Marcinkowski!
„Mścić się nad nim jest dziś pora,
„Zrób mu figiel — to jest pierwszy,
„To najlepszy zemsty sposób,
„Aby nie mógł pisać wierszy,
„Wszystko do tego przysposób:
„(A chociaż to jest nieładnie)
„Poślij posła dziś z wieczora,
„Niech śpiącemu wenę skradnie.“ —
Rzekła — i nie wyszła chwila,
Piekielny minęła taras.
Belzebub gdy się dowiedział,
Zawołał Mefistofila,
Wszystko dobrze rozpowiedział
I kazał mu ruszać zaraz, —
Przydając z groźną postawą:
„Wiem, że z ciebie biegus tęgi,
„Spraw się gracko, wracaj żwawo,
„Inaczej... koza i cięgi!“

Na tak ważne odwiedziny
Biegł nasz poseł bez spoczynku
I w niecałe pół godziny
Ujrzał się na płockim rynku.
Jeszcze słońce nie wschodziło,
Spytać się kogo nie było;
Wszędzie nocy cień ponury
Po wszystkich poglądał domach,
Aż ujrzał poetę, który
Wydał pisma we dwuch tomach.[1]
Więc mu się skłoni uprzejmie,
Choć nieznajomego wita,
Grzecznie z głowy czapkę zdejmie
I z uniżonością spyta:
„Przebacz mej śmiałości panie,
„Ale zapewne jegomość
„Masz z sławnym Jaksą znajomość,
„Chciej wskazać jego mieszkanie."
„Ach owszem, owszem (odpowie)
„Znamy się będzie rok trzeci,
„Przecież to my towarzysze,
„Bo trzeba wiedzieć waszeci,
„Że toż i ja wiersze piszę. —
„Od Płocka aż do Parnasu
„Przez gorliwość nieustanną
„Udeptana przez nas ścieżka. —
„Lecz żądałeś przewodnika;
„Patrz, w tym domu Jaksa mieszka.
„Żegnam cię, bo nie mam czasu,
„Aurora musis amica,
„Idę na przechadzkę ranną." —
Mefistofil podziękował,
Czule rękę wieszcza ścisnął
I do Jaksy powędrował. —
Szparką do stancyi się wcisnął,
Lecz go wielki strach zdejmował.
Blizko przyjść się nie odważył,
Chodził z wielkim ambarasem,
Bał się biedny, by się czasem
Miechowskim krzyżem nie sparzył. —

Lecz dyabeł źle sobie wnosił,
Gdyż przez skromność (co ja chwalę)
Jaksa go nigdy nie nosił
Chyba w wielką jaką galę.
Lecz po długiem się wahaniu
Mefistofil z męztwem całym
Stanął przy wieszcza posłaniu.
I choć zrazu był nieśmiałym,
Tak się nareszcie rozruchał,
Trudów i pracy nie szczędził,
Póty chuchał, póty dmuchał,
Aż wenę z Jaksy wypędził. —
Wyszła z niego wena sławna,
Ale wena wynędzniała,
Suchoty cierpiała zdawna,
Na słabych nogach się chwiała. —
Jaksa nigdy nie folgował,
Ledwie biednej nie zamęczył,
I w dzień i w nocy rymował,
Wszystkie jej siły wycieńczył.
Mefistofil, widząc jaśnie,
Że mu jeszcze może zaśnie
Lub ustanie pośród drogi,
Ulitował się niebogi
I do kieszeni ją schował. —
Potem tak się wyniósł ślicznie,
Wzniósłszy się w górę, jak piórko,
Alias mówiąc romantycznie,
Ot! czmychnął od klucza dziurką!

JAKSJADY PIEŚŃ TRZECIA.

TREŚĆ:

Jaksa, ogołocony z weny, jednego wiersza skleić nie może — a pozbawiony pomocy przyjaciół, już sobie chce odebrać życie, gdy Merkur, przysłany od Apolla, wstrzymuje świętokradzką rękę naszego Bohatera.

....moriamur...
Una salus victis nullam sperare salutem.
Virg. Aeneid. L. II.

Ocknął się Jaksa z uśpienia,
Lecz z jakąż metamorfozą,

Jakoś lekszym się już zdawał,
Uczuł, że wszystko się zmienia,
Nie poetycznie już wstawał,
Już i kawę wypił prozą.
Nic przecież na to nie zważa,
Bo nigdy cios niebezpieczny
Wielkiego męża nie zraża. —
A choć los przeczuwa sprzeczny,
Choć czuje, że jakaś zdrada,
Jednak do pisania wierszy
Przy swym stoliku zasiada.
Usiadł — i napisał pierwszy,
Lecz gdy rymu szukać zacznie,
Choć go miłość własna łechce,
Każda myśl idzie opacznie
I z drugą skleić się nie chce.
Lub choć dalej pisze śmiało,
Gdy chce czarno idzie biało,
I znów gardząc myślą marną,
Gdy chce biało idzie czarno.
Darmo siedzi, darmo myśli,
Co napisze, to przekreśli. —
Już i piór zgryzł półtuzina,
Już i dla wzniesienia ducha
Pół butelki wypił wina,
Muza jednak go nie słucha.
Na Pegaza siąść był gotów,
Nie miał go u siebie przecie,
Gdyż go pożyczył poecie,
Co wówczas pisał Mokotów.
Wiedząc jednak, że w Lublinie
Z pisania zgryźliwych satyr
Wybranowski płodny słynie,
Tam się udał nasz Bohatyr.
Lecz od kogo (jak powiada
Starożytne nam przysłowie)
Pan Bóg zwróci swoje chęci,
Z jednych nieszczęść w drugie wpada,
Przeciw niemu wszyscy święci.
A gdy się zmiesza w zapale,

Wszystko mu się kręci w głowie,
Jak przed laty w trybunale.
I na Jaksę gdy się zaciął,
Tak go ciągle los uciskał;
Opuszczony od przyjaciół
I w Lublinie nic nie zyskał.
Bo i nasz Juwenal srogi
Do poezyi chęć już stracił
I Parnasu rzucił progi,
Skoro mu się Pegaz schwacił. —
Muzo! Któraś Jaksie nieraz
Ukazała postać miłą,
Twym duchem natchnij mnie teraz
I nadludzką uzbrój siłą,
Bym godnym rymem opisał,
Jak wśród takiej tarapaty
Nasz się Jaksa gracko spisał,
Nie chcąc drogiej przeżyć straty.
Tak Katon w chwili ostatniej,
Gdy Rzymowi los zawzięty
Srogie jarzmo zapowiadał,
Nie mógł przeżyć hańby bratniej
I w stałości nieugięty
Z rozpaczy śmierć sobie zadał,
Lecz przed tą ofiarą gniewną,
Nim się z Charonem przywitał,
By poznać przyszłość niepewną
Platona księgę odczytał.
Tak i Jaksa rozsrożony,
Chcąc się wyrwać z nieszczęść toni,
W niedostatku innej broni
Porwał za nóż wyostrzony. —
Lecz nim spełnił dzieło krwawe,
Raz jeszcze odczytał Rzeki,
Które miały jego sławę
W najpóźniejsze przesłać wieki.
I skończywszy rzecze smutnie:
„Żegnam cię, piękna naturo,
„Martwy dziś dla mnie obrazie,
„I was żegnam dźwięczne lutnie,

„Bądź zdrowa Parnasu góro,
„Bądź mi zdrów i ty Pegazie!
„Niech was pożegna ta mowa
„Przyjaciele i szyderce;
„Ach i ty mi bywaj zdrowa,
„Dla której biło me serce.“
A wzniósłszy oczy do góry,
Jużby się krwią własną zmazał,
Gdyby nie poseł Merkury,
Który się nagle ukazał
I tak doń mówić zaczyna:
„Adjutancie Apollina!
„Cóżto, czyś wasan oszalał
„Lub też winem rozum zalał,
„Że za drobnostkę tak małą
„Chcesz sobie odbierać życie,
„Co ma być Ojczyzny chwałą
„I Bogom zrównać w zaszczycie?
„Jaksa niebian ulubieniec,
„Kawaler Muzom tak luby,
„Wtenczas własnej szuka zguby,
„Gdy mu Feb już splata wieniec
„I pewną pomoc przyrzeka.
„Daję ci słowo honoru,
„Z chlubą wyjdziesz z tego sporu,
„Pogromisz zawistnych wrogów,
„Ciebie chwała, ich wstyd czeka,
„Zaufaj opiece Bogów.
„Wkrótce o wszystkiem się dowiész
„I dziś powiem ci otwarcie,
„Że zwołuje radę Jowisz,
„Na której Febus ma prosić
„O prędkie dla ciebie wsparcie;
„Czyliż ci na tem nie dosyć?“
  Widząc pomoc niebios ręki,
Jaksa z uniesienia krzyknął
I chciał czułe składać dzięki,
Gdy nadludzki poseł zniknął! —

JAKSJADY PIEŚŃ CZWARTA.

TREŚĆ:

Na zebranej radzie Bogów, Jowisz zapytuje się o ich zdanie względem dania wsparcia Jaksie — Morfej zaprzecza jej — Wulkan chce zdanie jego popierać, lecz na wstawienie się Junony i Wenery, Jowisz pożycza Jaksie swego pioruna, który Merkur mu zanosi.

Conciliumque vocat, tenuit mora nulla vocatos.
Ovidius Met. L. I.

Na rozkaz zbiegli się pędem
I śród wyzłacanej sali
Na krzesłach zasiedli rzędem
Bogi, Bożki i t. d.
Jowisz na wyniosłym tronie,
Po prawej Neptun się mieści,
Wulkan na lewej siadł stronie
I z piękną żoną się pieści.
Wenus zalotna i pusta
Od ust natrętnego męża
Różane oddala usta,
Lecz wstręt ten go nie zwycięża,
Mówi: „patrz na mnie wesoło,
„W lubych pieszczotach się nie leń.“
A Bogi śmieją się wkoło
I mówią: „to czysty jeleń!
„Niech teraz cierpi za karę,
„Czem chciał zostać, to i został,
„I na swoje lata stare
„Od żonulki rogów dostał.“
Dalej piękny Kupidynek,
Płochej matki godny synek,
Który, gdy ostrym swym grotem
W pierś śmiertelnika ugodzi,
Poi rozkoszą, lecz potem
Srogich cierpień nie osłodzi. —
Dalej Apollo zasiada,
Dalej Westa i Pallada;
Siedział i Morfej ponury
I Mars wśród kartaczów śmiałek,
A nareszcie pan Merkury
Stał z laską jako Marszałek. —

Wszystko się już zgromadziło,
Junony tylko nie było. —
Czekając na niebios panią,
Jowisz, nim myśl swą objawił,
Gdy próżno wyglądał na nią,
Z nudów piorunem się bawił.
I wszyscy jakoś w złym sosie,
Jak gdyby wzięli po nosie,
W milczeniu siedzieli smutni;
Apollo tylko czasami
Na złoconej brzęknął lutni,
Wulkan ustał z karesami,
Lecz Momus w śmiesznej postawie
Koncepta prawił wesoło
I Bogów drzymiących prawie
Tabaczką częstował wkoło,
Nieznający, co się smucić,
Wszystkim chciał humor powrócić.
   Wtem się podwoje otwarły
I najmodniej wystrojona
Ukazała się Junona;
Ogon niosły za nią karły,
Jej twarzyczkę pełną wdzięku
Czarna muszka ozdabiała,
Szal turecki w lewem ręku,
Lorynetę w prawem miała.
Jowisz rzecze: „Moja rybko,
„Moja precyjozo droga,
„Ach! pośpieszaj do nas szybko,
„Cóż cię trzymało dla Boga!
„Za długoś się coś stroiła,
„Nie pamiętasz widzę na nas;
„Lecz tak ci dziś wszystko składnie,
„Tak ci w tym czepeczku ładnie,
„Żebym zjadł cię moja miła,
„Boś mi słodsza nad ananas."
   „Ach! mon cher (Juno odpowie),
„U ciebie zawsze pstro w głowie;
„Czyż nie wiesz, co mnie zatrudnia?
„Wszakże nowego poety

„Jeszcze wczoraj od południa
„Czytam a czytam sonety,
„Choć ich nie mogę zrozumieć,
„Przecież na tyle piękności
„Trudno, trudno się nie zdumieć; —
„Ażem płakała z radości
„I z wielkiego uniesienia,
„Czytając tkliwe te pienia.“
„Cóż to jest (Jowisz zawołał),
„Zaraza aż tu dostała,
„Któżby to przewidzieć zdołał,
„Żebyś i ty oszalała.“
„Fe, mężu, zawsześ niezgodny,
„W Kuryerze czytałeś przecie,
„Że to oznacza ton modny,
„Gdy na modnej toalecie
„Leży egzemplarz sonetów. —
„A ja znowu nad poetów,
„Nad teatra i zabawy
„Przekładam mody ustawy;
„I gdybyś ty żyjąc w zgodzie,
„Urządzał tam sobie burze,
„I z szmermelów robiąc grzmoty,
„Świat cały strachem przenikał,
„A do mnie nosa nie wtykał,
„To i na Literaturze
„Byłabym każdej soboty,
„Bo i to jest dzisiaj w modzie!“
„Cała moda, to nie szkodzi,
„Bo nauczy i zabawi
„I możny żyzny plon zrodzi,
„Gdy w płci pięknej gust naprawi. —
„Lecz dość już, ważniejsze rzeczy
„Poruczono mojej pieczy.
„Zajmij kochanie to krzesło,
„Wy zaś słuchajcie, niebianie,
„Oby to nasze zebranie
„Dobro dla świata przyniesło! —
Rzekł — siadła przy nim Junona,
Cała sala uciszona,

Każdy wesół i ochoczy
Pragnie słyszeć rzeczy nowe,
Każdy w króla wlepił oczy;
On tak swoją zaczął mowę:
„Smutek ogarnął mą duszę,
„Gdy wieść aż do mnie doniosła,
„Że tak w ludziach złość już wzrosła,
„Że się na nich gniewać muszę. —
„A szczególniej wśród Warszawy
„Tak się niektórzy spiknęli,
„Że dla swej pustej zabawy
„Jednego na fundusz wzięli. —
„Biedny człowiek, mojem zdaniem,
„Radbym dopomódz mu szczerze,
„Feb mi nawet mówił za niém.
„Jego słowom mocno wierzę.
„To człowiek uczony, słyszę,
„Erudyt, głowa nie lada,
„Po łacinie płynnie gada,
„A nawet i wiersze pisze,
„A jeszcze Jaksą się zowie.
„Jakże sądzicie Bogowie!“
Tu zaczęła się narada,
Każdy zajęty poetą,
Jeden z drugim cicho gada,
Gdy Morfeusz krzyknął: „veto!
„Jak wam się to może zdawać,
„Lecz ja pierwszy zdanie wnoszę,
„A nawet Jowisza proszę,
„By mu pomocy nie dawać!
„Tak, Morfej wsparcia odmawia!
„O! mam ja z Jaksą na pieńku,
„On mnie władzy mej pozbawia,
„Nawet może pomaleńku
„Zuchwały tron mój osiędzie
„I snu bogiem kiedyś będzie! —
„Ho, ho, on już nie jednego
„Uśpił pięknym wierszem swoim. —
„Lecz Bóstwa władzy swej strzegą,
„Dziś go z tej mocy rozbroim“.

Po takiej mowie zuchwałej
Zewsząd okrzyki powstały,
Już Feb gniewem zapalony,
O głos Merkurego prosił,
Już i Wulkan zamyślony,
Na swem szczudle się podnosił,
Gdy Wenus, przeczuwszy snadnie,
Że niezmiękczon jego losem,
Mąż na Jaksę z gniewem wpadnie,
Chcąc mu zrobić na przekorę,
Pieszczonym wyrzekła głosem:
„Ja w opiekę Jaksę biorę.“ —
I niepomna męża groźby,
Nuż więc do Jowisza w prośby.
Przyczyniła się Junona
I całusa Jowisz dostał
I już cała rzecz skończona
I Jaksa zbawionym został.
Z piorunem dla niego danym
Merkur galopem pośpieszył,
A darem tak niespodzianym
Tak się nasz Jaksa ucieszył,
Że, czy żył, nawet nie wiedział,
Przytomność utracił bowiem
I ledwie, że odpowiedział:
„Co czuję po śmierci powiem
„Bo cała śmiertelnych mowa
„Stosownego niema słowa.“

JAKSJADY PIEŚŃ PIĄTA.

TREŚĆ:

Jaksa widząc zgromadzonych nieprzyjaciół, zapomina przestróg Merkurego i, gołą ręką porwawszy piorun, parzy się okropnie. — Na krzyk jego przybiegają Muzy, pieszczotami otrzeźwiają ulubieńca swego i oznajmiają mu wolę Feba, aby nazajutrz jechał na Parnas.

Quod licet Jovi non licet bovi.

Wówczas, gdy jeszcze na ziemi
Panowały wieki złote,
A pomiędzy śmiertelnemi

Czczono niewinność i cnotę,
Za świętym bóstwa wyrokiem
Rozwaga z niebios zstąpiła
I każdym śmiertelnych krokiem,
Każdą ich sprawą rządziła. —
Lecz przeszły te błogie lata,
Zepsucie wszystkich przenikło,
Znikła niewinność ze świata,
Uczucie honoru znikło;
Prawda zgasiła pochodnie,
Znikły cnoty — a wraz z niemi
Rozwaga uszła złej ziemi. —
Wtenczas zrodziły się zbrodnie
I wnet ohydne istoty
Zastąpiły miejsce cnoty. —
Bezczelność z miedzianem czołem,
Podłość i brzydka intryga,
Co ciągle zasługę ściga,
Goniąca za szczęścia kołem. —
Podstępy, zbrodnię szkaradną,
Pochlebstwa podłe rzemiosło,
Ujrzał świat nieszczerość zdradną
I matactwo w ludziach wzrosło. —
A gnuśność i prędkość śmiała
Rozwagi postać przybrała.
Odtąd ten popęd jedyny
Ludzkiemi zarządza czyny. —
Ileż ciągłych nieszczęść przecie
Prędkość zdziałała na świecie! —
Przez prędkość ojciec Makary
Wczoraj się winem zakrztusił
I bez wsparcia siostry Klary
Byłby się pewnie udusił. —
Przez prędkość pani hrabina,
Jadąc na teatr z pośpiechem,
Nawet nos uróżowała;
I ztąd parter trząsł się śmiechem,
Gdy się w loży ukazała,
I dzisiaj pośpiech przeklina! —
Przez prędkość Aryst, w puściznie

Pragnąc zostawić ojczyźnie
Po sobie pamięć niestartą,
Napisał głupstwo *in quarto*.
Za prędkość i zuch i płaksa,
O! nieraz srodze przypłacił.
Przez prędkość — nawet i Jaksa
O włos co życia nie stracił!
Bo, gdy się oręża dorwał,
Widząc zgromadzonych wrogów,
Niepomny przestrogi Bogów,
Gołą ręką piorun porwał.
Lecz go jeszcze prędzej rzucił
I z bolu tak mocno wrzasnął,
Że aż się Jowisz ocucił,
Co po lulce chwilę zasnął.
Wenus kichnęła i zbladła,
Junona spazmów dostała,
Febowi peruka spadła
I wstrząsła się ziemia cała. —
Tak na krzyk Marsa przed wieki
Zadrżała Troja i Greki!
Wtem Jaksa, zmartwion swym losem,
Gdy mu srodze spuchła łapa,
Zaczął litościwym głosem
Wzywać wsparcia Eskulapa.
Lecz jakiż widok uroczy
Przedstawił mu się przed oczy. —
W liczbie dziesięciu zebrane
Biegną ku niemu dziewice,
Lekką zasłoną odziane,
Twarz ich piękna, świeże lice
Zdobił uśmiech, a włos złoty,
Utrefiony w wonne sploty,
Na białe spływał ramiona.
Nóżka lekka i pieszczona,
Pierś śnieżna, na wpół odkryta,
Kibić w szczupły pas ujęta
I żywe czarne oczęta,
Gdzie się gnieździ miłość skryta
I zkąd Amorek zuchwały

Łuk napina, rzuca strzały. —
Jaksa tak lubym obrazem
Zajęty, odżył pomału
I, patrząc na wszystkie razem,
Aż się obliznął z zapału.
Wtem jedna, wybiegłszy z koła,
Widząc potomka Ajaksa,
Na towarzyszki zawołała:
„To Jaksa, siostry, to Jaksa."
Wszystkie więc śpieszą do niego,
A kiedy przy nich był blizki,
Na szyję wieszcza biednego
Tkliwe zarzucą uściski,
Z godnym naśladowcą Jacka
Każda się pieści i cacka. —
Jaksa wśród takich rozkoszy
O swej ręce ani wspomniał.
Każda rozkosz smutek płoszy
Jaksa i bolu zapomniał. —
A chcąc za pieszczoty lube
Wdzięczną wyrazić podziękę
I dać swej grzeczności próbę,
Każdą pocałował w rękę. —
A potem, pojrzawszy na nie,
Jak mógł z miną romansową,
Rzekł im: „Najśliczniejsze panie,
„Coście me siły młodzieńcze
„Odżywiły siłą nową,
„Ach! jakże się wam odwdzięczę?
„Gdyby nie losy niestałe,
„Co mnie dręczą bez przyczyny,
„Wyrżnąłbym wam na pochwałę
„Z pięćset wierszy w pół godziny.
„Lecz dziś znów mię ciosy nowe..."
Tu łzy przerwały mu mowę.
Na smutny los Jaksy tkliwe
Rzekły: „Ulubieńcze Feba,
„Twych oświadczeń nam nie trzeba,
„Poznaj w nas Muzy życzliwe,
„Które cię w kolebce jeszcze

„W słowiańskie wliczyły wieszcze. —
„Każda z nas twą wartość czuje;
„A wiedzieć ci jeszcze trzeba,
„Że tu biegniem z woli Feba.
„Słuchaj! coć przez nas zwiastuje. —
„Przebyłeś ciąg nieszczęść cały,
„Dziś się zaczną dni pogodne,
„Godne twych zasług, twej chwały,
„Geniuszu twego godne.
„Porzuć tę ponurą postać,
„Jutro szczęśliwym masz zostać. —
„Opuść to siedlisko nędzy
„I wzniósłszy się z ziemskich dolin,
„Śpiesz się na Parnas coprędzej,
„Kędy cię wzywa Apolin.
„Tam droższą nad życia cenę
„Jutro odzyskasz twą wenę.
„Lecz twe pojęcia za ciasne,
„Gdyż ci wprzód wiedzieć potrzeba,
„Co to jest: dnia okno jasne!
„Co to jest: poezya nieba.
„Co się stało lampą światów
„I co jest muzyką kwiatów. —
„Doszedłszy więc po kolei,
„Co znaczy każdy Hieroglif,
„Nie trać miny i nadziei,
„Jutro cię wzniesie Hipogryf." —

JAKSJADY PIEŚŃ SZÓSTA.

TREŚĆ:

Jaksa staje w Parnasie — Feb pokazuje mu cudowne gaje poezyi i w miejscu dawnej weny ofiaruje mu wenę Romantyczną — Jaksa zostaje Romantykiem i uradowany wraca do domu.

Utere sorte tua.
Virg. Aeneid. L. XII.

W Arioście Orland szalony,
Gdy stracony rozum gonił,
Na Hipogryfie wzniesiony,
Przeleciał niebios błękity,
Na księżycu go dogonił,

Gdzie był pod szklanką ukryty. —
Stracił rozum wraz z kochanką,
Los srodze biedaka skropił,
Lecz, że go szukał pod szklanką,
Pewnie go w szklance utopił.
Gdy się Orland tak rozhukał,
Czemuż i Jaksa nie może?
A ja się nawet założę,
Że znajdzie to, czego szukał. —
Trza się śpieszyć w takim razie,
Więc na Orlanda Pegazie
Jaksa na wzór Donkiszota
W parnasowe wjechał wrota. —
I zaraz się anonsuje,
Że Apolla wizytuje.
Więc Merkur prosi, by siedział,
Czekając na Wielmożnego;
A gdy się Febus dowiedział,
Natychmiast wyszedł do niego.
Dumną ministra miał postać,
Z postawy patrzył na pana
I tak piękną miał urodę,
Że Jaksa padł na kolana.
Lecz Feb, głaszcząc go pod brodę:
„Wstań, bądź dobrej myśli (rzecze)
„Nil desperandum, mój bracie;
„Co się zwlecze, nie uciecze,
„Myślę o W-pana stracie,
„Musisz nagrodzonym zostać.
„Lecz, nie chcąc gadać rozwlekle,
„Powiem: że za żadne ceny
„Nie odzyskasz własnej weny,
„Gdyż się udusiła w piekle. —
„Jednakże nie smuć się rzewnie,
„Cierpliwość nieszczęść hamulec,
„Trzeba przeznaczeniu uledz
„A na tem nie stracisz pewnie. —
„Nie tyś pierwszy nieszczęść doznał.
„Pójdź więc za mną bez bojaźni,
„Chcę ci okazać te dziwy,

„Które tylko dowcip żywy
„Okazuje wyobraźni,
„Lecz których śmiertelne oko
„Nigdy nie widziało jeszcze;
„I jedynie, abyś poznał,
„Jak ciebie cenię wysoko,
„Te cuda dziś ci obwieszczę. —
„Nie dostąpił nikt tej łaski
„Tylko Jaksa i Bielawski!“
Skończył — i gdy na podziękę
Jaksa na koncept się sadził,
Febus, wziąwszy go za rękę,
Do ogrodu wyprowadził.
W kąt ogrody Mokotowa,
Których wdzięki wieszcz podwajał,
Niech się Zofiówka schowa,
O której Trębecki bajał.
A mnie się nawet wydaje,
Że w kąt i Armidy gaje,
Których urocze mamidła,
Których powab, których siła
Zdradnie Rynalda zwabiła
W rozkoszne miłości sidła.
Wy, od starożytnych ludów.
Ogrody w Ninusa mieście,
Do siedmiu liczone cudów,
Niczem zapewne jesteście
W porównaniu z tym ogrodem,
Który w piękności bogaty,
Obszernym dziwiąc obwodem,
Zdał się być Raju obrazem. —
Tam natura z sztuką razem,
Nie pragnąca działać sprzecznie,
Woniące rozsiała kwiaty,
Z liściem ozdobnym w szkarłaty,
I drzewa zielone wiecznie. —
I te strumyki błądzące
Po dolinach i po łące —
I w cienistej drzew uchronie
Chłodne wietrzyku powiewy

I na drżących listków łonie
Nieuczone ptasząt śpiewy.
Kogóż ten widok nie wzruszy. —
Wieczna świeżość, wieczna wiosna
Jaśnieje blaskiem wokoło;
Tam i natura radosna,
Wiankiem z róż zdobiąca czoło,
Zda się uśmiechać wesoło
Do czuć umiejącej duszy.
I Jaksa, tem omamiony,
Gdy pojrzał na wszystkie strony,
Przejął go powab uroczy
I wśród tysiąca omamień
Otworzył gębę i oczy
I stanął wryty jak kamień!
Widząc, że go popłoch złapał,
Feb, chcąc w nim ożywić zapał:
„Nie bój się, kiedy cię wiedę,
„Bojaźnią nie trwoż się skrytą,
„Jakso! (zawołał) n e c e d e,
„S e d c o n t r a a u d e n t i o r i t o!
„Rozpierzchnione zgromadź zmysły,
„Pojrzyj w tę stronę radośnie;
„Promienie chwały ci błysły,
„Ten laur dla ciebie rośnie. —
„Febus o wszystkich pamięta,
„Słyszy swych dzieci modlitwy,
„Patrz — fura laurów nacięta,
„Dziś ją posyłam do Litwy [2]).
„Tam dla wierszy i dla prozy
„Nigdy słońce nie zachodzi.
„Co chwila geniusz się rodzi,
„Za którym wszyscy szaleją.
„A choć zwykłą pór koleją
„Długo u nich trwają mrozy,
„Przecież im m r u c z ą strumyki,
„Przecież im łąki się ś m i e j ą,
„Przecież im w y j ą puszczyki,
„Przecież n a m a z y im wieją!
„I s u c h e s z e l e s z c z ą g r u s z e

„I liście szepcą i dzwonią
„I w okna łopocą dusze
„I Rusałki im się gonią.
„Do tamtych poetów rzeszy
„Niech twoja Muza pośpieszy,
„Gdy wkrótce cieszyć się będziesz
„Z posiadania weny nowej,
„Weny młodziuchnej i ślicznej,
„Wolnej, arcy-poetycznej.
„A chociaż weny bez głowy,
„Przecież weny Romantycznej. —
„Z nią to na wronym Pegazie,
„Gdzie fantazya będzie wiodła,
„Możesz lecić w każdym razie
„Bez uzdeczki i bez siodła. —
„Patrz — robię dla ciebie tyle,
„Lecz gdy tę łaskę posiędziesz,
„Obudź echa modnym krzykiem
„I daj mi verbum nobile,
„Że zostaniesz Romantykiem.
„Przysiąż mi jeszcze niezwłocznie,
„Że się z wszystkimi pogodzisz
„I że twoja zemsta spocznie,
„Skoro dziś się oswobodzisz
„Z długich aż nadto kłopotów.“
   Jaksa do wszystkiego gotów,
Przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy księżyca blasku,
Że nie przełamie przysięgi.
   „Dosyć na tem, Feb zawoła,
„Wierzę ci na płockie słowo,
„Zacznij więc zawód na nowo,
„Masz wenę — ona wydoła
„Gorącemu zapałowi. —
„Niech się twa chwała odnowi;
„Zgaś swym blaskiem światło słońca,
„Dosięgnij ostatniej mety,
„Rymuj Ballady bez końca
„I nowe napisz Sonety!“

Gdy odebrał, co postradał,
Jaksa w zbytecznym zapędzie
Z radości się nie posiadał,
Że znów na Pegaza wsiędzie
I, ukłoniwszy się nizko,
Opuścił niebian siedlisko.

KONIEC PIEŚNI SZÓSTEJ I CAŁEJ JAKSJADY.

D. 25 lipca.

PRZYPISY AUTORA.

[1]) P. II. 85 w. August Zdziarski.

[2]) P. VI. 114 w. Bynajmniej się to nie ściąga do prozy Śniadeckich; lecz bardziej do niektórych dzieł, prozą świeżo wydanych a szczególniej do tłómaczenia Historyi Kajdanowa, gdzie tak język polski pokaleczony.

PRZYPISY WYDAWCY.

P. I. w 12. Jaksa dzielny. — Epitet nadany Jaksie przez Fr. Morawskiego w „Podróży na Parnas“, (Niesnaski Parnasu) z powodu którego Jaksa strasznie się oburzał. (K. Koźmian: Pamiętniki t. III. 340—1).

P. I. w. 60. Płockiej szkoły urzędnikiem. — Na wstawienie się K. Koźmiana i innych został Marcinkowski mianowany płockim inspektorem z warunkiem niedrukowania wierszy.

P. I. w 72. Przecież Jacek. — Jacek Przybylski (1756—1819) znany ze swej płodności i skłonności do dziwotworów językowych.

P. I. w 86. Piszą na ciebie paszkwile. — Prawdopodobnie paszkwilów tych więcej było, niż umieszczono w „Niesnaskach“.

P. II. w. 159. Niezgoda. — Podobną rolę odgrywa Niezgoda w 1-ej Pieśni „Jaksjady“ G. Olizara, podburzając przeciw Jaksie Wenerę, której Jaksa nie chce służyć.

P. II. w. 189—193. Odnosi się to do ballady „Ordynackie“, ułożonej na Jaksę przez Dom. Lisieckiego. Jaksa chciał wykraść księżniczkę, strzeżoną przez dyabła, którego nasz bohater uśpił czytaniem swego „Gorsetu“; zamiar wykradzenia nie powiódł się, bo Jaksa gadatliwością swą zbudził dyabła, który za karę kazał osiąść Jaksie w ruinach lubelskich. (Dmochowski: Wspomnienia 1806—30. 369—72).

P. II. w 280 Alluzya do „Pani Twardowskiej“ Mickiewicza.

P. III. w 341—350. Scena z „Katona“ Addisona.

P. III. w 356. Rzeki polskie, poema, pomniki sławy narodowej opiewające, napisane roku 1821 przez Kaj. Jaksę Marcinkowskiego. Warsz. 1826.

P. IV. Narady Bogów analogiczne do narad Olimpian w 2-ej Pieśni „Jaksjady“ G. Olizara.

P. IV. w. 451—504. Obyczajowy obrazek z ówczesnej Warszawy.

P. IV. w. 498. Sobotnie wykłady o literaturze L. Osińskiego, na które i publiczność uczęszczała.

P. IV. w. 503. I możny żyzny plon zrodzi; — w Rkp. Dzik. I może i t. d.

P. IV. w 531. Jaksa o łacinie nie wiele miał pojęcia. Odę Horacego „ad Corvinum“ uważał za utwór. K. Koźmiana; lectum massicum tłómaczył przez łóżko massive, a prisci przez pryszcze. (K. Koźmian: Pamiętniki t. III. 347).

P. V. Cały początek do w. 32. jest echem żelaznego okresu z Metamorfoz Ovidego.

P. V. w. 670. Wywód genealogiczno-etymologiczny Jaksy od Ajaksa spotykamy w „Ordynackiem“ D. Lisieckiego.

P. V. w. 723—726. Aluzye do przenośni w Sonetach Mickiewicza.

P. VI. w. 851—857. Aluzye do przenośni Mickiewicza.

P. VI. w. 882—885. Aluzye do „Świtezianki“.

K. Koźmian w Pamiętnikach t. III. poświęca cały rozdział K. Jaksie Marcinkowskiemu (331—354), gdzie znajduje się również karykatura Jaksy przez J. Sokołowskiego.

UWAGI PO ZAMKNIĘCIU NUMERU.

Komunikat „O dzieła sztuki" zredagowany i większą częścią podpisów opatrzony już w czerwcu b. r. miał się pojawić w poprzednim numerze *Lamusa*. Z przyczyny jednakże, iż nie wszystkie podpisy na czas udało się nam zebrać, odłożyliśmy go do numeru bieżącego, w tem przekonaniu, że tekst jego zawsze równie doniosłe i trwałe mieć będzie znaczenie. Musimy na tem miejscu zaznaczyć, iż podpisy osób z pod innych zaborów odnoszą się do komunikatu z wyłączeniem apostrofy do posłów sejmowych.

Omyłki druku zesz. poprzedniego (VI-go): Str. 187 przypis nr. 1 ma być zamieniony z przypisem nr. 3.—Str. 190 w. 14 od dołu ma być nie *prer* tylko *przez*,—w. 13 od dołu nie potrzebne *l*,—w. 9 od dołu zamiast *1793* ma być *1791*,—str. 190 przy słowach ...*w Suchej* ma być przypis *Sprawozd. K...... T. VIII. str. CCLXIII i nast.*, — na str. 196 po słowie *naukowemu* dodać *nieznane.*

